

**JAKUB MACIEJEWSKI
UJAWNIA:**

SIECI

**JAK
POWÓDZ
ZASKOCZYŁA
RZĄD.
KALENDARIMUM**

**CZY JASTRZĘBIE ZADZIOBIĄ GOŁĘBIE?
WOJNA NA ZAPŁĘCZU WŁADZY**

**MEN
PRZYWRACA
„NAUCZYCIELA
OD WSZYSTKIEGO”**

**BRONIMY BOBRY
PRZED OKRUTNYM RZĄDEM**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

40 (618) 2024
30 IX – 6 X 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREMIERZE, GDZIE JEST KASA

**ANDRZEJ DOMAŃSKI,
MINISTER FINANSÓW**

**DŁACZEGO ZNOWU NIE MA
NA INWESTYCJE, WOJSKO, NAWET
NA POWODZIAN – A W BUDŻECIE
I TAK WIELKA DZIURA?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403

Numer w sprzedaży do 7 X 2024 r.

epi.pra.pl/02581061

Wszystko, co istotne tu i teraz.

wPolsce
24

SERWIS
INFORMACYJNY

codziennie
OD 10:00

wPolsce **24**



*Informacje z kraju i ze świata,
komentarze i mądra publicystyka.*

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia 

32


825
 vectra

196
polsat box 

339 dekodery
Mediabox 

121 dekodery
KAON i Horizon
dawniej UPC

eprasa.pl afb2581061

W świecie iluzji

PR Donalda Tuska jest niebezpieczny. Powódź pokazała, że śmiertelnie! Dlaczego rząd boi się pytań i niepokojących doniesień? Co się dzieje za medialną kurtyną i jakie wnioski płyną z tego kryzysu?

Trzeba dziękować Opatrzności, że pandemia i wojna nie wybuchły za rządów Tuska. Zarządzanie kryzysowe jest w rozsypce. Chorobliwe rozmydlanie faktów, stanowiące fundament aktywności obecnej władzy, stało się śmiertelną pułapką. Szeferządu poszedł w PR nawet w chwili zagrożenia. Uspokajał, a ludzie mu uwierzyli. I ta wiara sprawiła, że duża część z nich straciła dorobek życia.

Już 13 września premier Czech alarmował, by przygotować się na najgorsze, bo nadciąga tzw. stuletnia woda. W Czechach działał już sztab kryzysowy. Ostrzeżenia płynęły też z Brukseli. Unijny komisarz ds. zarządzania kryzysowego ujawnił, że KE alarmowała: „Dzięki systemowi satelitarnemu Copernicus zapewniliśmy wczesne ostrzeżenie zagrożonym obszarom już od 10 września. Do 13 września wysłaliśmy ponad 100 ostrzeżeń do władz w regionie. Na wniosek pięciu państw członkowskich uruchomiliśmy usługi szybkiego reagowania na obszarach objętych powodzią”.

Dlaczego więc Tusk jeszcze 13 września mówił, że „prognozy nie są przesadne alarmujące”? To pytanie powinno zaważyć nad obecnym rządem niczym miecz Damoklesa. Przecież IMiGW raportował o nadciągającej powodzi już 10 września. Ilu ludzi, uwierzywszy w PR-owe zapewnienia premiera, nie zdołało uchronić dobytku? Ilu straciło zdrowie? Ilu życie? Ile można było ocalić, gdyby powiedziano prawdę wcześniej? Jak dotąd na żadne z tych pytań nie ma rzeczowej odpowiedzi. Ba, problematyczne jest nawet postawienie samego pytania. Sprawy nie wyjaśniła nawet sejmowa debata, którą skrojono tak, by wpisała się w PR-owy festiwal władzy.

Tusk wchodzi w wyćwiczoną rolę prestidigitatora. Bieży po błocie, odbiera sprawozdania na popisowych sztabach kryzysowych, łaje, poucza i pociesza, odwracając uwagę od istoty spraw. Medialna iluzja ma przykryć nieudolność państwa. W puli rezerwowej premiera nie ma wystarczających środków, bo przeznaczono z niej 3 mld zł na neo-TVP. KE nie daje nam specjalnych pieniędzy na naprawę zniszczeń, a jedynie pozwala przenieść środki z inwestycji na wyrównanie strat, co *de facto* oznacza zatrzymanie działań rozwojowych. Propozycje złożone powodzianom brzmią jak kpina.

Zaproszenie do współpracy Jerzego Owsiaka i powierzenie spraw obudowy Marcinowi Kierwińskiemu uświadamia, jak ograniczone jest zaplecze kadrowe.

Najbardziej niepokojąca jest jednak bariera informacyjna. Z zalanych terenów nieustannie napływają skargi powodzian o spóźnionych ostrzeżeniach, niepodjętych decyzjach, niewłaściwej koordynacji, nieprzygotowanych zbiornikach retencyjnych, niewystarczającej pomocy. O żadnej z tych spraw nie wolno mówić głośno. Każda odpychana jest kijem fake newsa i groźbą twardych konsekwencji. Gdy mieszkaniec Łódka-Zdroju napisał w sieci, że sytuacja w mieście nie wygląda tak, jak przedstawia ją w neo-TVP, że brakuje policji, pomocy państwa, a po okolicy grasują szabrownicy, został błyskawicznie zatrzymany przez funkcjonariuszy, a Tusk surowo ostrzegł przed rozpowszechnianiem „nieprawdopodobnych informacji”. Tak oto „demokracja walcząca” ruszyła po zwykłych ludzi. Teraz zatrzymuje już nawet za publiczne uskarżanie się na własną niedolę i poczucie zagrożenia! Takie działania powinny budzić najwyższą czujność i raczej nie skłaniają do ufności w działania państwa.

Trudno nie czynić porównań z działaniami kryzysowymi za rządów PiS. Zwłaszcza że dotyczyły one nieporównanie trudniejszych działań o znacznie większej skali. Pandemia zamknęła kraj na wiele miesięcy, trzeba było wyasygnować potężne środki na zabezpieczenie medyczne i tarcze antykryzysowe. Najazd Rosji na Ukrainę sprawił, że musieliśmy przyjąć miliony uchodźców wojennych, nieść aktywną pomoc sąsiadom – militarną i humanitarną. Oba kryzysy wymagały błyskawicznych działań, podejmowania natychmiastowych decyzji i zdobywania deficytowych środków bezpieczeństwa, jak respiratory czy maseczki. Dziś Tusk ściga byłych ministrów za rzekome przekroczenie uprawnień. Co sam robi w zderzeniu z kataklizmem? Odpierając zarzut uspokajania ludzi 13 września, twierdzi, że nie można oceniać działań

innych ludzi, bo mając wiedzę *post factum*, „każdy jest mądry”. Mówi też, że nie można być zakładnikiem procedur w obliczu ludzkiej tragedii. Szkoda, że nie potrafi wysilić się na tę refleksję w kontekście „rozliczania” polityków PiS. Czy Polacy dadzą się uwieść PR-owym iluzjom? To ważny sprawdzian. Norwid ujął to jasno: „Naród, który się oburza, ma prawo do nadziei, ale biada temu, który gnije w milczeniu”.

Marzena Nykiel



28

Naczelnny inżynier kraju
Stanisław Janecki



40

Odchudzanie zamiast Lego
Aleksandra Rybińska



60

Historia o odważnym człowieku z wizją
Goran Andrijanić

NA POCZĄTEK

- 5 **DEMOKRACJA WALCZĄCA**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **POLOWANIE NA BOBRA**
Krzysztof Feusette
- 8 **NIEBIESKA FAŁA PODWYŻEK?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 **KOMEDIA POMYŁEK**
Dorota Łosiewicz
- 13 **KTO DO RZĄDU, KTO DO OPOZYCJI**
Samuel Pereira
- 14 **WALIZKA TOMKA TORRESA**
Michał Korsun
- 16 **NIESZCZĘŚCIA CHODZĄ PARAMI**
Daniel Obajtek
- 18 **WOJNA SEMANTYCZNA**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 19 **DZIURA TUSKA**
Marek Pyza
- 23 **CAŁA WSTECZ!**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

- 26 **JAK POWÓDZ ZASKOCZYŁA RZĄD – KALENDARIUM**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 28 **MACZELNY INŻYNIER KRAJU**
Stanisław Janecki
- 30 **CZY JASTRZĘBIE ZADZIOBIĄ GOŁĘBIE?**
Piotr Gursztyn
- 33 **MEN, CZYLI POZYRY TROSKI O UCZNIA**
z Agnieszka Pawlik-Regulską rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 36 **CZY WSZYSCY NOSIMY BOMBY?**
Dariusz Matuszak
- 38 **UWAGA! NADCHODZI SYNOD**
Grzegorz Górny
- 40 **ODCHUDZANIE ZAMIST LEGO**
Aleksandra Rybińska
- 42 **PUTIN „PRZYGLĄDA SIĘ” BAŁTYKOWI**
Marek Budzisz

45 **O GEN. FRANCO I JEGO STOSUNKU DO OKUPANTÓW POLSKI**

z Pedrem Fernandezem Barbadillem rozmawia Małgorzata Wołczyk

OPINIE

48 **KILKA UWAG O NOWEJ PRAWICY**

Jan Rokita

NATURA DLA LUDZI

51 **O ZBAWIENNEJ DZIKOŚCI BOBRA**

Przemysław Barszcz

HISTORIA

54 **POCZĄTKI KONSPIRACJI**

Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 **MOCNE UDERZENIA**

Jolanta Gajda-Zadworna

60 **REAGAN: HISTORIA O ODWAŻNYM CZŁOWIEKU Z WIZJĄ**

Goran Andrijanić

62 **WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ**

Maciej Walaszczyk

64 **NIHIL OBSTAT**

Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**

Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**

Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: KATE WINSLET**

Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **POLSKA POD GAULEITEREM**

Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**

Andrzej Rafał Potocki

72 **MÓJ WAŃKOWICZ**

Aleksander Nalaskowski

73 **KIBICE I POLITYKA**

Ryszard Czarnecki

74 **BEZ MIŁOSIERDZIA NIE WRÓCIMY DO ROZUMU**

Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Demokracja walcząca

Zgodnie ze znanym powiedzeniem generałowie toczą zawsze minione wojny. Jest to reguła uniwersalna: opieramy się na tym, co znamy, na indywidualnych oraz zbiorowych doświadczeniach i z trudem dostrzegamy nowe zagrożenia. Do pewnego stopnia tak można by tłumaczyć antyfaszystowską obsesję współczesnego Zachodu, który nowe zjawiska usiłuje wtłoczyć w nieprzystający do nich schemat walki demokracji z hitleryzmem.

Interpretację tę podważa jednak lekceważenie innego, równie niebezpiecznego doświadczenia komunizmu, który groził cywilizacji zachodniej zdecydowanie dłużej i szczeł, jak się nam zdawało, ledwie trzydzieści parę lat temu, prawie pół wieku po pokonaniu państw osi. Jednak kreowany dziś „antypopulistyczny front” przypominać zaczyna tworzony pod auspicjami komunistów Front Ludowy, który powstrzymać miał nazistów i faszystów. W ostatnich wyborach we Francji lewicowa koalicja wymierzona w Zgromadzenie Narodowe występowała nawet pod tą historyczną nazwą.

Establishment europejski gotów jest sprzymierzyć się z komunistami, którzy potrafili nawet odwoływać się do Stalina, jak Sahra Wagenknecht, aby powstrzymać „prawicowy populizm” utożsamiany z faszyzmem. CDU, formalnie prawica, ale dawno, jak wszystkie tradycyjne partie Europy, skolonizowana przez lewicowo-liberalną ideologię, zakazuje również na szczeblu lokalnym jakichkolwiek układów z AfD. Ugrupowanie to może się nie podobać, ale utożsamianie go z nazistami jest nonsensem. Natomiast potencjalni koalicjanci CDU, wspomniana Wagenknecht czy Die Linke, wprost odwołują się do komunizmu. Układy z nimi zasadniczo kwestionują prodemokratyczne nastawienie liberalnych elit i wskazują, że nie o demokrację chodzi, ale o utrzymanie władzy, a jednocześnie demonstrują, jak blisko współczesnym liberalom do lewicowych totalitarystów.

Ryszard Legutko w „Triumfie człowieka pospolitego” ukazał podobieństwa liberalnej demokracji do komunizmu. W momencie wydania książki, 12 lat temu, wielu oburzało się na radykalną przesadę tego zestawienia. Doświadczenia późniejsze, a zwłaszcza wydarzenia ostatnie, w całej rozciągłości potwierdzają diagnozę krakowskiego filozofa.

Podstawowa zbieżność obu ideologii wyrasta z ich emancypacyjnego nakierowania. Mają one uwalniać człowieka z tradycyjnej kultury i religii, która stanowi jej fundament. Nowy człowiek ma wyrosnąć na ruinach tradycyjnej, czyli istniejącej, cywilizacji. Ideologia emancypacji, czy to w wydaniu komunistycznym, czy liberalnym, uzasadnia zatem władzę uwolnionych od kultury i stanowi legitymację panowania lewicowo-liberalnych elit. Władza „oświeconych” ma gwarantować postęp i usprawiedliwia despotyzm, który ma do niego doprowadzić. W deklaracjach

tylko na okres przejściowy, który jednak, jak dobrze wiemy, jest najtrwalszym z ludzkich stanów. Postęp okazuje się umowny, ale despotyzm jak najbardziej realny.

„Demokracja walcząca”, którą właśnie proklamował Donald Tusk, jest projektem obrony demokracji poprzez jej odrzucenie i ustanowienia praworządności poprzez zanegowanie prawa.

Lider PO odwołał się do antyhitlerowskiego prawnika Karla Loewensteina, który na emigracji w USA wypracował teoretyczny model obrony demokracji przed nazistowskim zagrożeniem. Polega on na jej zawieszeniu wobec tego typu niebezpieczeństwa. Jak zawsze słabym punktem pomysłu jest rozstrzygnięcie, kto i kiedy decyduje o wyjątkowych rozstrzygnięciach. Tusk uznał, że PiS to ekwiwalent NSDP – o absurdzie tego zestawienia nie warto pisać – a wobec jego zagrożenia on jako zwierzchnik władzy wykonawczej może podeptać prawo i demokrację. Zachował się więc dokładnie tak jak Hitler po wygraniu wyborów.

Nie piszę o konsekwencjach tego aktu, których dzisiaj nie znamy. Nie przypuszczam, abyśmy mieli do czynienia z powszechnym terrorem i masowymi aktami przemocy. Niemniej działanie Tuska jest próbą likwidacji demokracji. Towarzyszy jej kampania zastraszenia opinii publicznej oraz represje wymierzone w opozycję polityczną, którą władza przy pomocy usługujących sędziów i mediów usiłuje kryminalizować.

Przez establishment europejski Polska traktowana jest jako laboratorium walki z narastającą kontestacją liberalnej oligarchii. W Niemczech idea „demokracji walczącej” przywoływana jest już od jakiegoś czasu. Przecież Tusk sam by jej nie wymyślił.

To za wprowadzanie jej w życie jest nagrządzany i fetowany przez unijną elitę, które sprawdzają, jak daleko mogą posunąć się w zwalczaniu swoich przeciwników.

„Demokracja walcząca” to spełnienie ustroju demokracji liberalnej i ma tyle wspólnego z parlamentaryzmem, co demokracja ludowa (komunistyczna), w której również funkcjonował parlament i odbywały się wybory.

Uniwersalny topos opowiada o bohaterach zmagających się ze smokami tak bezwzględnie, że stają się od nich nie do odróżnienia. Bohaterowie walki z populizmem-faszyzmem walczą ze smokiem urojonym. Prawdziwa jest ich własna monstrualność.



Sygnalista nadaaje

Wielka powódź trwa, ale już widać, że na końcu i tak wygrywają Niemcy. Niemiecka prasa nie po raz pierwszy zachwyca się Donaldem Tuskiem. Dziennik „Berliner Zeitung” donosi radośnie swoim czytelnikom, że przerwane tamy i powódź w Polsce uratowały Brandenburgię. „Wielezapórów Polsce pękło, w wyniku czego duże obszary wzdłuż Odry zostały zalane w sąsiednim kraju. Gdyby cała ta woda doszła do Niemiec, nie wiadomo, czy brandenburskie wały przeciwpowodziowe by wytrzymały” – powiedział gazecie niejaki Axel Kruschat z organizacji ochrony środowiska BUND. Wygrała też Bawaria, bo wypchnęła do Polski jako pomoc dla powodzian 20 tys. nakładek do mopów, które leżały w tamtejszych magazynach niewykorzystane od czasów pandemii.

Poszkodowany za to, i to bardzo, jest **Marcin Kierwiński** oraz jego rodzina. Zamienił on spokojną i bardzo dobrze płatną posadę eurodeputowanego na niepokojną, ale za to słabo opłacaną funkcję pełnomocnika rządu ds. usuwania skutków powodzi. Strata jest tym większa, że opuszcza europarlament zbyt prędko, aby uzyskać prawo do europejskiej emerytury. A osiągnięcie tego jest dla polityków tym, czym dla alpinistów zdobycie Korony Ziemi. Oficjalny przekaz, do którego zaangażowano najbardziej zaufane media, jest taki, że Kierwiński źle się czuł w brukselskich luksusach i marzył o powrocie na skromną, krajową posadę, a zwłaszcza o tym, aby znów być codziennie ochrzanianym przez Donalda, który się wściekł. Tę narrację trochę popsuł Grzegorz Schetyna, gdyż wyjawiał, że decyzja o ścignięciu Kierwińskiego zajęła szefowi rządu 15 minut. To i tak długo trwało.

Powódź dopiekała samemu premierowi. Po pierwsze, aż przez dwa ty-

godnie nie mógł pracować w rytmie takim, jakim lubi, czyli od wtorku do czwartku. Musiał być w pracy nawet w sobotę i niedzielę. Przez powódź stracił dwa weekendy i nie mógł polecieć do Sopotu. Co gorsza, nie miał też czasu na ulubione zajęcie, czyli pisanie na platformie X (d. Twitter) wpisów o tym, jak źle jest PiS. Trzeba było aż kilkunastu dni i ciężkiej pracy najbardziej oddanych mediaworkerów, aby choć na trochę udało się odwrócić uwagę opinii publicznej od powodzi. Nieco ulgi przyniosło odgrzewanie tzw. afery wizowej, gdy „Gazeta Wyborcza” doniosła, że za rządów PiS polskie konsulaty przez cztery lata wydały 300 tys. wiz obywatelom krajów muzułmańskich i afrykańskich. Emocje jednak szybko opadły, bo okazało się, że wizy wydano legalnie, ich posiadacze przyjechali, a potem spokojnie wrócili do siebie. A co gorsza, żaden z nich nie popełnił żadnego przestępstwa, którym by można było obarczyć polityków Prawa i Sprawiedliwości.

Spodziewanego efektu nie przyniosła też druga wrzutka, czyli wywiad z byłą pracownicą Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, która poszła na współpracę z prokuraturą i w zamian za łagodniejsze potraktowanie ma pogrozić swojego byłego szefa – Michała Kuczmierowskiego. Niestety, pani Gdańska przesadziła w publicznym wyrażaniu czynnego żalu i zepsuła cały efekt. A poza tym zasłaniała się tajemnicą śledztwa i w sumie nie powiedziała nic ciekawego. Czekamy na następne wrutki. Może wreszcie będzie coś interesującego.

„Pieniądzy ni ma i nie będzie” – chyba każdy pamięta te słowa Jana Vincenta Rostowskiego. Odświeża nam je jego dawna, nadzwyczaj bliska współpracow-

nica. To Izabela Leszczyna, dzisiaj rzucona na odcinek służby zdrowia. Dzięki jej rządowi w Ministerstwie Zdrowia lekarze będą mogli odpocząć przez najbliższe miesiące. Pieniędzy „ni ma”, więc kolejne szpitale odwołują zaplanowane operacje i odsyłają pacjentów z kwitkiem. Na razie przekaz ze strony władzy jest taki, że to jak zwykle wina PiS. Ten komunikat z pewnością uspokoi nieleczonych pacjentów, a może nawet sprawi, że poczują się lepiej.

» Ale nie ma tego złego... Dzięki brakom finansowym spełni się odwieczne marzenie PO – będzie można likwidować szpitale! Dwa miesiące temu minister Leszczyna opowiadała o „fajnej perspektywie”, którą wymyśliła. Otóż stwierdziła, że powiatowe szpitale oferują zbyt wiele usług i mają zbyt wiele oddziałów. A ona ma pomysł, żeby umówiły się między sobą i zlikwidowały część z nich, bo tak będzie taniej. A jeszcze taniej będzie całkiem zamknąć te szpitale. Do tego etapu jeszcze nie doszliśmy, ale i tego doczekamy, bo przecież od dawna obiecujecie to zrobić marszałek Tomasz Grodzki.

» Zapomnieliście państwo o kanclerzu **Leszku Millerze**, dzisiaj emerycie, a jeszcze niedawno eurodeputowanym Koalicji Europejskiej? Czas sobie przypomnieć. Otóż ten gorący kibic rządów Tuska uważa, że Polska wydaje za dużo pieniędzy na wojsko. Postuluje zatem ograniczenie wydatków na armię do 2 proc. PKB, czyli o połowę. Namawia, aby wydać zaoszczędzone środki na tereny popowodziowe, czyli m.in. na robienie wałów.

» Posłuchać Millera czy nie? W końcu mało kto tak dobrze zna Władimira Władimirowicza Putina jak on, jego wielokrotny gość i bywalec słynnego Klubu Władajskiego. Były premier nigdy nie stracił wiary w pokojowe intencje Rosji. Uspokajał, gdy urządziła manewry Zapad, bo, jak stwierdził: „Wszystkie armie ćwiczą”. Wprawdzie nie wszystkie ćwiczą atak na swoich sąsiadów, ale może to NATO się myli co do Rosji, a Miller ma rację. A co do atmosfery panującej w obecnym rządzie, to Miller na pewno się nie myli: skoro jest pretekst, aby komuś zabrać pieniądze, to trzeba to zrobić!

» Zapowiada się ciekawy, choć bardzo ryzykowny eksperyment, przeprowadzony na żywych organizmach, i to na ludziach. Ścigany przez bodnarską prokuraturę europoseł PiS **Michał Dworczyk** wybrał sobie na obrońcę **Ryszarda Kalisza**. Nie wiadomo, który z nich bardziej ryzykuje, ale na razie więcej wskazań jest na adwokata. Na wieść o tym, że Dworczyk będzie jego klientem, zagotowała się ta część internetu, która popiera „demokrację walczącą”. Szybko zapomniła świeże zasługi Kalisza,

gdy ten jako członek PKW głosował za odebraniem subwencji wyborczej PiS. Teraz jest zdrajcą, i to nie tylko dla Silnych Razem (ci bowiem wszędzie widzą zdrajców). A pravicowa część internetu, przeczytawszy o tym, na moment się uśmiechnęła, potem ziewnęła, a następnie zajęła ważniejszymi rzeczami. Choć z tą zdradą Kalisza może być coś na rzeczy? W końcu to on w szczerej rozmowie powiedział, że Tusk jest „rudy i mściwy”.

» To oczywisty zbieg okoliczności, ale nienawistnicy wrodzy „uśmiechniętej Polsce” i tak w to nie uwierzą: że nie ma związku między pieniędzmi taty a zatrudnieniem dla syna. 23-letni Franciszek Bielowski został doradcą premiera Tuska. To niewątpliwie bardzo zdolny młody człowiek, który na dodatek ma to szczęście, że jego tata jest hojnym sponsorem Platformy. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy Grzegorz, tata Franciszka, wpłacił na konta PO symboliczne 107 tys. zł. Zapewnia on, że nie miał żadnego wpływu na zatrudnienie syna. Tu warto dodać, że także Bielowski senior był kiedyś wielce uzdolnionym młodzieńcem. W wieku 25 lat pełnił już funkcję prezesa wielkiej spółki transportowej Euroad.

» Ale wcale nie trzeba wpłacać, aby objąć odpowiedzialne i dobrze wynagradzane stanowiska. Michał Dąbrowski jeszcze przed wyborami uczestniczył w wiecu PO i z troską zadał pytanie Donaldowi Tuskowi o problemy z rosnącym długiem państwowym (to było za rządów PiS, więc wtedy był problem, a teraz wprawdzie dług jest większy, ale za to Polska uśmiechnięta). Autor pytania został doceniony – jest już prezesem Agencji Rozwoju Przemysłu. Po dwóch tygodniach pracy dostał podwyżkę o 19 tys. zł, o czym już „Sieci” pisały piórem Marka Pyzy.

» Czas na awans także dla młodych kobiet. PO może się pochwalić nie tylko Kristiną Vornovską, asystentką premiera Tuska. Uwagę zwraca obiecująca kariera 24-letniej Sary Borowieckiej, kiedyś kandydatki w konkursie Miss Polonia, a teraz asystentki Borysa Budki. Ta uzdolniona osoba poprzednio pracowała w ORLENIE, czyli koncernie, który podlegał Budce, gdy ten był ministrem aktywów państwowych. Teraz jednak wiernie podąża za swym pryncypałem, gdy ten zamienił ministerstwo na Parlament Europejski. „W spółkach z udziałem skarbu państwa zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów. Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne” – czytamy w 68. konkretnie programu Koalicji Obywatelskiej. „Słuszną linię ma nasza władza”, by zacytować „Misia”.



Polowanie na bobra



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Przed zespołem do spraw rozliczeń powodziowych stawilo się zwierzę zwane bobrem. Niech pan schowa te zęby, bo zaraz nie będzie panu do śmiechu... Proszę podnieść prawą łapę i powtarzać za mną: Ja, bóbr...

Bóbr: Odmawiam odpowiedzi na pytania...

Tusk: Ja, bóbr...

Bóbr: Nie powiem tego.

Hołownia: A dlaczego?

Bóbr: Nie umiem mówić.

Hołownia: Aha, to mamy problem.

Bóbr: Trzeba było budować zapory.

Hołownia: Tak? A co pan zrobił dla ochrony przeciwpowodziowej?! Ile zapór pan zbudował?!

Bóbr: Od groma. 2050.

Hołownia: Pan drwi z nazwy mojej partii?

Bóbr: Odmawiam odpowiedzi.

Tusk: Czy pan w ogóle rozumie, o co jest oskarżony?

Bóbr: O dezinformację? Ale to nie ja mówiłem, że prognozy nie są alarmujące i będą tylko lokalne podtopienia.

Kosiniak: A kto?

Bóbr: Prawdopodobnie jakiś cymbał.

Tusk: Cymbały to blokowały budowę zapór i zbiorników retencyjnych.

Zielińska: O, przepraszam, myśmy jako Zieloni... A, nie, przepraszam... myśmy akurat chcieli zapór, ale nie na Odrze.

Tusk: A gdzie?

Zielińska: Na ulicach. Żeby samochody nie przejeżdżały.

Bóbr: Czy ja już mogę iść do roboty?

Zielińska: Hola, hola! Znowu będą tamy budowane? My tym tamom musimy postawić tamę!

Tusk: Czy pani jest bobrem?

Zielińska: Nie, ale biegałam po lesie, to wiem, co mówię.

Siemoniak: A po co?

Zielińska: Po co mówię? No nie wiem, myślałam, że tak trzeba...

Siemoniak: Proszę pani wiceminister, my tu na sztabie wyborczym...

Tusk: Coś ty powiedział?!

Siemoniak: A co ja powiedziałem?

Hołownia: Że my tu na „szwabie wyborczym”...

Tusk: Nie o szwaba chodzi! „Sztab” powiedział! Ale „wyborczy”?!

Siemoniak: O rany, przepraszam...

Tusk: A teściowa mówiła, że z ciebie jest fajny chłopak.

Siemoniak: A czyja?

Tusk: Moja!

Bóbr: Czy ja jestem wolny?

Tusk: Nie sądzę.

Zielińska: Bardzo nas pan rozczarował tą powodzią. Do bobra mówię, oczywiście.

Bóbr: Ja?

Tusk: Ja, ja. Czy pan wie, że teraz Niemcy muszą nam wysłać z dobrego serca 20 tys. nakładek na mopy?

Bóbr: A pięć nie wystarczy?

Siemoniak: Niech pan się przyzna

i będzie po sprawie.

Bóbr: Ale do czego?

Kosiniak: Że to pan i pańscy bliscy urządzili nam to piekło!

Zielińska: A myśmy tak pana bronili. „Nie strzelajcie do niego!” – krzyczeliśmy. I pan tak się odwdzięcza? Musiał pan po wałach chodzić? Premier pana widział!

Tusk: Nie o to chodzi. Pani zbyt dosłownie odbiera moje słowa. Musimy po prostu wskazać winnych dziurawienia wałów.

Kosiniak: No niech pan nam powie, tak z łapką na sercu: gryzł pan wały czy nie?

Bóbr: Nie.

Siemoniak: Panie, mów pan prawdę, bo ja mam jeszcze kilku zomowców rozgrzanych. O, nie-

dawno chłopaka w sześciu z zalanego mieszkania wyciągali.

Hołownia: I to jest pomoc!

Siemoniak: Nie bardzo, bo na dołek go zwijali.

Hołownia: A za co?

Tusk: Za dezinformację. Pisał, że policji nie ma, wojska nie ma, a szabrownicy hulają.

Hołownia: A byli?

Kosiniak: Myśmy byli gotowi w każdej chwili. Tyle, co buty założyć, pontony napompować, amfibie wyciągnąć, WOT przeprosić i do boju.

Tusk: Nieważne, kto tam był, a kogo nie było. Chodzi o to, że w takim czasie i takim miejscu to jest szerzenie informacji nieoficjalnej, która może się przerodzić w dezinformację. Co innego, gdyby dyskretnie, w gronie najbliższych, wtedy jest sygnalizm. Tym się sygnalista różni od pisowca, tfu, dezinformatora że informuje, kogo trzeba. A kogo trzeba, to na naszych sztabach widać.

Bóbr: Czy ja mogę do toalety?

Tusk: Dobra, dobra...

Kosiniak:...zupa z bobra.

Zielińska: Ale nie straszcie go!

Tusk: Kończmy to przedstawienie. Gryzł pan czy nie?

Bóbr: Kogo?

Siemoniak: No te wały!

Bóbr: Nie.

Kosiniak: To kto?!

Bóbr: Kolega.

Tusk: Nazwisko!

Bóbr: Też bóbr. U nas nie ma nazwisk. Mamy tylko twarze. 

Niebieska fala podwyżek?

Wśrodkach masowego przekazu jak do tej pory niewiele wspomina się o przyjętej przez Europejski Komitet Społeczno-Ekonomiczny deklaracji w sprawie Europejskiego Niebieskiego Ładu (Blue Deal) z 26 października 2023 r. Formalnie komitet ten jest organem doradczym Unii Europejskiej reprezentującym organizacje pracowników i pracodawców oraz inne grupy interesu, w sumie 329 członków wybieranych przez rządy narodowe na pięcioletnią kadencję.

Blue Deal ma stanowić odrębny priorytet strategiczny, do którego będą musiały zostać dostosowane wszystkie obszary polityki UE. Ma być wdrażany na równi z Zielonym Ładem. Planuje się utworzenie Europejskiego Centrum Wody, skupiającego się na realizacji celów politycznych Niebieskiego Ładu, odpowiedzialność za sprawy wody ma zostać powierzona specjalnemu komisarzowi UE.

Niebieski Ład to zbiór zasad skupiających się na zrównoważonym gospodarowaniu zasobami wodnymi, zwiększeniu odporności na zmiany klimatyczne oraz promocji innowacyjnych rozwiązań w sektorze energetyki odnawialnej w celu rozwiązania problemów z dostępnością wody w Europie. Składa się z 15 zasad przewodnich i 21 konkretnych propozycji zmian w obowiązujących aktach prawnych. Wśród propozycji do natychmiastowego wdrożenia znajdują się m.in. opracowanie wytycznych do monitorowania dostępu do wody, bieżące gromadzenie danych o zasobach wodnych i infrastrukturze wodnej, utworzenie unijnej platformy doradczej, wprowadzenie przepisów dotyczących trwałego magazynowania wody w okresach deszczowych, finansowanie rozwoju infrastruktury wodnej i sanitarnej, a także wprowadzenie etykiety zużycia wody na rynku.

Założenia Niebieskiego Ładu wprost wskazują, że w przypadku sektorów znacznie zużywających zasoby wodne, jak przemysł, rolnictwo czy gospodarstwa domowe, Unia powinna wspierać wdrażanie technologii umożliwiających oszczędne gospodarowanie wodą, recykling i redukcję zanieczyszczeń oraz ograniczających straty wodne spowodowane wyciekami w sieciach. Polityka rolna i przemysłowa UE musi obejmować środki wspierające ponowne wykorzystanie i recykling wody oraz redukcję zanieczyszczenia wody. Wszystkie programy Wspólnej Polityki Rolnej powinny zachęcać do zrównoważonej i wydajnej gospodarki wodnej. Zwraca uwagę wymieniona w deklaracji zasada nr 8, wedle której rolnictwo zostało uznane zarówno za jedną z głównych przyczyn, jak i ofiar niedoboru wody. Unia zaś musi zapewnić za pomocą planu strategicznego dostęp do wody wystarczającej jakości i zrównoważone zarządzanie nią w rolnictwie, aby umożliwić odpowiednią i zrównoważoną produkcję żywności w UE.

W ramach działań, które powinny zostać wdrożone w trybie pilnym, wskazano, że należy ustanowić wspólne podejście na szczeblu UE do sprawiedliwego kształtowania cen wody. Taryfy za nią mają zawierać sygnały cenowe w celu zapewnienia bar-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

dziej zrównoważonej konsumpcji. Według deklaracji zrównoważone wykorzystanie wody i warunkowość w zakresie wody powinny być kryteriami we wszystkich funduszach UE, tak aby uniknąć wspierania projektów, które są sprzeczne z celami ramowej dyrektywy wodnej i nowego Niebieskiego Ładu.

Wiele wskazuje na to, że przedsiębiorcy zostaną obciążeni obowiązkiem raportowania dotyczącego „śladu wodnego” poprzez wskazanie ilości zużytej wody pochodzącej z opadów atmosferycznych, pozyskanej z zasobów wód powierzchniowych i podziemnych oraz tej, która ulega zanieczyszczeniu w procesie produkcji. Ma obowiązywać spójne podejście do kształtowania cen wody z uwzględnieniem zasady „zanieczyszczający płaci” i motywacji do bardziej zrównoważonej konsumpcji.

Czy deklaracja w sprawie Niebieskiego Ładu stanie się kolejną podstawą do uchwalania przepisów skutkujących podwyższeniem kosztów życia? Czyżby Europejczyków miały czekać kolejne podwyżki? Czy gospodarki państw członkowskich wytrzymają obciążenia generowane już nie tylko przez Zielony, lecz także Niebieski Ład?



*Naszemu koledze,
eurodeputowanemu PiS*

**Adamowi
Bielanowi**

*wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci*

Mamy

*w imieniu Grupy EKR
składają*

*współprzewodniczący Joachim Brudziński
i Nicola Procaccini*

Holenderski rząd Dicka Schoofa zwrócił się do Komisji Europejskiej z wnioskiem o wyłączenie tego kraju z unijnych przepisów migracyjnych. „Właśnie poinformowałam Komisję Europejską, że chcę, aby Holandia otrzymała migracyjny opt-out [wyłączenie z unijnych przepisów] w Europie. Musimy znów odpowiadać za naszą politykę azylową!” – oświadczyła minister ds. migracji Marjolein Faber.

Holandia chce sama kształtować własną politykę azylową i dąży do wdrożenia nowych, bardziej restrykcyjnych zasad dotyczących przyjmowania imigrantów. Mają one obejmować zaostrzone kontrole graniczne i surowsze zasady dla osób ubiegających się o azyl, a do 2027 r. przynieść oszczędności rzędu ponad 467 mln euro. Nowe reguły zwalniałyby też państwo z konieczności gwarantowania imigrantom m.in. mieszkania i świadczeń socjalnych.

W grudniu, tuż po wyborach, w których zwyciężyła antyimigrancka Partia Wolności (PVV) Geerta Wildersa, holenderski rząd został zobligowany przez parlament do pozostawienia sobie swobody co do konieczności udziału Holandii w unij-

Dość już imigrantów

nym mechanizmie relokacji uchodźców. Wilders deklarował wówczas, że chce, aby Holandia stała się krajem znacznie mniej atrakcyjnym dla osób ubiegających się

o azyl, szczególnie tych z Afryki i Bliskiego Wschodu. Wniosek PVV przeszedł dzięki poparciu czterech ugrupowań, które stworzyły większość i utworzyły nowy rząd. Koalicyjne partie zapowiedziały również ograniczenie imigracji zarobkowej i zaostreżenie zasad przyjmowania zagranicznych studentów na tamtejsze uniwersytety.

Czy prośba Holandii będzie skuteczna? Komisja Europejska odpowiedziała, że w obecnej sytuacji kraje członkowskie nie mają możliwości wyłączenia z unijnych przepisów dotyczących imigracji, a o tzw. stały wyjątek można się było ubiegać przed uzgodnieniem paktu migracyjnego. Z klauzuli opt-out skorzystała kiedyś m.in. Wielka Brytania, która nie chciała wprowadzać u siebie waluty euro. A po tym, jak Duńczycy odrzucili w referendum traktat z Maastricht, Dania wynegocjowała dla siebie cztery inne wyjątki. Całkiem więc możliwe, że wobec blokady ze strony Komisji Europejskiej rząd w Hadze zareaguje wzmocnieniem kontroli na swoich granicach. Dołączy tym samym do sześciu innych krajów strefy Schengen, które powróciły do kontroli na granicach państwowych.

Maciej Walaszczyk



Fot. Tony3112/Shutterstock.com

Dziwny spisek

Komitety Śledczy Armenii aresztował trzech z grupy siedmiu mężczyzn, którzy przeszli przeszkolenie w Rostowie nad Donem i zdaniem władz mieli obalić rząd premiera Pasziniانا. Pozostali są poszukiwani.

Zdaniem prokuratorów prowadzących śledztwo oskarżani o próbę puczu przechodzili w Rosji szkolenie z obsługi ciężkiego sprzętu wojskowego. Po powrocie do Armenii mieli zwerbować możliwie dużą grupę ochotników i wraz z nimi doprowadzić do siłowej zmiany władzy. Wśród aresztowanych znajduje się Sierob Gasparian związany z organizacją Czarna Pantera, która oskarżała obecny rząd w Erywaniu o zdradę interesów narodowych w związku z przegraną wojną o Górski Karabach. Władze tego ugrupowania odrzucają oskarżenia o uczestnictwo w spisku i twierdzą, że jest to prowokacja służb specjalnych. Z kolei rodzina aresztowanego poinformowała media, że „od miesiący” był on inwigilowany przez służby, które szukały pretekstu do jego zatrzymania.

Premier Nikol Paszinianna ujawnił informację o nieudanym zamachu, występując na Forum Ormian, międzynarodowej konferencji odbywającej się w Erywaniu. Oskarżył przy okazji kontrolowany przez Rosję blok wojskowy OUBZ o destabilizację sytuacji w Armenii oraz zapowiedział, że „przy pierwszej okazji” podejmie starania o wstąpienie do Unii Europejskiej. Zaapelował też do władz Turcji o przyspieszenie prac nad

normalizacją stosunków dwustronnych i otwarciem wspólnej granicy, która jest zamknięta od 1993 r.

Jesienią ub.r. władze Armenii udaremniły inny spisek, który został zawiązany przez byłego burmistrza Erywania Alberta Bazejana. Wraz z nim aresztowano kilku członków nacjonalistycznej organizacji Krzyżowcy, a w czasie przeszukania ich mieszkań znaleziono broń i amunicję. Prokuratura oskarżyła wówczas spiskowców o przygotowywanie zamachu na życie Paszinianna, ale z czasem cała sprawa rozeszła się po kościach. Mimo groźnie brzmiących oskarżeń, latem br. Bazejan został zwolniony z więzienia i umieszczony w areszcie domowym.

Niewykluczone zatem, że najnowszy spisek to element gry Paszinianna, który, podkreślając zagrożenie dla obecnego kursu Armenii, stara się wyrzucić presję na Turcję i Azerbejdżan, aby znormalizowały swoje relacje z Erywaniem oraz na państwa Zachodu, przede wszystkim na Francję, aby otworzyły przed Armenią perspektywę członkostwa w Unii.

Marek Budzisz



Fot. Asatur Yesayan/Shutterstock.com



Broń samochodowa

Wielka Brytania 

Chińskie samochody elektryczne mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa – twierdzą autorzy raportu opublikowanego przez brytyjski think-tank China Strategic Risks Institute (CSRI). Zdaniem ekspertów zainstalowane w autach moduły elektroniczne pozwalają na zdalną kontrolę nad samochodami i wyłączenie ich silników.

Wielka Brytania jest ważnym importerem chińskich aut elektrycznych. Ich udział w brytyjskim rynku motoryzacyjnym wzrósł gwałtownie od 2 proc. w 2019 r. do ponad 33 proc. cztery lata później. Dzieje się tak m.in. dlatego, że władze Zjednoczonego Królestwa nie wprowadziły – tak jak Unia Europejska – wysokich ceł na pojazdy sprowadzane z Chin.

Zdaniem ekspertów z CSRI prowadzi to do uzależnienia Wielkiej Brytanii od importu z Chin. Brytyjski przemysł motoryzacyjny nie będzie bowiem w stanie konkurować z chińskim rywalem. W tej chwili firmy z tej branży zatrudniają prawie 200 tys. osób i odpowiadają za 2,5 proc. brytyjskiego PKB. Jest to jednak niewiele w porównaniu z chińskim przemysłem motoryzacyjnym, który dzięki rządowym subsydiom jest w stanie wyprodukować nawet 10 mln tanich aut elektrycznych rocznie. Przy takiej dysproporcji sił i potencjałów brytyjska branża samochodowa szybko się załamie, a kraj, jak alarmują eksperci, stanie się „wysypiskiem śmieci”.

Jednak zagrożenia wynikające z zalania Wielkiej Brytanii samochodami sprowadzanymi z Chin

nie ograniczają się do sfery gospodarczej. CSRI ostrzega, że komponenty zamontowane w chińskich autach elektrycznych mogą zostać wykorzystane do działań hybrydowych przeciwko Wielkiej Brytanii. Jak twierdzą eksperci, zainstalowane w pojazdach moduły internetu rzeczy (CIM) mogą być używane do przesyłania danych na temat brytyjskich użytkowników z powrotem do Pekinu. Z tego powodu rząd w Londynie wcześniej zdecydował o wycofaniu komponentów Huawei z sieci 5G.

Jak twierdzi CSRI, znacznie większym zagrożeniem ma być jednak możliwość zdalnego wyłączenia i kontrolowania samochodów, co stanowi już bezpośrednie zagrożenie dla brytyjskiego bezpieczeństwa narodowego. Można sobie bowiem wyobrazić, jak poważne konsekwencje miałby sztucznie wywołany paraliż ruchu drogowego w wypadku wojny czy choćby zaostrożenia sytuacji międzynarodowej.

Jeden z dyrektorów CSRI ubolewa, że brytyjski rząd niewiele zrobił, by wyeliminować zagrożenie. „Apelujemy o zajęcie się tą kwestią. W przeciwnym razie Wielka Brytania może stać się celem szantażu ze strony Pekinu” – podkreśla w rozmowie z „The Telegraph”.

**Konrad
Kołodziejewski**

Sprofanowana świątynia

Indie 

Hinduistyczna świątynia Wenkateśwary na wzgórzach Tirumala w Tirupati w indyjskim stanie Andhra Pradesh to jedno z najliczniej odwiedzanych miejsc kultu religijnego na świecie. Każdego roku przybywają tam miliony pielgrzymów, aby oddać cześć bogu Wisnu. Niedawno okazało się, że w świątyni doszło do profanacji, w związku z czym hinduscy kapłani musieli dokonać rytualnego oczyszczenia zbezczeszczonego miejsca. Uroczysty obrzęd dokonany przez braminów trwał cztery godziny i wzbudził poruszenie w całym kraju.

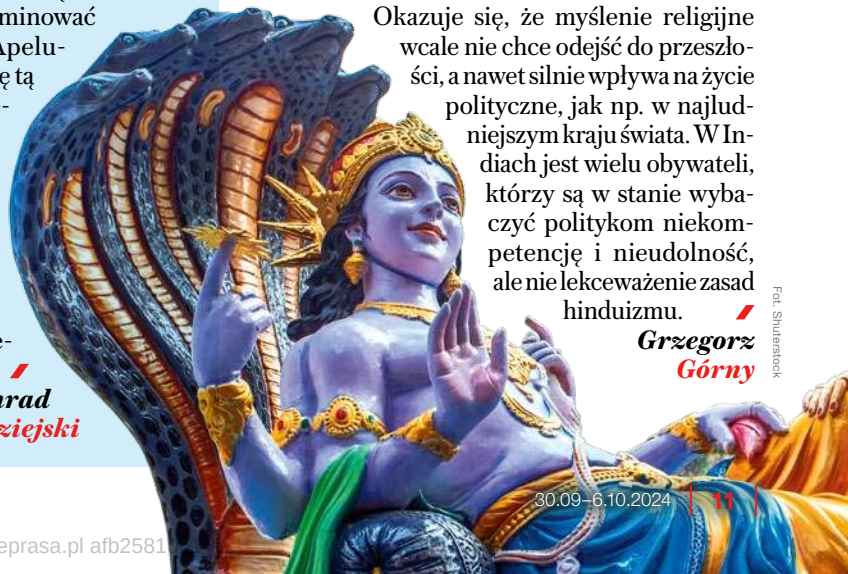
Na czym polegała profanacja? Otóż na terenie otaczającym świątynię sprzedawano popularne indyjskie ciasteczka zwane laddu, czyli kulki z mielonej ciecierzycy maczane w syropie i oblepione kawałkami migdałów lub orzechów. Kupowane przez pielgrzymów słodczyce były później składane bóstwu w ofierze. Niedawno zlecono zbadanie w laboratorium składników używanych do sporządzania tych wyrobów cukierniczych. Okazało się, że w próbkach masła wykryto obecność tłuszczu wołowego, smalcu i oleju rybnego, a więc pokarmów zakazanych w hinduizmie. Wybuchł wielki skandal.

Sprawa ma drugie dno. Badania laboratoryjne zleciły nowo wybrane władze lokalne wywodzące się z Indyjskiej Partii Ludowej. Odpowiedzialnością za profanację obciążyły swych poprzedników z Indyjskiego Kongresu Narodowego, którzy mieli niewłaściwie pełnić nadzór nad świątynią. Zapowiadają wszczęcie w tej sprawie postępowania i ukaranie winnych.

Ten przypadek pokazuje, że nie sprawdzają się prognozy wielu zachodnich politologów, którzy (w ślad za Maksem Weberem) powtarzają tezę o nieuchronności „odczarowania świata”.

Okazuje się, że myślenie religijne wcale nie chce odejść do przeszłości, a nawet silnie wpływa na życie polityczne, jak np. w najludniejszym kraju świata. W Indiach jest wielu obywateli, którzy są w stanie wybaczyć politykom niekompetencję i nieudolność, ale nie lekceważenie zasad hinduizmu.

**Grzegorz
Górny**



Fot. Shutterstock

WIEŻA BAB

Minister klimatu i środowiska Paulina Henning-Kłoska znów się pomyliła. Tym razem podczas sejmowego głosowania, podczas którego zagłosowała przeciw procedowaniu specustawy powodziowej na bieżącym posiedzeniu. „Tego typu omyłka się zdarza. Natomiast byłam pewna, że to głosowanie dotyczy państwa wniosku o odrzucenie bardzo ważnej ustawy” – tłumaczyła się. Czyli pani minister nawet nie wiedziała, nad czym głosuje. To nie pierwsza jej pomyłka.

Gdy jeszcze przed powołaniem rządu do Sejmu trafił poselski projekt ustawy wiatrakowej, który wywołał poważną drakę, Henning-Kłoska „przez pomyłkę” zdradziła, że dostała go od Borysa Budki, na co ten się wściekł, bo to miała być tajemnica.

Pani minister wielokrotnie też się myliła, szacując ceny energii po ich odmrożeniu. Mówiła, że rachunki będą wyższe o 30 zł, a okazało się w wielu przypadkach, że wzrosły o 30 proc. Pomyliło się jej też z pożyczkami. Szefowa MKiŚ na konferencji zadeklarowała, że ok. 100 mln zł zostanie przeznaczone „na niskooprocentowane pożyczki na poziomie 1,5 proc. do 2,5 proc. na likwidację skutków powodzi”. To doprowadziło do szału współkoalicjantów i samego premiera, który napisał na platformie X (d. Twitter): „Jeszcze raz o pomocy: każdy poszkodowany przez powódź ma prawo do natychmiastowej pomocy doraźnej 10 tys., na remont do 100 tys., na odbudowę domu do 200 tys. BEZZWROTNE. Możliwe będą także inne formy pomocy. Kto kłamie w tej sprawie, szkodzi powoździanom, nie rządowi”. Po tym wpisie resort środowiska poinformował, że informacja o pożyczkach to fake news i robotę stracił rzecznik resortu. Pewnie przez pomyłkę, bo to pani minister powinna pożegnać się z funkcją.

Ale nie tylko minister środowiska zdarzają się pomyłki. Pomyliła się też minister zdrowia Izabela Leszczyna, która w kampanii zapowiadała: „Chcę powiedzieć Polakom, że wszystkie problemy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki”. Ostatnio jednak zwerifikowała swoje zapowiedzi, przyznając: „Nie da się za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmie-

Komedia pomyłek

Pani minister nawet nie wiedziała, nad czym głosuje. To nie pierwsza jej pomyłka

nić wszystkiego od razu”. Dziś NFZ stoi na granicy bankructwa, przestał płacić szpitalom za nadwykonania, a te zaczęły odwoływać planowe zabiegi i zamykać oddziały. Okazuje się, że Izabela Leszczyna potrafi popsuć nawet czarodziejską różdżkę. A może ją zgubiła?

Jeśli tak, to może znajdzie ją Marcin Kierwiński, który został pełnomocnikiem rządu ds. odbudowy po powodzi. Podobno nikt jak „Bobas” nie umie sobie poradzić w kryzysowych sytuacjach, co widzieliśmy przy okazji „problemów z nagłośnieniem” podczas jego wystąpienia w Dniu Strażaka. Ogłaszając tę nominację, pomylił się Donald Tusk, który powiedział, że Kierwiński zajmie się odbudową rządu. Pytanie tylko, czy jest co ratować po dwóch spektakularnych pomyłkach premiera, który w piątek 13 września stwierdził, że prognozy nie są przesadnie alarmujące, gdy IMG i Komisja Europejska były na alarm. Szef rządu pomylił się także co do zapory w Stroniu Śląskim. Na konferencji twierdził, że wytrzyma, a kilka godzin później jednak nie wytrzymała. By ratować swój wizerunek, Tusk postanowił, że sztaby kryzysowe będą transmitowane na żywo, co nawet Jacek Żakowski nazwał „metodami putinowskimi”. Trudno się więc dziwić, że podczas jednego z takich sztabów pomylił się szef MSWiA Tomasz Siemoniak, mówiąc o posiedzeniu sztabu wyborczego zamiast sztabu kryzysowego, co tłumaczył swoim zmęczeniem.

Całkiem nieźle na tym tle wypada Władysław Kosiniak-Kamysz, który już kilka tygodni temu przyznał, że mylił się co do Wojsk Obrony Terytorialnej, których powołanie krytykował, a teraz uważa, że terytorialsi są bardzo potrzebni.

Do pomyłki przyznała się także Paulina Matysiak z partii Razem. Chodziło jej o poparcie dla rządu. „Gdyby rok temu Donald Tusk powiedział w swoim wystąpieniu, co zamierza robić, jak będzie przejmował TVP, jak podchodził do prawa, że kiedy mu wygodnie, to uznaje pewne przepisy, a jak nie, to mamy demokrację walczącą, to myślę, że nie zagłosowałabym za poparciem dla rządu” – powiedziała w Radiu Plus. Trzeba przyznać rację pani poseł: największą pomyłką ostatnich miesięcy jest właśnie ten rząd.

Dorota Łosiewicz



Kto do rządu, kto do opozycji

Ocena polityki to nie tylko program, nie tylko gospodarka, stan bezpieczeństwa w każdym tego słowa znaczeniu, lecz także emocje. Kto tego nie rozumie, ten nie rozumie polityki. W wyborach politycznych powinny nas determinować nie emocje, a fakty i konkrety, ale wiemy, jak jest.

Polska demokracja jest zmienna, ale jedno jest stałe od 19 lat: naprzemiennie rządzi albo PiS albo PO. Czasem te ugrupowania muszą sobie dokooperować koalicjanta, ale to one zdominowały scenę polityczną i raz rządzi jedna, raz druga. Każda z nich zagospodarowuje różne emocje. Jesienią 2005 r. te emocje wygrało Prawo i Sprawiedliwość i doszło do władzy, ale po dwóch latach musiało ją oddać. Wtedy zaczęły się problemy gospodarcze, upadek i zwijanie państwa, które nawet przedstawiciele rządu nazywali „teoretycznym”, a propaganda sukcesu tak mocno rozmijała się ze stanem portfela, że wyborcy odebrali władzę Platformie Obywatelskiej i Polskiemu Stronnictwu Ludowemu i oddali z powrotem partii Jarosława Kaczyńskiego, który za drugim razem mógł już rządzić samodzielnie.



**Samuel
Pereira**

Emocje znów zaczęły buzować, oczywiście w dużej mierze sztucznie, a dziś, gdy znowu zaszła zmiana, okazuje się, że ci, którzy byli świetni w byciu w opozycji, jako ludzie władzy „nie ogarniają”. I odwrotnie: Prawo i Sprawiedliwość, które u władzy w końcu pokazało, że w tej III RP jednak można być sprawczym, nie bardzo wychodzi skuteczne kontrowanie Donalda „Nic nie mogę” Tuska. Okazuje się, że jedni potrafią mistrzowsko grać w opozycji, ale sprawne rządzenie pozostaje domeną tych, którzy może mniej krzyczą, a więcej działają. To jednak mało do bycia skutecznym w opozycji. Ekipie Donalda Tuska do-

brze wychodzi kręcenie g...noby i krytykanctwo oparte na fake newsach, ale rządzenie już nie bardzo, a z kolei obóz prawicowy może nie jest „seksi” wizerunkowo i bycie opozycją nie idzie mu najlepiej, ale rządzenie wychodzi mu na tyle dobrze, że zawsze wkurza Niemców, którzy widzą, że sąsiadowi w końcu zaczyna wychodzić i nasz kraj się rozwija. Gdy role się zamieniają, Polskę znów zaczyna wieść się gorzej niż wcześniej. Jak widać wszystko działa dobrze tylko wtedy, gdy każdy z tych dwóch obozów gra przypisaną sobie rolę.

REKLAMA

RP

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

16
**FESTIWAL
FILMOWY NNW**



NNW

**4-7.10
2024
GDYNIA**
wstęp wolny

ORGANIZATORZY

SCENA
KULTURY

GDYNIA
MIASTO FILMU

unesco
Network of the European Cultural Heritage

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

WSPÓLFINANSOWANIE



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

PARTNERZY

CEGURA
CEDROB

MALPIN

PARTNERZY INSTYTUCJONALNI



INSTYTUT
FILMOWY





Walizka Tomka Torresa

perkusisty Afromental, muzyka

Podróżę to jeden z najważniejszych aspektów mojego życia. Zaczęłam zwiedzać świat, kiedy miałam jakieś 13 lat i od tamtej pory trudno mi się zatrzymać. Podróżowanie pozwala mi nabrać dystansu do mojej codzienności, a także spojrzeć na wiele rzeczy z zupełnie innej, szerszej perspektywy i zrozumieć to, co czasem bywa ciężkie do zrozumienia. Ponadto mam wielkie szczęście, że zawód muzyka, który wykonuję od 25 lat, łączy się z podróżowaniem, więc tak naprawdę co dzień łączę moje dwie największe pasje. Za każdym razem, kiedy wsiadam do zespołowego busa lub kiedy tylko pojawiają się na lotnisku, czuję taki sam dreszczyk pozytywnych emocji, jaki towarzyszy mi od samego początku! Dzięki podróżom poznaję nie tylko odległe kultury, lecz także samego siebie.



HANDPAN

Praktycznie nigdzie nie ruszam się bez mojego instrumentu! Jest moim towarzyszem podróży, bliskich i dalekich. Odkąd pojawił się w moim życiu, tak wiele się zmieniło i wiele mu zawdzięczam. Pomaga mi w chwilach, kiedy za dużo myślę, a zapominam o tym, żeby poczuć też siebie. Jest idealnym kompanem do odstresowania się i najlepszej medytacji.



PAŁKI PERKUSYJNE

Najważniejsze akcesorium każdego perkusisty. Nigdy nie wiadomo, czy któregoś dnia nie zadzwoni do mnie Sting, że potrzebuje perkusisty na swój koncert. Zdarzyło się natomiast nie raz, że trzeba było zagrać w Polsce koncert w ostatniej chwili i wtedy zawsze jestem na to gotowy!



DZWONKI KOSHI

To instrument, który przypomina mi o moim wewnętrznym dziecku. Ich niesamowite brzmienie uspokaja, pozwala zatopić się w vibracji dźwięku i skłania do refleksji.





SLUCHAWKI

Najlepiej wspominam te chwile, kiedy mogłem zostać z muzyką sam na sam. Dlatego większość moich podróży koncertowych spędzam w słuchawkach i jestem wdzięczny, że wymyślono system wygłuszania otoczenia, bo wtedy mogę naprawdę odizolować się od świata i zatopić w emocjach związanych z muzyką.



PEYTA AFROMENTAL

W br. świętujemy 20-lecie mojego zespołu i będziemy obchodzić to hucznie 17 grudnia w klubie Stodoła. To jeden z najważniejszych muzycznych projektów, jakie stworzyłem. Przy okazji tego jubileuszu

obliczenie nasunęło się samo, że zajmuję się nim połowę swojego życia. To już nie są żarty!



ZEGAREK

Nie ma nic cenniejszego i bardziej nieuchwytnego niż czas. Zegarek na rękę przypomina mi to każdego dnia. Odkąd skończyłem 40 lat, zdecydowanie bardziej świadomie pilnuję tego, komu i na co ten swój czas poświęcam. Tym bardziej od kiedy zostałem tatą!



PERFUMY

Moja mama zaszczerpiła we mnie miłość do perfum i do dziś, kierując się jej wskazówkami, jestem raczej wierny jednemu zapachowi, którego używam od ponad dekady. Dzięki temu ten zapach jest kojarzony ze mną i wiele razy zdarzało się, że znajomi, będąc na drugim końcu świata, pisali mi, że myśleli, iż też tam jestem, bo nagle poczuła zapach perfum, który kojarzy im się ze mną.



KREM DO STYLIZACJI WŁOSÓW

Kiedyś robiłem wszystko, żeby mieć proste włosy. W czasach, kiedy je zapuszczałem, słuchałem naprawdę mocnego metalu i zależało mi na tym, żeby móc trzepać głowę przy tej muzyce. Niestety z moimi lokami po takim trzepaniu pozostawało już tylko afro, które z założenia jest mało metalowe. Po wielu latach ścinałem włosy na krótko, a ostatnio w ramach akceptacji zacząłem je znowu zapuszczać, żeby tym razem naprawdę je pokochać. Niezbędne produkty kosmetyczne pozwalają mi je ujarzmić.



DESKI DO AKUPRESURY

Jedno z moich największych odkryć ostatnich lat! Każdy dzień, czy to w podróży, czy w domu, zaczynam od stawiania na deskach pełnych gwoździ.

To ćwiczenie nie tylko trenuje umysł, lecz także pozwala się zrelaksować i uzdrowić pewne emocjonalne stany, z którymi każdy z nas czasem musi się zmierzyć.



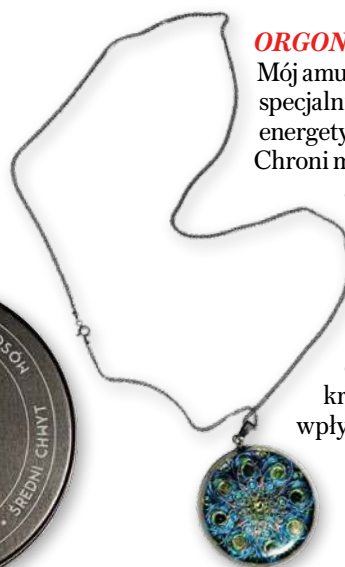
KSIĄŻKA

Zamiłowanie do czytania przyszło do mnie późno, dlatego lista książek, które chciałbym przeczytać, jest bardzo długa. Jedną z moich ulubionych pozostaje „Mały księżę”, choć dziś o wiele chętniej zatapiam się w lekturach związanych z samorozwojem i świadomością. Natomiast mając małą córeczkę, myślę, że za chwilę znów będę wracał do bajek. Aktualnie kończę bardzo ciekawą książkę mojego idola Jordana Petersona „12 zasad życia – antidotum na chaos”.



ORGONIT

Mój amulet ochronny zrobiony specjalnie pod moje zapotrzebowania energetyczne i z intencją ochronną. Chroni moją sferę duchową, a także niweluje szkodliwe promieniowanie elektromagnetyczne wytwarzane przez telefony, telewizory itp. Działa harmonizująco na organizm, delikatnie pobudza kreatywność, pozytywnie wpływa na energię życiową.



**Wysłuchał
Michał Korsun**

Nieszczęścia chodzą parami

Koalicja 13 grudnia stworzyła fatalny rząd – skłócone zbiorowisko niekompetentnych polityków i pyszałków skupionych na ideologicznych wojenkach i niekończących się zapowiedziach rozliczenia mitycznych afer.

To zła wiadomość dla Polaków. Jeszcze gorsza jest taka, że o miano najgorszego ministra w tym kiepskim gabinecie walczą zacięcie dwie osoby, obie odpowiedzialne za sprawy fundamentalne, w tym ceny energii i bezpieczeństwo energetyczne – Paulina Henning-Kloska i jej zastępczyni Urszula Zielińska.

Festiwałem niekompetencji, lobbyistycznych wrzutek, groźnego pseudoekologizmu i zwykłej głupoty, które obie panie nieustannie nam fundują, można by obdzielić 10 ministerstw i jeszcze zostałby zapas.

Reprezentująca Polskę 2050 minister Henning-Kloska pokazała, co potrafi, zanim jeszcze rozgościła się na dobre przy Wawelskiej, za sprawą słynnego „lex wiatrak” – rogu obfitości lobbyistów – z przymusowymi wywłaszczeniami, budową farm wiatrowych 300 m od okien i pod liniami wysokiego napięcia, upchniętego dla niepoznaki w ustawę mającą chronić Polaków przed drożyzną.

Wiceminister Zielińska (notabene jeżdżąca dieslem szefowa proniemieckiej partii Zielonych), nie chcąc zostać w tyle, na początek zapowiedziała, że elektrownia atomowa jest w Polsce zbędna, lokalizację się zmieni, a kontrakt z Amerykanami się unieważni.

W obydwu przypadkach interweniował i tłumaczył się premier, jednak obie panie na mocy umowy koalicyjnej przetrwały na stanowiskach i z zapalem kontynuują wyścig w demolicie Polski.

Po polsko-niemieckich konsultacjach rządowych minister Henning-Kloska ogłosiła, że co prawda rozbudowy portów w Świnoujściu pewnie nie będzie, za to powstanie skutecznie blokujący regionalny rozwój park narodowy Dolnej Odry, a Niemcy zabiorą z Polski swoje śmieci. Niemiecka minister odpowiedziała, że to wszystko prawda, tyle że śmieci nie zabiorą, bo nie mogą.

Zielińska oświadczyła za to w Brukseli, że Polska zredukuje emisję CO₂ o 90 proc. i będzie do tego namawiać inne kraje. Te wyruszyły ramionami. Premier znów się wściekł, a niezrażona wiceminister przygotowała nedoręczny i nierealny Krajowy Plan Energii i Klimatu, którego na wszelki wypadek jeszcze nikomu nie pokazała.



*Zastanawiam się,
co jeszcze musi się
stać, aby Tusk wściekł
się wystarczająco
mocno, by odwołać
panie minister*

Na to minister Henning-Kloska przygotowała energetyczną ustawę osłonową, chwając się, że podwyżki rachunków za prąd nie przekroczą 30 zł. Szybko okazało się, że chodzi o 30 proc., w wyliczeniach kosztów nie doszacowała kilku miliardów i zapomniała o przedsiębiorcach, szkołach i szpitalach. Wysokość podwyżek cen gazu i ciepła przeznacza minister zachowała już dla siebie.

W odpowiedzi Zielińska pojechała nad Odrę i oświadczyła, że transport rzeczny jest nieopłacalny (właściciele barek znad Renu, Dunaju czy Sekwany zakrzusili się ze śmiechu), a rybnym w rzece brakuje wody, dlatego regulacja rzeki, budowanie wałów przeciwpowodziowych, zbiorników retencyjnych i przeciwpowodziowych to ekologiczna zbrodnia.

W tym samym czasie Henning-Kloska oddawała się ulubionemu zajęciu – dogadaniu lobbyistom. Przygotowała dla nich 12 proc. premii ekstra z kieszeni Polaków w tzw. zielonych certyfikatach. Po desperackiej interwencji zarzynanego podwyżkami polskiego przemysłu skończyło się na 8 proc. Na egzotyczne wakacje wystarczy.

Apogeum przyszło wraz z powodzią.

Obie panie, przymuszone do działania, podzieliły się ze światem swoimi pomysłami na wsparcie zdruzgotanych kataklizmem mieszkańców zalanych terenów.

Henning-Kloska wspaniałomyślnie zaproponowała zdemolowanym wsiom i miasteczkom pożyczki na procent, zaś Zielińska jako remedium na przyszłe powodzie zalesianie gór, małe zbiorniki retencyjne, takie jak Racibórz (pani minister, ani on mały, ani retencyjny) i ograniczanie emisji które „działają uspokajająco na klimat” (!!).

Nie sposób opowiedzieć tu o wszystkich wyczynach tej wspaniałomyślnej dwójki kobiet. W kilka miesięcy zdążyły jeszcze zdemolować przemysł drzewny i lasy państwowe, nie znalazły za to czasu, żeby zająć się kluczowym dla bezpieczeństwa energetycznego rynkiem mocy (choć w sumie może to i lepiej). To, że nie znają nawet nazw spółek, które rzekomo nadzorują, ani zakresu swoich kompetencji (słynne „podpisywanie ustaw” Henning-Kloski) to już naprawdę drobiazgi.

Zastanawiam się, co się jeszcze musi stać, aby Tusk wściekł się wystarczająco mocno, by odwołać panie minister. Wiem jedno: bezpieczeństwo energetyczne to zbyt poważna sprawa, by spoczywało w tak niepoważnych rękach.

Daniel Obajtek



Diplodok od nowa

Z *Wojtkiem Wawuszczykiem*, reżyserem, animatorem, scenarzystą i rysownikiem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co smok Diplodok robił na festiwalu filmowym w Gdyni?

Wojtek Wawuszczyk: Próbowałem zachwycić widzów od szóstego roku życia i z wielu źródeł usłyszałem, że poradził sobie z tym całkiem nieźle.

Dlaczego do stworzenia pełnometrażowej animacji zainspirowały pana właśnie komiksy Tadeusza Baranowskiego?

Zachwyciły mnie 40 lat temu. Nie miałem w dzieciństwie wielu tak bezkompromisowo kolorowych i pełnych swobody rzeczy, jak właśnie te obrazkowe historie. Ich absurdalny, odklejony od czasów, miejsc i ludzi żart ukształtował moje poczucie humoru, a niewymuszony gest w rysunku wpłynął na to, co robię dzisiaj jako twórca komiksów i filmowiec.

Czy i jak w stosunku do pierwowzoru zmienił się Diplodok?

Film jest zrealizowany w stylistyce, do której przywykł dzisiejszy odbiorca. Niemal 30 lat po premierze „Toy Story” doczekaliśmy się pierwszego polskiego „pixara”. Animacja 3D wymagała wielu większych i mniejszych zmian w plastyce w stosunku do oryginału. Zależało mi na tym, aby postać Diplodoka wyglądała na młodą. Jeśli chodzi o warstwę narracji, to różnic jest znacznie więcej, bo jest to mój oryginalny scenariusz, intensywnie czerpiący z motywów, wątków i dialogów z komiksów. Jedną ze zmian jest to, że komiksowy bohater skakał w czasie i przestrzeni, a w filmie przenosi się między różnymi historijkami obrazkowymi narysowanymi przez tego samego autora.

Smoka Diplodoka, Profesorka Nerwosolka, czarodzieja Hokusa Pokusa i pilotkę Entomologię jako pierwszy poznali czytelnicy, którzy byli dziećmi w połowie lat 80.

ub.w. Czy także dla nich zrealizował pan swój animowany projekt?

Wraz z ogromną liczbą artystów pracujących przy filmie jesteśmy takimi czytelnikami. Tadeusz Baranowski to dla nas nie tylko mistrz, lecz także przyjaciel, dlatego odnosiliśmy się do oryginału z wielkim szacunkiem i czułością. Jednocześnie podstawową grupą docelową są dzieci, głównie klasy 1–6. Wiele z nich nie zna komiksowego pierwowzoru. Jednym z moich celów było zainteresowanie komiksami Tadeusza nowych czytelników. Ponieważ robiłem ten film również dla małego Wojtka, który żyje wewnątrz mnie, wierzę, że sprawnie uchwyciłem ducha oryginalnych komiksów. Film bardzo się podoba Tadeuszowi mimo znacznych różnic. Wiem też, że podczas festiwalowych projekcji wielu fanów jego komiksów miało ogromną satysfakcję i ponownie poczuło się dziećmi.

„Smok Diplodok” trafi do polskich kin 4 października. Co będzie później?

W przyszłym roku ruszy dalej – został sprzedany do ponad 110 krajów. Czuję, że jest to bardzo ważny film, szczególnie w czasach pełnych niepokoju. Mówi, że w każdym z nas jest siła. Pokazuje, że bohaterowie potrafią poradzić sobie ze strachem i smutkiem niezależnie od tego, jak szalony zdaje się świat dookoła. I wreszcie – widzowie wychodzą z kina z uśmiechem na ustach.

REKLAMA

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 22.00

TRENDY I OWĘDY

Wojna semantyczna

Jak zostać „pisowcem”? Wystarczy publicznie powiedzieć prawdę niewygodną dla obecnie rządzących. Przekonał się o tym redaktor Jacek Żakowski. Ten uznawany za dziennikarską wyrocznię michnikowszczyzny w TVP w likwidacji oświadczył, że to, co robi premier Donald Tusk, jest putinadą. Dodał, że w cywilizowanych krajach nie ma takich zwyczajów, że kiedy jest powódź, przywódca zbiera sztab i publicznie ruga podwładnych. Nie dość, że w TVP w likwidacji ten materiał zaginął, to jeszcze wtrącił się szef ścigania odstępstw od jedynie słusznej linii panującej aktualnie niemiłościwiej władzy, znany adwokat, o którym można powiedzieć „wysoki do nieba...”, i redaktor Żakowski został zdegradowany do „pisowca”.



Ryszard Makowski

Trzeba przyznać, że propagandyści od początku lat 90. zwalczający tych, którzy głoszą tezy niewygodne dla „salonu”, osiągnęli ogromny sukces! Udało im się znaleźć słowo klucz, mające służyć poniżeniu oponentów. Niewinne „oszołomy” czy „ciemnogród”, zastąpiono groźnie brzmiącym określeniem „pisowiec”.

Przez osiem lat partia prezesa Kaczyńskiego zrobiła dla Polaków tyle, ile żadna władza nie zrobiła w III RP, a jednak przegrała wybory. Bo zaniedbała wojnę na słowa. Teraz też zbyt łatwo PiS daje sobie przyklepić łatkę partii złodziei. Prawo i Sprawiedliwość musi podjąć walkę w sferze semantycznej. Pojawiło się nieśmiałe #stoppatowładzy, ale to zdecydowanie za mało. Nie może być tak, że popieranie PiS jest kojarzone z obciążeniem. Może politycy Prawa i Sprawiedliwości by sobie przypomnieli, jak na igrzyskach nasz siatkarz Tomasz Fornal mobilizował drużynę podczas meczu z USA... i pojechali ostro z tymi „patusami”.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

POLSKA TO DUMNY KRAJ... I NIE ODMAWIA. OD POCZĄTKU ROKU POLSKIE WŁADZE ANI RAZU NIE ODMÓWIŁY PRZYJĘCIA NIELEGALNYCH MIGRANTÓW Z NIEMIEC. CO CIEKAWIE, Z NASZEJ DOBROCI KORZYSTA TAKŻE 14 INNYCH PAŃSTW UNII...



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEUGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WÓŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA: ANNA ŁĄBECKA, ANIA.ŁĄBECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, K3, RYSUNEK: MICHAŁ KORSUN, W.POLSCIE24,
ST. KPR, PIOTR SZAFARSKI, 16 DYMIZJA, ZMECHANIZOWANA, SHUTTERSTOCK/SAMEER NEAMAH
MAHDI, TITSLUDIO, DARIUSZ H

Premier Donald
Tusk i minister
finansów Andrzej
Domański

Dziura Tuska

Co się dzieje z finansami naszego państwa? Miało być eldorado, jest rekordowa dziura w budżecie, która jeszcze się powiększy. Ile w tym winy rządu i złych decyzji politycznych? Czy niebawem czeka nas drastyczna podwyżka podatków? Przed władzą dwa trudne miesiące, po których będzie jasne, jak bardzo zacznie się zaciskanie pasa i na ile dotknie ono każdego z nas



MAREK PYZA

Spośród wszystkich ministrów Donalda Tuska najwięcej powodów do pesymizmu nie ma wcale Paulina Hennig-Kloska. Minister klimatu tak czy inaczej musi się liczyć z dymisją. Pytanie tylko, kiedy. W dużo bardziej kłopotliwym położeniu jest Andrzej Domański. Minister finansów co prawda nie obawia się o swoje stanowisko, lecz

ma najtrudniejsze zadanie ze wszystkich szefów resortów. Nie dość, że musi błyskawicznie znaleźć co najmniej kilkadziesiąt miliardów, to jeszcze tak lawirować, by przed wyborami prezydenckimi Polacy się nie zorientowali, że czekają ich chude lata, a budżet już teraz jest klejony na gumę do żucia.

Można powiedzieć szczerze: pieniędzy nie ma i nie będzie. Tak zrobił Jan Vincent Rostowski, minister finansów w czasie poprzednich rządów Tuska. I ta wypowiedź zostanie z nim już na zawsze. Domański tego nie powtórzy, choć jest w podobnym położeniu – pieniędzy bowiem nie ma.

W kasie państwa straszy olbrzymia dziura, największa w historii. A przecież za kilka tygodni będzie pogłębiona. Konieczność nowelizacji wcale nie jest wymuszona powodź. I tak byłaby nieodzowna, bo koalicja 13 grudnia przestrelała ze swoimi obliczeniami i już po przyjęciu ustawy budżetowej ekonomiści wskazywali, że trzeba ją będzie zmienić.

CAŁA WSTECZ?

Dziś wygląda to wszystko źle. A dającym najwięcej do myślenia symptomem jest zamykanie szpitalnych oddziałów, bo NFZ nie ma pieniędzy, by leczyć w nich pacjentów. Likwidacja chirurgii i urazówki w placówce na warszawskiej Ochocie pozwala zrozumieć, jak wielki problem nabrzmiewa. Na oddziale urazowym przy ul. Barskiej wykonywano bowiem rocznie 11–12 tys. zabiegów. Czy „przeniesienie” oddziału do innego szpitala nie pozostawi wyrwy w stołecznym systemie opieki zdrowotnej? To pytanie retoryczne.

W zeszłym tygodniu ogłoszono, że program Kredyt na Start – dla marzących o pierwszym mieszkaniu – zostanie odsunięty w czasie. Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze (1,15 mld zł) będą przeznaczone na usuwanie skutków kataklizmu w południowo-zachodniej Polsce. Przyzwyczajamy się, że ten argument będzie niczym zaklęcie przewijał się w najbliższych tygodniach, by uzasadnić kolejne cięcia w wydatkach państwa. Ale klęska żywiołowa nie wy-

wołała problemów państwowej kasy – ona je tylko pogłębiła.

Już wcześniej rząd zawiesił inwestycje w Centralny Port Komunikacyjny czy energetykę jądrową. Choć słyszymy zapewnienia, że duża elektrownia atomowa powstanie i nawet zaplanowano na ten cel pierwsze 4 mld zł w przyszłorocznym budżecie, trudno się oprzeć wrażeniu, że w tej sprawie od miesięcy nic się nie dzieje.

Minister finansów Andrzej Domański musi tak lawirować, by przed wyborami prezydenckimi Polacy się nie zorientowali, że czekają ich chude lata, a budżet już teraz jest klejony na gumę do żucia

Rząd Tuska wyda mniej również dzięki obcięciu programów społecznych (niższe 14. emerytury, skromniejsza waloryzacja świadczeń dla seniorów), zlikwidowaniu tarcz energetycznych czy znacznym wyhamowaniu różnych programów – od demonizowanych Funduszu Sprawiedliwości czy dotacji ministra kultury po te organizowane przez NCBiR.

A przecież nowa władza ma jeszcze do dyspozycji miliardy z UE (najbardziej enigmatyczne pieniądze w dziejach), wyrzuciła do kosza własne obietnice wyborcze (kwota wolna w wysokości 60 tys. zł, zniesienie limitów NFZ w leczeniu szpitalnym, znaczne ograniczenie podatku Belki, podniesienie zasiłku pogrzebowego czy benzyna po 5,20), no i rzecz najważniejsza – nie rządzi już PiS, więc odpada zarzut (inna sprawa, że najczęściej absurdalny) okradania państwa.

Dlaczego więc jest tak źle i budżet się nie spina? Dlaczego na koniec roku ma zabraknąć nawet 40 mld zł zaplanowanych z VAT? Dlaczego pierwszym odruchem ministra lewicowo-liberalnego rządu w obliczu tragedii obywateli jest

propozycja pożyczki, a drugim wątpliwość nadzieja, że w kłopotach pomoże Bruksela?

Przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy Polacy mogli się oswoić z tym, że pieniądze były na wszystko, rząd realizował ambitne plany inwestycyjne, dzięki transferom socjalnym nastąpiła godnościowa rewolucja, a spółki skarbu państwa były kolejne rekordy zysków.

Co się stało w ostatnich dziewięciu miesiącach? Ile w tym obiektywnych okoliczności, a ile „zasług” obecnie rządzących?

POPULIZM, ATROFIA, CZYSTKI

Zdaniem Marka Zubera, ekonomisty z Akademii WSB, trzeba się liczyć z tym, że najbliższe co najmniej trzy lata będą „ciasne”, z bardzo napiętym budżetem: – Wydatki minionego okresu były trochę za duże. Poprzednia władza finansowała swoje projekty zwiększeniem ściągalności podatków, a także deficytem budżetowym i wzrostem gospodarczym. Ten wzrost skończył się tak naprawdę w zeszłym roku – najsłabszym od wielu lat – więc mamy konsekwencję w postaci wyższego deficytu. Również w zeszłym roku zaczęła się pogarszać ściągalność podatków. W dużej mierze wynika to z psychologicznej zależności: gdy jest mi lepiej, to chętniej płacę podatki. Gdy przychodzą gorsze czasy, zaczynam kombinować. Dla pełnego obrazu dołożmy jeszcze wydatki zbrojeniowe, które mają zbliżyć się do 5 proc. PKB oraz rozkręcony populizm kampanii wyborczej, który spowodował, że obecna władza nie oszczędza. I choć zrealizowała niewielką część swoich obietnic, to i tak mocno obciążyła nimi budżet.

Kolejny ekonomista prosi o anonimowość, bo piastowana funkcja nie pozwalała mu się dziś publicznie wypowiadać o polityce fiskalnej państwa. I choć jest kojarzony z poprzednią władzą, wskazuje, by nie iść na skróty w tłumaczeniu dziury budżetowej i nie winić za wszystko mafii VAT-owskich. – Pamiętajmy, że mniej wpływów z VAT wynika również z faktu, że Polacy oszczędzają, bo boją się o niepewną przyszłość i uważali zastrzymanie wzrostu cen. Jeśli

nie ma presji inflacyjnej, nie kupujemy na zapas, maleje konsumpcja, a wraz z nią dochody podatkowe z towarów i usług – tłumaczy.

Nasz rozmówca dodaje, że w debacie o finansach państwa lekceważone jest to, co się dzieje po stronie wydatków budżetowych: – Mamy efekt realizacji części obietnic wyborczych. Przecież podniesienie wynagrodzeń całej budżetowce o 20 proc., a nauczycielom o 30 proc. trzeba widzieć niemal podwójnie, bo wraz z pensjami rosną różne pochodne, koszty z tym związane – zwłaszcza składki, tu też płacone przez państwo.

W tym kontekście to nawet lepiej, że koalicja nie realizuje wszystkich swoich obietnic. Niestety trzyma się zaś tej dla siebie najważniejszej – przejścia kolejnych instytucji oraz spółek.

Efekt? Ostatnie dane (za drugi kwartał br.) wskazują, że giełdowe spółki państwowe zmniejszyły swoje wyniki o 40 proc. Wyjątek stanowią przedsiębiorstwa energetyczne oraz finansowe (banki, PZU). To dramatyczny obraz, zważywszy na znaczenie tych podmiotów dla wzrostu gospodarczego i wpływów podatkowych.

Dr Artur Bartoszewicz ze Szkoły Głównej Handlowej zwraca uwagę, że czystki w strukturach państwowych i tworzenie przez obecną koalicję systemu układowego, opartego na bezwzględnej lojalności i przydzieleniu instytucji poszczególnym partiom, to pokłosie autokratycznego sposobu kierowania państwem przez szefa rządu: – Donald Tusk rządzi sam, w Radzie Ministrów nikt nie podejmuje decyzji bez jego zgody. A że premier nie jest w stanie podolać temu samodzielnie, mamy sparaliżowane państwo. To zaś się przekłada np. na ściążalność podatków. Dziś czytałem, że rośnie liczba transakcji bezparagonowych. Poza dużymi miastami ich odsetek sięga 46 proc. Skoro bowiem ludzie zbiednieli, ceny poszły do góry, to lokalni przedsiębiorcy zaczynają szukać pewności wpływu. Uciekają od transakcji online do nieewidencjonowanych. Przede wszystkim jednak ten proces owocuje spadkiem zaufania obywatela do państwa. Skoro ono nie wywiązuje się ze swoich powinności,

to ludzie mniej chętnie płacą podatki. PiS tworzył społeczne przekonanie, że pieniądź wróci do obywatela. Teraz mamy odwrotny trend.

– Ściążalność danin jest niska, bo mamy do czynienia z wygaszaniem działalności gospodarczej, ucieczką inwestorów oraz ogromnym spadkiem dynamiki rozwojowej spółek skarbu państwa – dodaje dr Bartoszewicz, przypominając, że w zeszłym roku sam ORLEN wpłacił do budżetu ok. 70 mld zł. – Już same zapowiedzi wycofywania się z inwestycji ograniczają rozwój działalności gospodarczej. Podobnie jak sama zapowiedź, że inwestycja będzie prowadzona, powoduje rozpoczęcie przez przedsiębiorców przygotowań do jej realizacji. Mamy wreszcie skutki procesu przejmowania władzy, który zawsze ogranicza działania w Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, Narodowym Centrum Badań i Rozwoju czy innych instytucjach rozdzielających

Ściążalność danin jest niska, bo mamy do czynienia z wygaszaniem działalności gospodarczej, ucieczką inwestorów oraz ogromnym spadkiem dynamiki rozwojowej spółek skarbu państwa – mówi dr Artur Bartoszewicz z SGH

środki. Największą z nich jest NCBiR, zaatakowane za działalność korupcyjną, która jednak przecież (jeśli się potwierdzi) stanowiła znikomy procent budżetu Centrum. A tam nastąpiło wyhamowanie wszelkich działań.

Zupełnie jak z wielkimi inwestycjami stanowiącymi znak firmowy rządów Zjednoczonej Prawicy.

– Powinno martwić wstrzymanie prac nad CPK, elektrowniami jądrowymi i innymi dużymi projektami. Gdy bowiem szerokie otoczenie nie zwiastuje dużego tempa rozwoju gospodarczego,

to takie inwestycje poprawiają wzrost. Przecież ok. 50 proc. kosztów realizacji tych przedsięwzięć już na wczesnym etapie – robót ziemnych, przygotowania dróg czy elementów konstrukcyjnych – miało być realizowanych przez polskie przedsiębiorstwa. Wobec perspektywy wycofywania się rządu z tych inwestycji firmy już zmieniły swoje plany i musiały zweryfikować działania rozwojowe – zauważa prof. Zbigniew Krysiak z SGH.

Marek Zuber wskazuje zaś, że spółki skarbu państwa i ich sytuacja finansowa będą kluczowe w kolejnej dekadzie: – Wystarczy popatrzeć na firmy energetyczne. Plany inwestycyjne tylko PGE, TAURONU, Energi i Enei dotyczące wyłącznie przesyłu średniego i niskiego napięcia wynoszą 130 mld zł. Tyle trzeba wydać, by rozbudować i zmodernizować sieci przesyłowe. To jest powód, dla którego nie mamy szans na spadek cen prądu w najbliższych latach.

A skoro drogi będzie prąd, to drogie będzie wszystko. Łącznie z kosztami produkcji, które stanowią powód wycofywania się w ostatnich miesiącach z Polski kolejnych zagranicznych inwestorów.

CIEMNA PERSPEKTYWA

To nie koniec złych wiadomości. W najbliższych tygodniach czekają nas gorące spory polityczne o kształt budżetu, który został źle policzony i musi być znowelizowany. Powódz tylko uwypukliła ten problem – tu ekonomiści są zgodni i powtarzają, że założenia przyjęte przez rząd były po prostu nierealne. Prof. Witold Modzelewski w rozmowie z „Super Expressem” tłumaczył: „To nasza ostatnia świecka tradycja, mówiąc ironicznie. Zaniżamy deficyt, zawyżając prognozę dochodów. Dam prosty przykład. Drugi podatek, który jest źródłem dochodów budżetowych, to jest podatek dochodowy od osób fizycznych, w tej części, w której zostaje w budżecie. Na ten rok zaplanowano 109 mld, a po 8 miesiącach mamy 50 mld, czyli mamy mniej więcej połowę dochodów. Jeżeli się nie realizuje po 8 miesiącach połowy dochodów, a wiemy, że w VAT też nie realizujemy, to było wiadomo, niezależnie od tego nieszczęścia [powodzi

– przyp. red.], że budżet na ten rok jest nierealny i trzeba go nowelizować”.

Czy wszyscy zapłacimy za to z własnej kieszeni? Oczywiście, że tak – mówi prof. Modzelewski. I wylicza, jak pogłębili kryzys finansów państwa: „Wiadomo, że dochodów budżetowych z tamtej części Polski nie będzie, może nawet nie tylko w tym roku. [...] Taka najbardziej ostrożna prognoza utraty bezpowrotnej dochodów budżetowych, a wiadomo, że już jest źle i będzie jeszcze gorzej, wynosi co najmniej 6 mld zł. Mniej ostrożna, bardziej realistyczna – ok. 9 mld zł w krótkim okresie. Kumulacja tego skutku będzie za rok. [...] Mamy wielkie przewartościowanie systemu fiskalnego. On już jest niewydolny, a teraz, przy dodatkowych wydatkach i spadku dochodów niezależnych ta niewydolność systemu będzie coraz głębsza”.

Zdaniem Modzelewskiego – jego opinia nie jest tu odosobniona – deficyt na 2025 r. po nowelizacji przekroczy 300 mld zł (poprzednio rząd planował 289 mld zł).

Skoro zbierają się nad nami tak czarne chmury, to jak rząd może przekonać ludzi, że sytuacja jest pod kontrolą i nie mają się czego obawiać? Dr Bartoszewicz poleca przygotować się na polityczny teatr: – Do wyborów prezydenckich będziemy obserwować udawanie, że wszystko jest OK. Po nich pocujemy, jak jest naprawdę. Najgorszym rokiem pod względem kosztów funkcjonowania obywateli i przedsiębiorców będzie 2026. W 2025 r. będziemy mieli pierwszy budżet projektowany pod procedurą nadmiernego deficytu, ale władza będzie nas mamić, że panuje nad sytuacją. Komisja Europejska przyknie na to oko, bo będzie chciała pomóc obecnie rządzącym w wyborach prezydenckich. Będziemy więc mieli budżet z olbrzymim deficytem, rząd dostanie na to nadzwyczajną zgodę KE i jeszcze przedstawi to jako swój wielki sukces. Nie dajmy się zwieść.

Również Rada Polityki Pieniężnej obawia się, że nadchodzące lata trudno będzie nazwać stabilnymi. W opublikowanych przed kilkoma dniami „Założeniach polityki pieniężnej na rok 2025” czytamy:

„Czynnikiem niepewności jest również polityka fiskalna w Polsce. Z jednej strony wprowadzenie części rozważanych działań fiskalnych oddziaływałoby w kierunku wyższego deficytu sektora finansów publicznych. Z drugiej strony objęcie Polski procedurą nadmiernego deficytu może przyczyniać się do prowadzenia bardziej restrykcyjnej polityki fiskalnej”.

To, jakimi nowymi podatkami uraczy nas rząd, w sporej mierze zależy od Komisji Europejskiej i sposobu liczenia deficytu. – Nasza sytuacja nie jest zła na tle

Nie mamy szans na spadek cen prądu w najbliższych latach – twierdzi ekonomista Marek Zuber. A skoro drogi będzie prąd, to drogie będzie wszystko. Łącznie z kosztami produkcji, które stanowią powód wycofywania się w ostatnich miesiącach z Polski kolejnych zagranicznych inwestorów

innych krajów. Poziom relacji długu do PKB, choć zbliża się do 60 proc., wciąż nas nie martwi, bo np. we Włoszech wynosi ok. 160 proc., w Hiszpanii – ok. 130 proc., we Francji – ok. 110 proc., w Niemczech – ponad 70 proc. Jeśli rząd wynegocjowałby z KE, że wydatki zbrojeniowe będą wyłączone z deficytu, to nie doszłoby do cięcia wydatków np. na 800+, emerytury czy w środkach przekazywanych samorządom. Lecz jeśli Komisja się na to nie zgodzi, będzie to oznaczało konieczność głębokich cięć – i na ochronę zdrowia, i uczelnie, i programy społeczne. To skutkuje skurczeniem budżetów w gospodarstwach domowych, ich mniejszymi wydatkami, spadkiem konsumpcji, wzrostem bezrobocia i inflacji, a ostatecznie obniżeniem PKB. To niebezpiecznie błędne koło – przestrzega prof. Krysiak.

Gdzie zatem szukać nadziei? Marek Zuber widzi pewną szansę, choć przyznaje, że jest ona mglista: – Tym, co nas może uratować w kolejnych latach, jest bardzo duże przyspieszenie gospodarcze. Ale problem polega na tym, że w konsekwencji wydatków poprzedniego rządu, wyhamowania gospodarki i nakładów na zbrojenia w tym roku mamy największe potrzeby pożyczkowe w historii. Będziemy musieli pożyczyć ok. 450 mld zł na mało korzystnych warunkach (ok. 5,5 proc. odsetek), a w przyszłym roku ta kwota przekroczy 500 mld zł. Czyli tylko w ciągu tych dwóch lat koszty odsetkowe wyniosą nas ok. 50 mld zł. Gdy dodamy wszystkie czynniki, okaże się, że mamy realne ryzyko przekroczenia długu na poziomie 60 proc. PKB, a w kolejnych dwóch, trzech latach bardzo mocne zaciskanie pasa. To nie znaczy, że podatki pójdą w górę, ale potrafię sobie wyobrazić np., że bardzo zdrożeje prąd. I nie dlatego, że wzrośnie koszt jego produkcji, lecz dodatkowy zysk wygenerowany przez spółki energetyczne będzie można za pomocą sprytnych mechanizmów przeznaczyć na bieżące wydatki państwa. Takich kombinacji się spodziewam.

Dodajmy, że rząd pożyczka za granicą, co też ma poważne konsekwencje, jak wskazuje dr Bartoszewicz: – Dlaczego daje się zarobić funduszom zagranicznym, zamiast tworzyć dług wobec własnych obywateli – jak robi to Japonia, dzięki czemu jest odporna na ryzyka kursowe i ataki na swoją walutę? Przy zwiększeniu długu za granicą złoty będzie bardzo narażony na wszelkiego rodzaju spekulacje. A to zaowocuje narracją, że bez euro się nie obejdzie. Podejrzewam, że w przyszłym roku usłyszymy, iż Polacy potrzebują większej integracji z UE, prezydenta, który rozumie ten proces i będzie odrzucał polskiego złotego, który może stać się dla Polaków niebezpieczny.

Skoro zatem wybory prezydenckie będą miały kluczowe znaczenie dla stanu finansów państwa, to spodziewajmy się kolejnej propagandowej kampanii zamazującej rzeczywistość. Czy Polacy znów dadzą się omamić sztukmistrzowi z So-potu?

Cała wstecz!

Zatrzymanie ważnych inwestycji brutalnie zemściło się podczas niedawnej powodzi, a to dopiero początek rządów Platformy Obywatelskiej. Czas chyba zapomnieć o regulacji rzek, taniej energii jądrowej oraz o wielkich portach morskich i lotniczych. Polska cofa się w rozwoju



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Tragiczna powódź, która nawiedziła Dolny Śląsk, tym razem szczęśliwie oszczędziła Wrocław. Według wielu opinii w pierwszym rządzie zawdzięczamy to suchemu polderowi w Raciborzu, który przyjął dużą część wody i spłycił falę powodziową.

Historia budowy polderu sięga powodzi stulecia z 1997 r., ale jego budowę rozpoczęto dopiero w 2013 r. Dziś zasługi związane z jego powstaniem przypisują

sobie wszyscy, którzy do tej pory rządzą Polską, ale nie ulega wątpliwości, że najczęściej dla tej inwestycji zrobiło PiS. Bo to właśnie za rządów tej partii budowa przyspieszyła i – co najważniejsze – została ukończona.

Takich inwestycji mogło być znacznie więcej, również w mocno dotkniętej tegoroczną powodzią Kotlinie Kłodzkiej. Mówił o tym w telewizji Polsat News Wojciech Skowyrski, były wiceszef przedsiębiorstwa Wody Polskie, doświadczony hydrotechnik, którego zmioły ze stanowiska czystki kadrowe reżimu Tuska. Jego zdaniem od 2019 r. do dziś mogliśmy zbudować w Kotlinie Kłodzkiej cztery, pięć zbiorników retencyjnych, dzięki którym udało się uniknąć obecnej tragedii. Tak się jednak

nie stało, bo miejscowa ludność, podburzona przez ówczesną opozycję spod znaku PO, postanowiła zrobić na złość złemu PiS i zablokowała inwestycję. W rezultacie ci ludzie na własne życzenie pozbawili się ochrony przed powodzią.

Nie chodzi oczywiście o to, aby teraz potępiać w czambuł zmanipulowanych ludzi, którzy i tak drogo zapłacili za swoją ówczesną niefrasobliwość. Wielu z nich miało powody do niepokoju, ponieważ budowa zbiorników retencyjnych wiązała się z wysiedleniami i wywłaszczeniami. Pretensje należy kierować raczej do cynicznych partyjniaków z Platformy, którzy wykorzystali ludzkie obawy do politycznej gry przeciwko PiS i w rezultacie przyczynili się do dużych rozmiarów dzisiejszej klęski żywiołowej.



BITWA GRANICZNA

Na Odrze jak w soczewce skupiają się wszystkie problemy związane z aktualną kondycją Polski. Ta kapryśna rzeka przez długą część swojego biegu wyznacza granicę z Niemcami. I tylko pozornie panuje na niej spokój. W rzeczywistości jest to bowiem ważne pole bitwy pomiędzy emancypującą się spod cudzych wpływów Polską a próbującymi zatrzymać ten proces Niemcami.

Odra to potencjalnie bardzo atrakcyjny szlak żeglugowy, którym można spławiać ładunki ze Śląska, a nawet z Czech w kierunku portów w Szczecinie i Świnoujściu. Pół wieku temu tą rzeką rocznie przewożono kilka milionów ton towarów. Wraz ze schyłkiem Peerełu i później, już po upadku komunizmu, wykorzystanie Odry zaczęło jednak spadać. Jedną z przyczyn było zaniedbanie szlaków wodnych, o które – podobnie jak o drogi – należy stale dbać: pogłębiać nurt, konserwować urządzenia, służy itd.

W latach 90. i w kolejnej dekadzie Polska stała się rezerwuarem taniej siły roboczej dla największych państw Unii z Niemcami na czele, a to pociągało za sobą istotne zmiany infrastrukturalne. Po co komu było w takich warunkach utrzymywanie ciągów transportowych na linii północ-południe (a takim ciągiem jest Odra), skoro niemal całość polskiej wymiany handlowej oraz tranzyt szedł na linii wschód-zachód? Wyraźnie wskazywało to na utratę samodzielności gospodarczej Polski i podporządkowanie naszej infrastruktury transportowej potrzebom silniejszych partnerów z Unii.

Wrzaz zapaścią na Odrze zaczął umierać port w Szczecinie, przekształcając to kwitujące niegdyś portowe i stoczniowe miasto w ubogie peryferie Berlina. Świnoujście ostało się przy życiu dzięki położeniu nad otwartym morzem, niewielkiemu portowi wojennemu oraz terminalowi, z którego kursują regularne promy do Szwecji.

Znaczenie Świnoujścia wzrosło po zbudowaniu na Wolinie gazoportu. Dziś mało kto pamięta gwałtowne niemieckie protesty przeciwko tej strategicznej inwestycji. Wśród zarzutów były nawet rzekome szkody, jakie gazoport miał wyrządzić meklemberskiemu ptactwu i nietoperzom.

Oczywiście nie chodziło o żadne nietoperze, lecz o budowaną w tym samym czasie rurę Nord Streamu. Świnoujski gazoport był bezpośrednią konkurencją dla dostaw rosyjskiego gazu. Niemcy zarzucali też Polsce, że ciężkie tankowce z gazem mogą uszkodzić podmorską rurę i kategorycznie sprzeciwiali się jakimkolwiek pogłębianiu toru wodnego. Berlin opóźniał polską inwestycję, jak mógł, co zapewne tłumaczyło powolne tempo prac nad gazoportem w czasach rządów Tuska.

Zmiana paradygmatu polskiej polityki po objęciu władzy w 2015 r. przez Zjednoczoną Prawicę polegała na budowie silnej podmiotowości Polski, a to siłą rzeczy oznaczało zerwanie z dotychczasową zależnością od niemieckich interesów.

Może się okazać, że kilka lat rządów Tuska zabetonuje niemiecką przewagę nad Polską do tego stopnia, że inwestycje planowane w czasach PiS staną się nieopłacalne

ZATRZYMANA ODRA

W czasie swoich rządów PiS podjęło dwie strategiczne decyzje dotyczące Odry, które mocno uderzały w interesy Niemiec. Chodziło o pogłębienie szlaku żeglugowego na tej rzece oraz budowę terminala kontenerowego w Świnoujściu.

Obie inwestycje były ze sobą ściśle powiązane, bo dzięki terminalowi port w Świnoujściu mógłby przyjmować ciężkie ładunki dalekomorskie, które potem można by było transportować Odrą w głąb Polski, a nawet do Czech i jeszcze dalej na południe Europy. Szkopuł tkwił w tym, że po zrealizowaniu tych planów niemieckie porty i huby logistyczne straciłyby nie tylko większość polskich klientów skazanych dotąd na ich pośrednictwo, lecz także sporą część kontrahentów z całego naszego regionu.

Tym zapewne należy tłumaczyć historię, która wybuchła wokół Odry

w 2022 r. Wszyscy pamiętamy zmyślone przez Niemców zarzuty o zatruciu rzeki rtęcią, które powtarzała Elżbieta Polak z PO, ówczesna marszałek województwa lubuskiego, a obecnie posłanka.

Dziś, po utracie władzy przez PiS, Niemcy mogą już spać spokojniej. Prace przy pogłębieniu Odry zostały wstrzymane. A warto zauważyć, że w ich ramach modernizowano zaniedbane od dekad ostrogi, czyli rodzaj nasypów w poprzek rzeki, które pomagały udrożnić i skanalizować nurt. Ostrogi ograniczały również ryzyko powodzi. Teraz nie będzie tych dodatkowych zabezpieczeń. Dlaczego? Bo uderza to w interesy sąsiedniego państwa.

Stąd zresztą wziął się pomysł „renaturyzacji Odry” i założenia wzdłuż rzeki Parku Narodowego Dolnej Odry. „Renaturyzacja” oznacza – z czego mało kto zdaje sobie sprawę – konieczność wysiedlenia setek tysięcy ludzi na całej długości rzeki, całkowite porzucenie planów przywrócenia żeglugi śródlądowej w Polsce oraz zahamowanie rozwoju gospodarczego państwa. Stawia też pod znakiem zapytania inwestycję w Świnoujściu.

W sąsiadującym z Pomorzem Zachodnim landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie podniesiono krzyk, że rozbudowa portu i wzmożony ruch ciężkich statków zdewastują region ekologicznie, a przy tym zakłócą ciszę niemieckim emerytom odpoczywającym w bałtyckich kurortach na Uznamie. Niemców wspomagają nowe władze Świnoujścia, którego prezydent, wywodząca się z Lewicy Joanna Agatowska, próbuje blokować budowę terminala, tłumacząc, że byłby on uciążliwy dla mieszkańców. W sierpniu pani prezydent rozmawiała o terminalu z przedstawicielem Meklemburgii-Pomorza Przedniego, który przekazał jej swoje uwagi na ten temat.

MOMENT DLA NIEMIEC

Przez osiem lat rządów PiS Niemcy parły do zmiany władzy w Polsce. Teraz, gdy wreszcie się to udało, wykorzystują ten moment do zabezpieczenia swoich interesów i jak najgłębszego strukturalnego uzależnienia naszego kraju.

Ogólnie *modus operandi* Berlina polega na tłumieniu cudzych aspiracji, tak aby nie dopuścić do pojawienia się na horyzoncie



jakiegokolwiek rywala. Intensywność tych działań rośnie wraz z pogarszaniem się kondycji niemieckiej gospodarki, a ponieważ w Niemczech jest coraz gorzej, naciski na Polskę są silniejsze i bardziej brutalne. Szczęśliwie dla Berlina dziś u władzy w Polsce są politycy ulegli i niesprawiający mu kłopotu.

Niemiecka strategia jest dwutorowa. Z jednej strony wywiera się presję na za-blokowanie konkurencyjnych inwestycji, a z drugiej podejmuje własne działania naprawcze, aby utrzymać przewagę na rynku. W praktyce wygląda to tak, że wraz z blokadą terminala w Świnoujściu rozpoczęto prace nad rozbudową portu w sąsiednim Rostocku, kusząc przy tym kontraktami firmy budowlane z Polski. To oznacza, że nawet jeśli uda się kiedyś ruszyć z budową świnoujskiego terminala, to będzie już za późno, bo regionalny rynek i wszystkie zyski przejmie Rostock.

Podobnie jest z CPK. Gdy obecny reżim symuluje prace nad lotniskiem, Niemcy zdecydowali o dalszym rozwoju portu towarowego we Frankfurcie, co sprawi, że polski port – o ile w ogóle powstanie – będzie generować mniejsze zyski. Może się więc okazać, że kilka lat rządów Tuska za-betonuje niemiecką przewagę nad Polską do tego stopnia, że inwestycje planowane w czasach PiS staną się nieopłacalne. Bo całość rynku w regionie będzie już należała do Niemiec. Oczywiście Berlin potrzebuje na to wszystko czasu, ale Tusk ten czas daje.

EKOLOGIA NA SŁUŻBIE

W swojej strategii Berlin wykorzystuje nie tylko bezpośrednie naciski, lecz także korzysta z ogromnej palety narzędzi, które zapewniają mu soft power. Najważniejsze niemieckie fundacje wydają mnóstwo pieniędzy, aby znaleźć w Polsce ludzi i całe środowiska skłonne realizować agendę polityczną Berlina.

Jest to szczególnie widoczne w tzw. ruchu ekologicznym. Warto przypomnieć, że niemiecki ruch zielonych w dużej mierze powstał za sowieckie pieniądze i w latach 80. Moskwa wykorzystywała jego działaczy do walki z amerykańską

bronią jądrową rozmieszczoną w ówczesnym RFN.

Niewykluczone więc, że po latach Niemcy skopiowali te metody i sami je zastosowali, tyle że wobec aktywistów ekologicznych w innych krajach. Pewien trop rzucił tu ekolog Grzegorz Chocian, który w rozmowie z Polsat News oświadczył nagle, że próbował go zwerbować niemiecki wywiad, aby protestował przeciwko ważnym inwestycjom gospodarczym w Polsce. Mammy tu wprawdzie do czynienia jedynie ze słowami, ponieważ Chocian nie przedstawił żadnych innych dowodów poza stwierdzeniem, że próbę werbunku potwierdziła ABW, jednak wiele okoliczności wskazuje na to, że opisywany przez niego scenariusz może być prawdziwy. Bo gdyby przyrzeć się protestom ekologów, to zwykle pojawiają się one tam, gdzie polskie interesy kolidują z niemieckimi. Oczywiście może to być jedynie przypadek.

Trudno więc powiedzieć, jakie pobudki kierowały założycielami Stowarzyszenia Obrony Naturalnych Obszarów Nadmorskich „Bałtyckie S.O.S.”, które powstało zaraz po tym, gdy rząd PiS ogłosił lokalizację pierwszej elektrowni jądrowej na Pomorzu. Jasne jest wszakże, iż jednym z celów tej organizacji ma być „obrona obszarów nadmorskich przed zagrożeniami infrastruktury nuklearnej”. O powstaniu nowego ruchu ekologów pisał – cóż za niespodzianka – „Berliner Zeitung”, który wyjaśnił, że Bałtyckie S.O.S. jest przeciwne elektrowni, a jego działacze „obawiają się, że atomowe odpady przedostaną się do Bałtyku”.

Równie ciekawa jest inicjatywa Ratujmy Odrę, która działa przy niemieckiej organizacji ekologów BUND. Jej członkowie wspólnie z polskimi działaczami ekologicznymi od lat blokowali odbudowę żeglugi śródlądowej na Odrze. Z kolei w ścisłym kierownictwie fundacji Greenpeace Polska znajdują się trzech obywateli Austrii (jeden z nich, Alexander Egit, pełni funkcję prezesa).

Natym tle nie powinna nas chyba dziwić lista priorytetów organizacji ekologicznych działających w Polsce, które protestowały głównie przeciwko sztandarowym

programom rządu PiS. Nie podobał im się np. pomysł regulacji rzek, gwałtownie zwalczały przekop Mierzei Wiślanej, agitowały przeciwko energetyce jądrowej i broniły korników w Puszczy Białowieskiej. Milczały za to jak zakłète, gdy doszło do awarii warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka, a po objęciu władzy przez obecny reżim zapomniały o losie śniętych ryb w Odrze. Nie słychać też protestów przeciwko zaplanowanej przez rząd Tuska walce z bobrami, które miały jakoby być sprawcami ostatniej powodzi.

STRACONA SZANSA

W ciągu ośmiu lat rządów PiS Polska stała przed unikalną szansą wejścia w nieodległą przyszłość do grona najbardziej rozwiniętych państw świata. Jednak wyniki wyborów w 2023 r. przekreśliły tę perspektywę. Przy czym rzeczywiście przeciwnikiem PiS nie była wcale Platforma Obywatelska i jej przystawki, lecz unijna oligarchia, która posłużyła się Tuskiem do zahamowania polskich aspiracji.

To paradoks, że Unia Europejska, w której członkostwo było kiedyś dla Polski motorem napędowym, jest teraz głównym hamulcowym jej rozwoju. Najwyraźniej okazało się, że rozpędziliśmy się za bardzo. A gdy w pewnym momencie staliśmy się konkurencyjni dla zachodnich gospodarek, zdecydowano się pokazać nam nasze miejsce w szeregu i ponownie sprowadzić nas do peryferyjnej roli ubogich krewnych, którzy niczego nie mają, bo ich na nic nie stać.

W tej chwili nasza gospodarka, pozbawiona kluczowych inwestycji i zagrożona Zielonym Ładem, cofa się w rozwoju. Nieprzypadkowo w obecnym rządzie kluczowe posady zajmują ludzie niekompetentni. Być może w obozie władzy innych nie ma, ale nawet gdyby byli, to nie są do niczego potrzebni. Chodzi o to, abyśmy własnymi rękami doprowadzili do zapaści państwa.

Niestety w Polsce nie brakuje ludzi gotowych podjąć się tego nikczemnego zadania. I to jest nasza największa porażka po 35 latach od odzyskania suwerenności. ▀

Jak powódź zaskoczyła rząd – kalendarium

Gdy wkracza propaganda, fakty są spychane na dalszy plan.

Przypominamy sekwencję zdarzeń i postaw polityków koalicji rządzącej dotyczącą zagrożenia powodziowego w Polsce



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Oko kamery nie jest w stanie uchwycić skali spustoszenia tegorocznej powodzi. W telewizorach widzieliśmy co prawda niepokonaną wodę porywającą samochody i niszczącą całe domostwa, ale na miejscu jeszcze bardziej widać druzgocący wymiar klęski żywiołowej. W Stroniu Śląskim zmyło ceglane gmachy wśród rzeki niczym zamki z piasku, z komisariatu policji czy z dawnych kamieniczek nie pozostała nawet sterta gruzu, bo i tę porwał nurt powodzi. Zarwało mosty w wielu miejscach Kotliny Kłodzkiej, w Glucholazach przy stawianiu mostu zastępczego musi po-

magać wojsko. W Łądku-Zdroju wymyło środek miasteczka, w historycznym centrum Kłodzka poziom wody sięgnął 6 m.

Zalane domy nie wyschną same, potrzebne są osuszacze, których brakuje, gdy ściany gniją i cuchną stęchłą. Tysiące żołnierzy i wolontariuszy wiadrami wynoszą setki ton mułu z piwnic budynków. Dziesiątki ton żywności gniją, a góry śmieci i gruzu są gromadzone na peryferiach miasteczek, tworząc tymczasowe wysypiska. To obraz powodzi, która przyniosła regionalne spustoszenie po głośnych słowach premiera, że „prognozy nie są przesadnie alarmujące”.

Prześledźmy kalendarium wydarzeń, by zobaczyć, jak powódź zaskoczyła rząd Donalda Tuska, choć była już prognozowana przez ekspertów. Ten zapis pozwoli zobaczyć nieudolność gabinetu w szerszej perspektywie. Przyjrzymy się temu, cofając się w czasie aż do... kampanii wyborczej sprzed czterech lat.

15 WRZEŚNIA 2024 r. (NIEDZIELA)

19:00 – punkt kulminacyjny powodzi w Kłodzku. Niektórzy mieszkańcy w centrum miasta nie zdążyli ewakuować się drzwiami, po południu przez dach pomagali im wydostać się strażacy. Wieczorem poziom wody zaczął opadać.

13:00 – Wody Polskie potwierdzają informację o przerwaniu tamy w Stroniu Śląskim, 2,5 godz. po samym zdarzeniu. W tym czasie kilkanaście miejscowości jest już pod wodą.

Ok. 11:00 – rodzina pani W. z Oldrzychowic Kłodzkich informuje straż pożarną o przerwaniu tamy w Stroniu Śląskim. Kobieta widziała nagranie w internecie i postanowiła osobiście przekazać to służbom. Strażacy dzwonią do przełożonych i przekazują ich odpowiedź: „To fake news”.

10:30 – w Stroniu Śląskim pęka tama.

14 WRZEŚNIA (SOBOTA)

22:00 – stany alarmowe poziomu wody zostały przekroczone na 59 wskaźnikach.

Popołudnie – apel niektórych burmistrzów na zagrożonych terenach o samowakuację mieszkańców. Donald Tusk odwiedza Głucholazy i na miejscu widzi walkę z powodzią.

13 WRZEŚNIA (PIĄTEK)

9:14 – padają słynne słowa premiera Donalda Tuska uczestniczącego w sztabie kryzysowym we Wrocławiu: „Jeśli się można czegoś spodziewać, i na to jesteśmy przygotowani, to oczywiście lokalnych podtopień czy tzw. powodzi błyskawicznych, zlokalizowanych w konkretnym miejscu. Prognozy pogody nie są przesadnie alarmujące, ale nie lekceważymy oczywiście żadnego sygnału. Na wszelkie zdarzenia chcemy być perfekcyjnie przygotowani”.

6:13 – informacja z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej o zagrożeniu powodziowym.

12 WRZEŚNIA (CZWARTEK)

13:30 – ostrzeżenie z IMiGW o nadchodzącym zagrożeniu powodziowym.

11 WRZEŚNIA (ŚRODA)

14:30 i 13:07 – dwie informacje z IMiGW do rządu na temat zagrożenia powodzią. Pada informacja o „niżu genuńskiego” – to zjawisko pogodowe wiążące się z silnymi opadami deszczu i wezbraniem wód rzecznych.

10 WRZEŚNIA (WTOREK)

15:12 – publiczny komunikat IMiGW: „Od piątku nad Polskę od południowego zachodu po południe nasunie się niż genuński, który przyniesie ze sobą bardzo dużą ilość opadu nawet do 100 l w na metr kwadratowy. Najbardziej zagrożonymi rejonami będą południe i południowy zachód Polski. Sytuacja ta może nieść ze sobą powodzie błyskawiczne”.

15:00 – informacja dla rządu z IMiGW na temat ryzyka powodzi.

Tego dnia Komisja Europejska wysłała do rządów państw Europy Centralnej, w tym Polski, informację o zagrożeniu powodziowym.

LIPIEC 2024 r.

W rządzie powstał projekt zmiany specustawy odrzańskiej dotyczącej renaturyzacji rzeki (przywrócenie ciekom i zbiornikom wodnym w mniejszym lub większym stopniu przekształconym przez człowieka stanu zbliżonego do naturalnego) zamiast inwestycji budowlanych (np. zbiorników retencyjnych).

Posłanka Małgorzata Tracz (partia Zieloni, Koalicja Obywatelska) przeprowadza interwencję poselską przeciwko wzmocnieniu fragmentu brzegu Nysy Kłodzkiej na zalanych później terenach. Polityk nie chce zabezpieczać brzegu, uzasadniając to następująco: „Od strony przyrodniczej jest to miejsce wyjątkowe na Ziemi Kłodzkiej: rzeka jest tu nieuregulowana i ma tu swój pierwotny charakter. Od wielu lat w skarpie gnieźdzą się brzegówki, tworząc kolonię łęgową liczącą do kilkudziesięciu par”.

2023 r.

Starcie dwóch koncepcji. Z jednej strony rząd Zjednoczonej Prawicy kończy budowę lokalnych zbiorników retencyjnych (Szalejów Górny) i planuje uregulowanie Odry, z drugiej strony ówczesna opozycja planuje renaturyzację Odry.

W marcu 2023 r. podczas partyjnej debaty Polski 2050 Szymona Hołowni Urszula Zielińska, dzisiaj wiceminister klimatu i środowiska, mówiła o budowaniu tam: „Apeluję do państwa, żebyśmy nie mówili o tych budowlach jako o inwestycjach, to są dezinwestycje, to są sposoby na zubożenie społeczeństwa”. Występowała też przeciwko zgodzie ministra Piotra Adamczyka (PiS) na wzniesienie 594 budowli hydrotechnicznych.

LATA 2021–2023

Funkcjonowanie Parlamentarnego Zespołu ds. Renaturyzacji Odry złożonego z polityków Koalicji Obywatelskiej oraz Lewicy. Należą do niego m.in. Urszula Zielińska.

2019 r.

Fale protestów na terenach zalewowych na Dolnym Śląsku. Mieszkańcy i aktywiści ekologiczni sprzeciwiają się budowie zbiorników retencyjnych. Rok wyborczy

sprawia, że w walkę z decyzjami rządu o budowie infrastruktury przeciwpowodziowej zaangażowały się także antypisowskie media. „Władzom w żadnym razie nie można ufać” – pisze OKO.press. Pod wpływem nastrojów mieszkańców i aktywistów ekologicznych PiS ustępuje.

WNIOSKI

Każde z powyższych wydarzeń stanowi sekwencję mającą wpływ na powódź 2024 r. Zamiast 11 zbiorników retencyjnych w Kotlinie Kłodzkiej powstają 4. Zmniejszyły one skalę powodzi w regionie, ale nie zapobiegły jej. Opozycja przez lata utrudniała inwestycje hydrologiczne z pomocą mediów i zielonych aktywistów. Cała filozofia samozwańczych obrońców przyrody to pozostawienie przyrody samej sobie i niezatrzymywanie jej kaprysów działalnością infrastrukturalną człowieka. Z dwóch koncepcji wobec Odry – podporządkowania jej interesom państwa polskiego albo renaturyzacji – Polacy 15 października 2023 r. zagłosowali na tę drugą.

Beztroska polityków wybijała nawet dwa miesiące przed powodzią, gdy poprzez interwencję posłanki Zielonych Małgorzaty Tracz troszczono się o ptaki w Kotlinie Kłodzkiej, a nie o infrastrukturę, która uratuje ludzi przed wielką wodą.

Mimo twardych danych zarówno z Komisji Europejskiej, jak i Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, premier zapewniał Polaków, że nie ma powodów do obaw, więc wielu mieszkańców zrezygnowało z przygotowań na najgorsze: zabezpieczeniu mienia czy ewakuacji.

Zamiast zarządzania kryzysowego otrzymaliśmy natomiast transmisję z pokazowych posiedzeń, na których urzędnicy wychwalali Donalda Tuska, który w iście wschodnim stylu łajał swoich podwładnych i wyrażał swój gniew.

Jeśli ktoś jednak myśli, że premier wyciągnął wnioski z dramatycznych błędów rządu, to do naszego kalendarium powodziowego warto dodać jeszcze jedną pozycję. 25 września 2024 r. (środa wieczorem), Donald Tusk mówi w Sejmie: „Dlaczego nikt nie zapobiegł powodzi? Powodzi nie można zapobiec, bo ona się zdarza – z przy czyn obiektowych. Można organizować gorzej lub lepiej pomoc”.

Typowy dla liberałów imposybilizm państwa wybrzmiał po raz kolejny – powódzie się zdarzają. Ratuj się, kto może. Sam. 

Naczelny inżynier kraju

Marcin Kierwiński formalnie ma odbudować zalaną część Polski, a faktycznie pomóc Donaldowi Tuskowi w realizacji „złotego strzału” w jego politycznej karierze



STANISŁAW JANECKI

Rezygnacja z intratnej funkcji eurodeputowanego na rzecz krajowej polityki zaledwie cztery miesiące po jej porzuceniu tylko naiwnym albo bardzo prostolinijnym może się wydawać zwyczajna. To wydarzenie zdecydowanie nadzwyczajne, nawet gdyby założyć, że premier Donald Tusk może wszystko, a sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej Marcin Kierwiński nigdy się nie odważy powiedzieć mu „nie”. Nadzwyczajne było też porzucenie kilka miesięcy temu przez Kierwińskiego funkcji ministra spraw wewnętrznych i administracji, czyli jednej z najważniejszych w państwie. Nie miałyoby to większego sensu, gdyby chodziło tylko o to, żeby wydarzenia zatoczyły koło i nikt inny poza Kierwińskim nie nadawał się na pełnomocnika rządu ds. odbudowy po powodzi. Z jakichś powodów dostał on stanowisko formalnie średniej ważności, a faktycznie w ostatnich miesiącach 2024 r. oraz w pierwszych 2025 r. może nawet najważniejsze po premierze.

Odbudowa po klęsce powodzi to jedno, ale przecież już bardzo blisko do najważniejszego wydarzenia politycznego w perspektywie wielu lat, czyli wyborów prezydenta RP. Powołanie Marcina Kierwińskiego na pełnomocnika rządu ds. odbudowy po powodzi praktycznie zapowiada, że to Donald Tusk, a nie Rafał Trzaskowski będzie kandydatem Koalicji Obywatelskiej na głowę państwa. Jako sekretarz generalny Platformy i szef warszawskich struktur partii Kierwiński od

lat kontrolował Trzaskowskiego i narzucał mu wiele decyzji, na co ten bezskutecznie skarżył się Tuskowi.

Na początku września 2024 r. prezydent Warszawy przestał tylko „cierpieć” i narzekać. Radykalnie jak na niego zdecydował o zdymisjonowaniu swojego zastępcy Tomasza Bratka (awansował na to stanowisko Tomasz Mencinę), człowieka Marcina Kierwińskiego. Jego odwołanie uznawano za osłabienie wpływów Kierwińskiego w ratuszu. Powód miał być prosty: Trzaskowski chciał pokazać, że nie zależy całkowicie od decyzji zarówno przewodniczącego PO, jak i szefa jej warszawskich struktur. Faktyczny powód jest znacznie głębszy – chodzi o podtrzymanie szans na kandydowanie na prezydenta RP. A te są zdecydowanie zagrożone.

ZAUFANY BEZPIECZNIK

Powołując Kierwińskiego na stanowisko pełnomocnika, Tusk wzmocnił jego pozycję, mimo że był szef MSWiA najpierw oddał ten resort, a teraz mandat eurodeputowanego. Wszystko wskazuje na to, że Tusk woli mieć Kierwińskiego przy sobie – głównie w roli tego, który pracuje na niego, a jednocześnie osłabia Trzaskowskiego. W tym kontekście mocno naciągana jest teza, że walka ze skutkami powodzi może się okazać prekampanią Kierwińskiego jako kandydata na prezydenta Warszawy, gdyby Trzaskowski kandydował na prezydenta RP. Owszem, Kierwiński może zostać wystawiony jako kandydat w Warszawie, ale dopiero po upływie kadencji obecnego prezydenta.

Ale teraz, po klęsce powodzi, Kierwiński ma być bezpiecznikiem dla Tuska. Jeśli nie poradzi sobie z zadaniem odbudowy, weźmie to „na klątę”, chroniąc premiera. A jeśli da radę, wszystkie zasługi zostaną

przypisane „kierownikowi”. Za podjęcie się tego zadania ma otrzymać nagrodę. Polityczną, np. szefa kancelarii prezydenta, gdyby Tusk wystartował i wygrał wybory prezydenckie. A szef rządu będzie kandydował tym łatwiej, jeśli sukces odbudowy po powodzi zostanie osiągnięty. Jeżeli nie, Kierwiński może dostać świetnie płatną pracę w jakiejś spółce skarbu państwa.

Kierwiński miał zawrzeć z Tuskiem umowę, że będzie pracował na jego sukces prowadzący do kandydowania w wyborach prezydenckich, a jednocześnie osłabiał Trzaskowskiego i przysparzał mu kłopotów, żeby uniemożliwić lub obrzydzić mu kandydowanie.

Uzasadniając wybór Kierwińskiego, Tusk mówił: „Szukałem kogoś, kto ma wykształcenie techniczne, jest doświadczonym politykiem, jeżeli chodzi o zarządzanie, ma doświadczenie w zarządzaniu kryzysowym. Marcin Kierwiński nasunął mi się od razu”.

Kierwiński ma wykształcenie techniczne – ukończył dwa kierunki inżynierskie, elektronikę i inżynierię produkcji na Politechnice Warszawskiej. A Tusk ma wręcz nabożny stosunek do ludzi z wykształceniem technicznym i ścisłym, gdyż sam nigdy nie dał sobie rady w tych dziedzinach. Dla niego podwójny inżynier Kierwiński jest kimś w rodzaju naczelnego inżyniera kraju. I w takiej roli ma zapewnić premierowi sukces, czyli przygotować grunt do wyborów prezydenckich.

Marcin Kierwiński był warszawskim i mazowieckim radnym, wicemarszałkiem województwa mazowieckiego, wiceprezesem portu lotniczego w Modlinie, posłem, ministrem spraw wewnętrznych i administracji, eurodeputowanym. W końcówce rządów Platformy, gdy premierem była Ewa Kopacz, został szefem jej gabinetu. Systematycznie awansował też w strukturach partii: kierował kołem PO w Wilanowie, na Ursynowie, by stanąć na czele warszawskich struktur Platformy i zostać jej sekretarzem generalnym. To jemu Tusk powierzył organizację marszu miliona serc i dziękował mu za sukces tego przedsięwzięcia.

WAŻNA FIGURA

W miastach najbardziej dotkniętych powodzią we wrześniu 2024 r. – Głuchola-

zach, Kłodzku, Łądku-Zdroju – w 2020 r. w drugiej turze wygrał Rafał Trzaskowski, a PO odnosi tam sukcesy w wyborach parlamentarnych. Chodzi o to, żeby mimo klęski powodzi mieszkańcy tych miejscowości i całego regionu nadal głosowali przeciw PiS i jego kandydatowi na prezydenta. Dlatego pełnomocnik musi być kimś, kto poradzi sobie z odbudową. Gdyby „poległ”, prezydenckie szanse Tuska stanęłyby pod znakiem zapytania, a wtedy do gry mógłby wrócić Trzaskowski. Jeśli wrażenie z odbudowy i działań Kierwińskiego będzie pozytywne, przewodniczący PO może zagrać o najwyższą stawkę, a potem niech się dzieje, co chce.

W PO częste jest przekonanie, że Tusk uważa za atut Kierwińskiego to, iż jego ojciec Andrzej w latach 1970–2003 był oficerem Wojska Polskiego, a na koniec służby generałem. Bo w ten sposób Kierwiński pomoże mu zyskać głosy emerytowanych wojskowych w prezydenckich wyborach

Kierwiński poczuł się bardzo ważnym człowiekiem, gdy mocno zareagował na słowa Jacka Żakowskiego zarzucającego Tuskowi „putinowskie metody”. Stwierdził (dla Onetu): „Prosto jest oceniać z perspektywy wygodnego fotela i telewizora w Warszawie czy jakimś innym bezpiecznym miejscu. Pan premier Donald Tusk od tygodnia jest tam, na miejscu. Robi wszystko, aby walczyć o życie, zdrowie, bezpieczeństwo i dobroć ludzi. [...] W stylu zarządzania Donalda Tuska widzę tylko troskę i determinację, żeby ta powódź, straszliwa w swojej sile, była jak najmniej kosztowna dla mieszkańców”. I konkludował: „Porównywanie kogoś do Putina jest po prostu żenujące. Nie wiem w ogóle, skąd komuś może takie porównanie przyjść do głowy”.

W PO częste jest przekonanie, że Tusk uważa za atut Kierwińskiego to, że jego ojciec Andrzej w latach 1970–2003 był oficerem Wojska Polskiego, a na koniec służby generałem. Bo w ten sposób Kierwiński pomoże mu zyskać głosy emerytowanych wojskowych. W 1979 r. Andrzej Kierwiński trafił do Sekretariatu Komitetu Obrony Kraju, kluczowej komórki w wojsku w czasach PRL. W KOK podejmowano najważniejsze decyzje dotyczące obronności, strategii, omawiano sprawy, o których nie wiedziała nawet część ludzi władzy. Jeszcze w latach 70. ulokowano go w oddziale zajmującym się obiektami specjalnymi, czyli m.in. silosami z sowieckimi rakietami z głowicami jądrowymi czy bunkrami,

w których miały się ukryć władze w razie inwazji z zewnątrz albo rozruchów społecznych. W 1980 r. trafił do ZSRS na kurs specjalistyczny. Przez 20 lat był w PZPR. 15 sierpnia 1999 r. ówczesny płk Andrzej Kierwiński został odznaczony przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski.

KŁOPOT Z MODLINEM

Donald Tusk bagatelizuje to, co kłopotliwe w życiorysie Marcina Kierwińskiego, szczególnie w czasach, gdy był wiceprezesem spółki zarządzającej lotniskiem w Modlinie. 20 lutego 2013 r. „Super Express” pisał: „Eksperyta Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych wykazuje, że pas startowy w Modlinie został wykonany ze złej mieszanki betonowej. W kruszywie były znaczne ilości ziaren węglanowych oraz węglano-ilastych, które nigdy nie powinny się tam znaleźć”. Wojewódzki inspektor nadzoru budowlanego dopuścił pas do użytkowania warunkowo, nakazując jego ścisłą kontrolę. Ta okazała się jednak niewystarczająca i 22 grudnia 2013 r. lotnisko zostało zamknięte (straty oszacowano na 34 mln zł). Koszt budowy Modlina wzrósł z ponad 300 do 450 mln zł. Dla Tuska nie liczą się faktyczne kompetencje Kierwińskiego, tylko mit inżyniera oraz to, że może mu pomóc w wyborach prezydenta RP, a przy okazji klęskę powodzi przekuć w sukces. Kierwiński ma więc do odegrania znacznie ważniejszą rolę, niż się to wydaje wielu politykom, także tym z PO.

Czy jastrzębie zadziobią gołębie?

Tusk sięga po metody putinowskie, ale i tak będzie popierany przez wspierające go media i środowiska intelektualne. Wielu go tam nie kocha, ale na razie dominuje przekonanie, że nie mają lepszego Tuska. Nie wiadomo, jak trwała będzie ta postawa, zwłaszcza że środowisko „demokratów” jest podzielone przez gwałtowne konflikty i mocne animozje



PIOTR GURSZTYN

Wiele szumu wywołała krytyczna wypowiedź Jacka Żakowskiego na temat metod zarządzania Donalda Tuska. „Tusk sięgnął po metodę putinowską, której w demokracjach się nie stosuje. Nie ma tak, że ruga się urzędników publicznych. To jest typowy, autorytarny model zarządzania” – mówił Żakowski, występując w neo-TVP, szokując tymi słowami swoich współrozmówców, którzy o Tusku wypowiadali się wyłącznie pozytywnie. Przy okazji – co zostało dużo słabiej zauważone – Żakowski wspominał o SMS, w którym Władysław Frasyniuk określił zachowanie Tuska w sztabach przeciwpowodziowych jako postępowanie typowe dla mobberów.

Reakcje były mocne i wypowiedź Żakowskiego nadal jest powtarzana przez opinię publiczną. Jej prawa część ucieczyła się, że ktoś z tamtej strony przejrzał na oczy. Po drugiej stronie było ogromne oburzenie.

Dajmy tu kilka przykładów. Roman Giertych napisał: „Pan Żakowski porównał Donalda Tuska do Putina. Im nienawisć już oczy zaciemnia”. Jak na niego była to jedna z łagodniej sformułowanych ocen. Eliza Michalik oskarżała: „Żakowski od dawna mówi i pisze jak pisowski propagandysta”. Z miejsca były też pretensje do „odzyskanej” TVP, że dopuszcza do takich sytuacji. „Co ten biedny człowiek opowiada? TVP Info daje czas antenowy człowiekowi, który porównuje polskiego premiera walczącego z powodzeniem do Putina i jego metod zarządzania. Żakowski to autor pomysłu o dzieleniu się TVP z PiS. Ktoś na Woronicza chyba odjechał” – stwierdził Grzegorz Furgo, polityk KO, skrupulatnie pilnujący mediów. TVP odpowiedziała na tę uwagę i usunęła z mediów społecznościowych ten fragment wypowiedzi Żakowskiego.

Żywiolowe reakcje na krytykę Tuska ukazują dwie sprawy. Z jednej strony – jak mało wie prawicowa część opinii publicznej o tym, co dzieje się po drugiej stronie. To w sumie nic dziwnego,

bo panuje tam medialna omerta polegająca na wyciszaniu wewnętrznych konfliktów na ile się da. No i od lat nie ma też już żadnych kontaktów między przedstawicielami obu stron. Na usprawiedliwienie można dodać, że liberałowie też mają całkowicie zdeformowany obraz tego, co się dzieje na prawicy.

Z drugiej strony zaobserwowaliśmy wielkie oburzenie liberałów na „zdradę” starego i zasłużonego współtowarzysza bojów z prawicą. „Szanuję Żakowskiego za to, że w każdej, nawet bardzo trudnej sytuacji koncentruje się na tym, by pokazać, jak powinna wyglądać modelowa demokracja i jak bardzo nam do niej jeszcze daleko. Porównując Tuska do Putina, koncertowo jednak przestrzelił” – ubolewał czołowy antypisowski hunwejbajn „Gazety Wyborczej”. Oburzenie, nawet przesadne, bo dzięki niemu wypowiedź – zgodnie z zasadą Barbary Streisand – rozeszła się bardziej, niż gdyby ją przemilczano. Ale widać, że była to emocja nie do opamiętania: „Żakowski albo zgłupiał na stare lata, albo po kryjomu wstąpił do PiS. *Tertium non datur*. Gdy pomyśle, że kiedyś bardzo lubiłam czytać i słuchać tego człowieka, robi mi się



niedobrze” – czytamy w jednym z komentarzy internetowych. A pod nim ponad 300 lajków popierających opinię autorki, tylko trzy przeciw.

„NIE MAMY ŻAPASOWEGO TUSKA”

Zasadniczą przyczyną tych wzburzonych emocji nie jest tylko myśl, że Żakowski zdradził (a liberałowie od wielu lat wszędzie wokół siebie weszłą zdradę na rzecz PiS). To efekt powszechnej tam huśtawki nastrojów. Najpierw jest pogardliwe lekceważenie wobec prawicy i radość z każdego prorocтва o „końcu PiS”. Potem nagle poczucie, że prawica jest demonicznie przebiegła, a władza ich ukochanego premiera – bardzo krucha i czyha na nią wiele niebezpieczeństw. Zaś większa część narodu nie docenia wielkości Tuska i jest gotowa „sprzedać się” za jakieś nowe 500+. Czytają sondaże, dziwią się, że PiS bez przerwy ma wysokie poparcie, co tylko wzmacnia syndrom oblężonej twierdzy i prawdziwą szpiegomanie, którą uprawiają wielbicieli Romana Giertycha, tropiąc agentów PiS we własnych szeregach.

A Żakowski nie zdradził. Powody jego niesubordynacji są w sumie proste. Po pierwsze, ma taką pozycję w swoim środowisku, że może mówić, co chce. Popierał przecież Platformę od zawsze – to on jest autorem hasła: „Tusku, musisz”. Po drugie, uważa, że metoda premiera jest kontrskuteczna, że zniechęca ludzi i na-

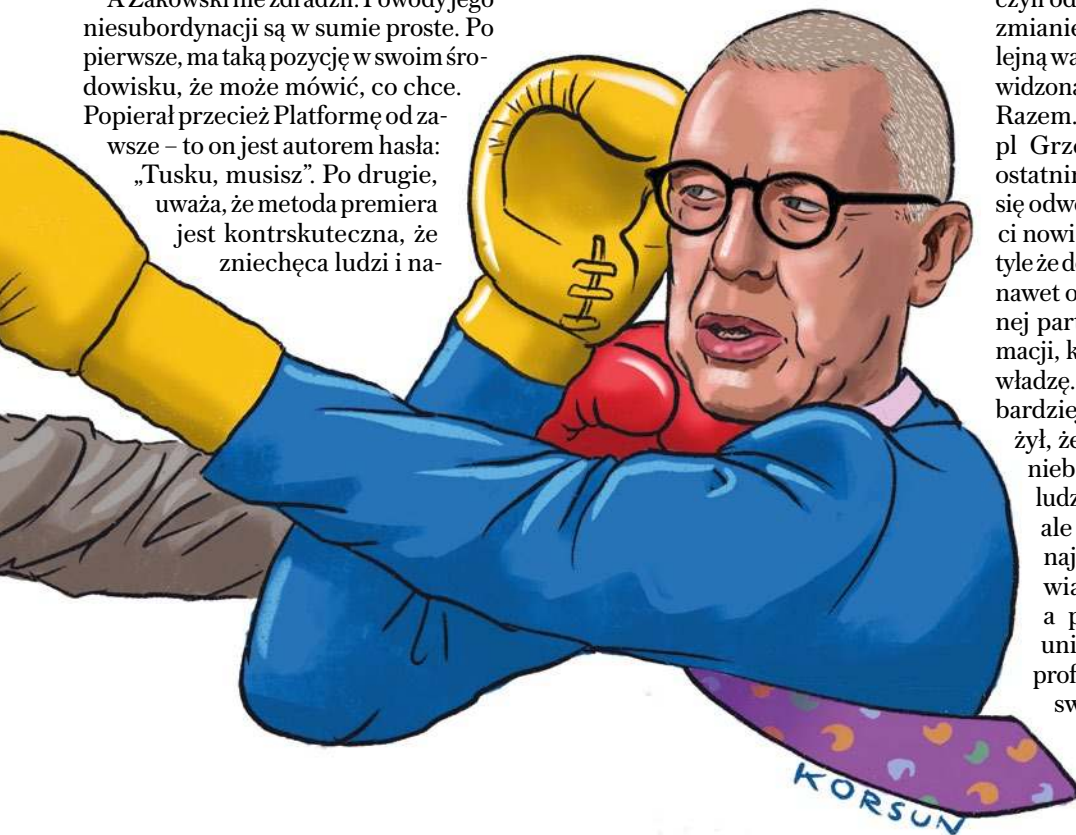
pędzi zwolenników prawicy. „Nie mamy zapasowego Tuska” – mówił w czasie tego samego programu, dodając, że szef rządu przejmuje nie tylko pełnię władzy, lecz także odpowiedzialności, więc razem z nim powódź może „zatonąć” całą koalicję. Po trzecie, dobrze zna Tuska i nie ma złudzeń co do niego. Dzisiaj jest na niego skazany, ale jednocześnie ma powody do negatywnych ocen. Także z osobistych powodów. Za pierwszych rządów Platformy Żakowski pracował nad społecznym projektem ustawy medialnej. Tusk ciepło zachęcał jej twórców, chwalił ich pracę, klepał po plecach, a na końcu ukręcił łeb projektowi, wrzucając na wieczość do sejmowej zamrażarki. Okoliczności były upokarzające dla projektodawców, a takie rzeczy pamięta się długo.

Weterani walki z prawicą tacy jak Żakowski nie muszą niczego udawać. Nie muszą się podlizywać, na co są skazani dawni renegaci z prawicy, a dzisiaj najgorliwsi neofici. Przecież gdyby Roman Giertych czy Eliza Michalik powiedzieli krytyczne słowo o Tusku, od razu zostaliby zdruzgotani przypomnieniem ich przeszłości. A nawet wyrzuceni z obozu „demokratów”.

Żakowski chce przegranej prawicy i trwałego zwycięstwa swojego obozu. Pragnie – jak można sądzić – sprowadzenia „populistycznej” prawicy do poziomu wąskiego marginesu, który nie będzie miał szans na powrót do władzy. Ale on i jemu podobni chcą, aby ta walka była prowadzona na dotychczasowych, w miarę cywilizowanych, warunkach. Aby obie strony brały jeńców i nie mordowały bezbronnych. A premier złamał dotychczasowe zwyczaje i zbrutalizował wojnę.

Ten ton wybrzmiewa też niekiedy w „Rzeczpospolitej”. Jej redakcja była rozzaczowana, gdy Donald Tusk ogłosił, że jego kontrasygnata (ta, którą później wycofał) wynikała z „błędu” podwładnego. „Przez chwilę wydawało się, że po latach wojny polsko-polskiej na noże, widły i postawione na sztorc kosy dotarliśmy do momentu, w którym znów zaczynamy uprawiać starą, nudną politykę, polegającą na negocjacjach i kompromisach między aktorami z różnych stron sceny politycznej. Ale nie, proszę nie regulować odbiorników. To był błąd” – czytamy w komentarzu „Rzeczpospolitej”.

Taka ocena działań Tuska i jego obozu bierze się ze strachu przed eskalacją, czyli odwetem, który może nastąpić po zmianie władzy. Tu wspomnijmy kolejną ważną postać, szczególnie znienawidzoną przez giertychowskich Silnych Razem. To publicysta portalu Gazeta.pl Grzegorz Sroczynski. W swoim ostatnim tekście jasno napisał, że boi się odwetu: po kolejnej zmianie władzy ci nowi zrobią poprzednikom to samo, tyle że do kwadratu. Ma rację. Nie chodzi nawet o odwet PiS, w sumie staromodnej partii, ale każdej innej nowej formacji, która kiedyś odbierze liberalom władzę. Przy okazji Sroczynski jeszcze bardziej dorzucił do pieca, bo zauważył, że w tym momencie najbardziej niebezpiecznymi fanatykami nie są ludzie z dołów hierarchii społecznej, ale przedstawiciele elit: „Obecnie najbardziej prostackie rzeczy mówią nie taksówkarze i kucharki, a profesorowie, to właśnie ich unikaj jak ognia, sfanatyzowanych profesorów i prawników, którzy całą swoją wiedzę, studia, doktoraty zaprzęгают do tego, żeby ci wciskać partyjniackie pierdololo”.



Teoretycznie ta uwaga dotyczy obu stron sporu, ale w przeciwieństwie nie jest tak, że da się zestawić porównywalne listy „sfanatyzowanych profesorów i prawników” z obu stron. Jest to zatem ostra krytyka własnego środowiska.

POLOWANIE NA KONFITURY

Widać, że obóz „demokratów” jest bardziej zróżnicowany, podzielony i wręcz skłócony, niż to się zdaje zwolennikom prawicy. Skierowana przeciw Żakowskiemu i jemu podobnym furia Silnych Razem to wynik szalonych emocji, ale nie tylko. W oczywisty sposób jest podsycana i kierowana przez platformerskich neofitów, zwłaszcza Giertycha i Michalika. To element walki o przejęcie rządu dusz, a także miejsca przy obozie władzy. Szczególnie przy rozdziale konfitur, a z tym nie jest obecnie różowo.

„Starzy towarzysze” walki są pomijani – w redakcjach takich mediów jak „Polityka”, Onet czy „Wyborcza” powszechne jest rozczarowanie tym, że po „odzyskaniu Polski” przejęte spółki skarbu państwa skąpią z wykupywaniem ogłoszeń w tych tytułach. Właściwie to rozgoryczenie, bo wiadomo tam, że nie wynika to z jakiejś polityki oszczędnościowej, lecz z postawy samego Donalda Tuska, który gardzi mediami. Także tymi, które go żarliwie wspierają. Nic nowego, to samo działa się za jego pierwszych rządów, co ludzie tacy jak Żakowski doskonale pamiętają.

Renegaci z prawicy nie mają tak rozbudzonych oczekiwań, są szczęśliwi z tego, co mają. Stąd ich lizusostwo wobec władzy, a także agresja wobec „starych towarzyszy”, których obecność w życiu publicznym jest dla nich jednocześnie groźbą przypomnienia niechlubnej prawicowej przeszłości.

Jeszcze rok temu, przed wyborami, Żakowski bronił decyzji Tuska o wystawieniu Giertycha w wyborach parlamentarnych: „Mnie zaproszenie Giertycha przez Tuska nie dziwi i nie bulwersuje. Mając do dyspozycji czołówkę polskiej palestry, Tusk zaufał właśnie Giertychowi, wybierając go na obrońcę, i od lat z jego adwokackiej pomocy korzysta. Giertych umie przy-

ciągać uwagę, jest retorycznie sprawny, waleczny, błyskotliwy, bryluje na Twitterze, znalazł się w ostrym sporze z PiS, ma fanów i naturę »zwierzęcia politycznego«, więc byłoby dziwne, gdyby lider PO nie umieścił swego adwokata na liście KO, skoro Giertych chce, a Tusk może”. Ale był przy tym świadomy negatywnych konsekwencji: „Jeśli opozycja wygra, Giertych stanie się więc dla demokratów kłopotem, bo będzie ciągnął w stronę modelu autorytarnego”. I tak się dzieje, ale to się akurat Tuskowi bardzo podoba. Jest bowiem tak, że obecny premier stawia na fanatyków i hunwejbiniów, a nie na środowiska bardziej umiarkowane.

Obecny premier stawia na fanatyków i hunwejbiniów, a nie na środowiska bardziej umiarkowane. Giertych to doskonale wie, więc stale atakuje Żakowskiego

Giertych wie to doskonale, więc stale atakuje Żakowskiego. Tak jak np. w grudniu ub.r., gdy publicysta proponował, aby TVP2 przekazać w zarząd opozycji, czyli Prawu i Sprawiedliwości. „Pan Jacek Żakowski proponuje oddać TVP2 dla PiS. Mam lepszą propozycję. Niech Agora S.A. odda TOK FM dla PiS. I Żakowskiego wezmą jako redaktora naczelnego” – komentował to Giertych. Żakowski mógł mu się odwinąć tylko raz, z powodu postawy w czasie głosowania za liberalizacją aborcji – wzywał wtedy, aby Giertych oddał mandat. Jak wiadomo, włos mu z głowy nie spadł, więc szybko znów mógł tępić „symetrystów”: „Pan Żakowski – guru symetrystów i razemitów ubolewa nad tym, że Komisja Regulaminowa uchyliła immunitety p. Romanowskiemu. Niech ze Sroczynskim i Kolankiem zapiszą się do PiS i przestaną udawać, że są obiektywni” – pisała o propozycji Żakowskiego co do pracy sejmowej komisji regulaminowej.

WŁADZA ROBI SVOJE

Ostatnie zdarzenia pokazują, że Tusk i jego ekipa kompletnie lekceważy krytyczne głosy wspierających go środowisk. Dobrym przykładem jest odwołanie ze stanowiska dyrektora Muzeum Historii Polski jego twórcy Roberta Kostro. O pozostawienie go apelowały osoby takie jak były doradca prezydenta Komorowskiego prof. Tomasz Nałęcz czy Kazimierz Wójcicki. W swych apelach używali zaklęć, aby nowa władza nie postępowała jak PiS. „Pisowskie zwyczaje nowej ministry kultury przy zwalnianiu Roberta Kostro z MHP” – pisał o zamiarach minister Hanny Wróblewskiej Wój-

cicki. Te same antypisowskie zaklęcia stosował Maciej Strzembosz w obronie dyrektora Teatru Wielkiego Waldemara Dąbrowskiego: „Nowy rząd robi z Operą Narodową to, co PiS ze stadniną w Janowie Podlaskim”. Jak widać, zaklęcia nie pomogły. Być może także dlatego, że nie są prawdziwe. Dąbrowski, niegdyś minister kultury w rządach SLD, spokojnie funkcjonował pod rządami PiS. Oskarżany o najgorsze minister Piotr Gliński nie odwoływał dyrektorów przed końcem ich kadencji, jak notorycznie czyni to obecna władza.

Wracając do sprawy Kostro, trzeba przypomnieć, że list w jego obronie podpisało wielu intelektualistów od prawa do lewa. W tym najbardziej cenieni historycy, od prof. Andrzeja Friszke po prof. Andrzeja Nowaka. Ale może to zamiast pomóc pogrążyło dyrektora Kostro, bo obecna władza zechciała pokazać, że nie musi się z nikim liczyć. Zwłaszcza z tymi, którzy, podpisując się na jednej liście z „pisowcami”, rozmywiają kreowane przez nią podziały.

Tusk dalej będzie stawiał na fanatyków i hunwejbiniów. Taka jego natura i nie chce jej zmieniać. Na razie może to robić, bo jest traktowany jako przywódca nie do zastąpienia, ostatnia nadzieja przed powrotem prawicy do władzy. Długo będzie mu to uchodziło, ale nie wiecznie, bo jego arogancja narusza nie tylko godność, lecz także pozycję oraz interesy ludzi, którzy go wspierali. A takich rzeczy nie można tolerować zbyt długo.

MEN, czyli pozory troski o ucznia

W nowym pomysle Ministerstwa Edukacji Narodowej nauczyciel przyrody ma być specjalistą od wszystkiego. A to jest niemożliwe. Nie da się być pasjonatem czterech przedmiotów na raz

Z Agnieszką Pawlik-Regulską, prezes Stowarzyszenia „Nauczyciele dla Wolności”, koordynatorką Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, nauczycielką języka polskiego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Biologia, chemia, geografia, fizyka – te cztery przedmioty mają zostać połączone w jeden. Tak przynajmniej lakonicznie zapowiedziało MEN. Czy wiemy coś więcej o tym pomysle?

Agnieszka Pawlik-Regulską: Nie wiemy zbyt wiele. Panie minister Nowacka czy Lubnauer co jakiś czas wypuszczają balony próbne z różnymi pomysłami, które mają wprowadzić

ferment. W ten sposób opinia publiczna jest sondowana. Nie wiemy jednak, czy to miałyby obowiązywać do końca klasy szóstej czy ósmej, a może i w liceum. Zapowiedź połączenia tak dużej liczby tak zróżnicowanych przedmiotów jest niepokojąca. Podobnie jak to, że jako przedmiot przyrodniczy zakwalifikowano geografię. Do tej pory była ona łączona z historią i postrzegana bardziej jako przedmiot

humanistyczny. Historycznie nauczanie przedmiotowe od klasy pierwszej było rozdzielone. Dzieci uczyły się matematyki, języka polskiego i przyrody. Tak było do 2000 r., kiedy weszło nauczanie zintegrowane. To zintegrowanie jest stopniowo rozciągane na kolejne klasy wzwyż. Do tej pory przyroda była tylko w klasie czwartej, a teraz okazuje się, że zostanie rozciągnięta na wyższe klasy.

Słyszymy, że ma chodzić o to, by było więcej doświadczeń.

Jeśli tak, to dlaczego w znakomitej większości zniknęły one teraz z podstawy programowej? To sprzeczność. Zwracało na to uwagę Polskie Stowarzyszenie Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych w ramach prekonsultacji podstaw programowych. Jego zdaniem liczba doświadczeń cofa nauczanie do czasów Gomułki, a w niektórych miejscach nawet do XIX w.

Wiceminister edukacji narodowej Katarzyna Lubnauer tłumaczyła nowy pomysł MEN, podając przykład kwaśnego deszczu jako zjawiska poruszającego jednocześnie kwestie z zakresu chemii, biologii i geografii. Ale przecież tematów jest wiele, które w różnych ujęciach pojawiają się przy okazji różnych przedmiotów. Chodzi o szerokie podejście do danego zagadnienia. To chyba nie jest wystarczający powód, by łączyć wszystko ze wszystkim?

Zdecydowanie nie. Przykład z kwaśnymi deszczami został zresztą szeroko obśmiany. Przecież chodzi o to, by wiedza była usystematyzowana, podana w pewnym porządku i harmonii. Wbrew pozorom integracja wszystkiego ze wszystkim nie wprowadza tego porządku. Podejmowano próby tworzenia bloków przedmiotowych czy ścieżek międzyprzedmiotowych w okresie funkcjonowania gimnazjów. To się nie sprawdziło. Zmiany nie mogą się odbywać kosztem rzetelnej, usystematyzowanej wiedzy z danego przedmiotu. Może gdyby to były jakieś dodatkowe warsztaty. Natomiast likwidacja czterech przedmiotów, by dzieci mogły omawiać kwaśne deszcze, jest drogą donikąd.

Za tym pomysłem stoi argumentacja, że brakuje nauczycieli poszczególnych przedmiotów, tymczasem ci, którzy zostali, są przerażeni, że stracą pracę.

Jeśli to ma być pomysł na zaspokojenie braków kadrowych, to nie tędy droga. Działania MEN (nie tylko za tej ekipy) często wyglądają jak próba gaszenia pożaru, jednak nikt nie próbuje dociec źródła problemu. W tym pomysle na-

uczyciel przyrody ma być specjalistą od wszystkiego. A to jest niemożliwe. Nie da się być pasjonatem czterech przedmiotów na raz. Człowiek studiuje i zgłębia daną dziedzinę z pasji. Ktoś, kto studiuje chemię, ma laboratoria, robi doświadczenia, a potem może się tą pasją podzielić z młodymi ludźmi. Od 1 października br. na niektórych uczelniach prywatnych pojawiły się studia dla nauczycieli biologii i chemii, biologii i fizyki, fizyki i geografii. Połączenia wyglądają dość przypadkowo. Te studia trwają trzy semestry i są zdalne. Jak w tym czasie nauczyciel, który do tej pory uczył geografii, nagle ma się stać przewodnikiem po chemii czy fizyce, skoro wyłącznie zdalnie liźnie temat? Jeśli to jest pomysł na zapełnienie luk w kadrze nauczycielskiej, stanowi również równie pochyłą i kolejny krok w kierunku obniżania poziomu nauczania. Po prostu nie będzie dobrych specjalistów. Dobrze uczyć może ten, kto ma autorytet i jest kompetentny. Te zapowiedziane zmiany świetnie się wpisują w założenia dokumentu „Edukacja dla wszystkich”, który został opracowany przez MEN w 2020 r. Znamienne, że nikt się pod nim nie podpisał z imienia i nazwiska. W dokumencie jest mowa o tym, jak w Polsce ma być wdrażana edukacja włączająca, zwana też inkluzyjną. W etapie czwartym wdrażania tej edukacji, czyli w latach 2026–2030, zapisano, że należy opracować zmiany prawne i nową połączoną podstawę programową. To wszystko układa się w jedną całość. Wiele pomysłów, które przedstawia MEN, ma pozory troski o ucznia, jednak gdy wnikiemy w dokumenty unijne czy te dotyczące edukacji włączającej lub profilu absolwenta, to zrozumiemy, że cel jest zupełnie inny, dla młodzieży na pewno szkodliwy.

O tym za chwilę. Nauczyciele przedmiotów przyrodniczych i geografii są mocno zaniepokojeni, bo obawiają się, że dzieci nie będą dostatecznie przygotowane do dalszych etapów edukacji.

Już w tej chwili wykładowcy na uczelniach technicznych, np. na politechnice, zastanawiają się, czy nie wprowadzić roku zerowego, ponieważ młodzież przychodząca po szkole średniej nie jest

w stanie podjąć nauki na odpowiednim poziomie na studiach ścisłych i technicznych z powodu braków w szkole średniej. Tymczasem mamy kolejny, 20-proc. lifting podstawy programowej. Do tej pory chlubiłiśmy się tym, że mieliśmy wspaniałych inżynierów, którzy budowali mosty, drogi. Ich ślady można zobaczyć na całym świecie. Wygląda na to, że to stracimy. Jeśli poziom edukacji będzie sukcesywnie obniżany w myśl tego, że musi być dostosowany do potrzeb dzieci ze wszystkimi deficytami, to nie uda nam się wykształcić tak dobrych inżynierów, specjalistów, bo poziom na uczelniach też będzie obniżany, żeby ktokolwiek mógł się na nie dostać i je ukończyć. Co za tym idzie, będziemy musieli szukać specjalistów za granicą. Do tej pory fachowców eksportowaliśmy, teraz będziemy ich importować.

Wspomniała pani, że nie można być pasjonatem czterech przedmiotów na raz, a dobrze uczyć może ten, kto ma autorytet i kompetencje. Czy nie grozi nam obniżenie autorytetu nauczyciela? Przecież wprowadzona od kwietnia likwidacja prac domowych to odebranie nauczycielom dużej części autonomii.

To jest strzał w kolano. Pokazano nauczycielom, że na niczym się nie znają i wszystko robią źle. Ten pomysł był krytykowany ze wszystkich stron: i przez związki zawodowe, i przez RPO, który wskazywał, że to rozporządzenie jest niezgodne z konstytucją, z prawem oświatowym, z Kartą Nauczyciela w art. 12 pkt 2, który głosi, że to nauczyciel ma prawo do swobody stosowania takich metod nauczania i wychowania, jakie uważa za najwłaściwsze. Na pomysł oburzali się nawet przedstawiciele organizacji lewicowych. Brałam udział w sejmowej komisji edukacji, gdy dyskutowano ten pomysł. Krytyka płynęła ze wszystkich stron, podkreślano, że nauczyciele wiedzą, jak mają pracować. Rozumiem apele o to, by nie zarzucać dzieci pracami domowymi, by były one zadawane z głową. Natomiast wprowadzenie odgórnego rozporządzenia to absurd.

Minister Lubnauer chwaliła się, że jesteśmy pierwszym państwem w Europie, które wprowadza takie prawo, z tym

że to nie jest powód do chluby. Skoro nikt tego nie zrobił, chyba jest jakiś powód. To jest nie tylko nadszarpięcie autorytetu nauczycieli, lecz także niszczenie autorytetu rodziców i niszczenie więzi rodzinnych. Moment, w którym rodzic pytał, co jest zadane i czy lekcje już odrobione, pozwalał zorientować się w tym, co dziecko teraz robi w szkole, na jakim jest etapie, czy nie ma braków.

Pozostanmy jeszcze przez chwilę przy zmianach, które już zaszły. Uszczuplenie podstawy programowej o 20 proc. oznacza m.in. rezygnację z omawiania niektórych lektur czy omawianie ich wyłącznie we fragmentach. Jak pani ocenia te zmiany?

Szukającą decyzją było dla mnie np. to, że takie dzieło jak „Pan Tadeusz” będzie poznawane tylko w połowie. Wskazano 6 z 12 ksiąg, które należy omówić. Przecież to epopeja narodowa! Rozumiem, że tekst jest trudny, powinien być omawiany w szkole średniej, a nie w podstawowej. Ale dlatego, że jest trudny, nie można zrezygnować z omawiania go w całości. To nieporozumienie. Przecież mamy tu tradycję, historię, miłość do ojczyzny zamkniętą w trzynastozgłoskowcu i średniowie. Młodzież nie będzie musiała tego poznać w całości?! Dla polonisty to szczególnie bolesne. „Chłopi”, „Potop”, „Quo vadis” to teksty, które młodzież pozna tylko we fragmentach. Wystarczy przecież nawet tylko dwa, by zrealizować podstawę programową. Ich dobór jest dowolny. To znaczy, że pozostawia się możliwość całkowitej relatywizacji tych tekstów i instrumentalnego traktowania tych dzieł. Bez pokazania ich bogactwa i kontekstu. Poza tym fragmentaryzacja powoduje zamęt.

Bardzo niepokojące są także zmiany w historii. Przeanalizowałam podstawę obowiązującą obecnie w szkołach podstawowej i średniej. Jestem głęboko poruszona tym, że nigdzie, na żadnym poziomie, nie są wspomniane takie nazwiska jak: Hugo Kolląta, Stanisław Staszic, Romuald Traugutt, Piotr Skarga (nie ma go także na języku polskim), św. Tomasz z Akwinu, Edward Rydz-Śmigły, Ignacy Mościcki, Włady-

ślaw Sikorski, Leopold Okulicki, Stefan Grot-Rowecki. Proszę sobie wyobrazić, że uczeń, który zdaje maturę, może nie wiedzieć, kim był Traugutt! Niepojęte! W podstawie programowej Józef Piłsudski pojawi się tylko w szkole podstawowej, bliżej poznają tę postać tylko uczniowie, którzy wybiorą rozszerzoną historię na maturze. Roman Dmowski, armia Andersa wyłącznie na rozszerzeniu. „Inka” i Witold Pilecki tylko w podstawówce. Na żadnym poziomie nauczania historii nie ma takich wydarzeń, jak obrona Westerplatte, obrona Poczty Gdańskiej, bitwa o Anglię, bitwa o Monte Casino czy ludobójstwo na Woli podczas powstania warszawskiego. Zniknęły kopalnia Wujek i Solidarność Walcząca. To konkretny zamach na tożsamość narodową.

Do tej pory chlubiliśmy się tym, że mieliśmy wspaniałych inżynierów, którzy budowali mosty, drogi. Ich ślady można zobaczyć na całym świecie. Wygląda na to, że to stracimy

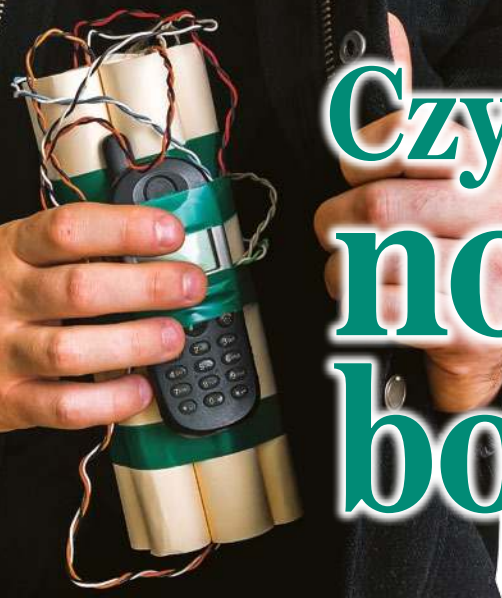
To chyba nie przypadek. Wygląda na to, że europejski obszar edukacyjny krok po kroku staje się faktem. Po planowanej zmianie traktatów edukacja ma być kompetencją unijną, a nie państw członkowskich.

Jeśli zmiany w unijnych traktatach zostaną przegłosowane i edukacja stanie się kompetencją wspólną, to nic nie zostanie z naszej suwerenności i tożsamości narodowej. To, co dzieje się w edukacji, a co wypływa z różnych dokumentów UE, to takie puzzle, które składają się w jedną całość. Trzeba wspomnieć o Europejskiej Agencji ds. Specjalnych Potrzeb i Edukacji Włączającej, która zrzesza ministerstwa edukacji 31 krajów członkowskich (łącznie z Polską). Ta agencja wpływa na kształt edukacji w poszczególnych krajach, obniżając jej poziom, bowiem nauczyciele

poszczególnych przedmiotów mają być ekspertami w edukacji specjalnej, a edukacja ma być dostosowana do potrzeb dzieci z głębokimi dysfunkcjami. W ten sposób siłą rzeczy obniża się poziom edukacji. Dorzućmy jeszcze do tego to, co się dzieje w Instytucie Badań Edukacyjnych, który realizuje finansowany w ponad 80 proc. z funduszy europejskich projekt o wartości ponad 91 mln zł mający na celu m.in. wprowadzenie do szkół projektowania uniwersalnego, polegającego na dostosowaniu programów nauczania do możliwości każdego ucznia, nawet z głębokimi deficytami. Projekt ten finansuje również opracowanie szkolnej oceny funkcjonalnej, co zapowiada odejście od ocen tradycyjnych na rzecz badania dobrostanu wszystkich uczniów, który jest faktycznie furtką do inwigilacji całej rodziny dziecka i jego środowiska. IBE pracuje również obecnie nad profilem absolwenta.

Do tej pory celem edukacji, co zapisano w prawie oświatowym, było wspieranie dziecka w rozwoju ku pełnej dojrzałości w sferze emocjonalnej, fizycznej, intelektualnej, duchowej, społecznej. Teraz celem edukacji ma być sformatowanie młodego człowieka jako pracownika pod potrzeby rynku pracy. Czyli zamiast kompletnego, dojrzałego człowieka mamy stworzyć zasób siły roboczej. Nie ma tu miejsca na wartości, samodoskonalenie, rozwój osobisty, kształtowanie silnej woli. Uczeń przestaje być podmiotem systemu szkolnego, a zaczyna być traktowany jako produkt epoki i element przyszłego rynku pracy. To stoi za europejskim obszarem edukacyjnym, mobilnością pracownika i dzieje się na naszych oczach. Stopniowo, krok po kroku.

O przyczynach i skutkach zmian planowanych przez MEN będziemy mówić razem z ekspertami na organizowanej przez nas 14 października 2024 r. w Sejmie pod patronatem wice marszałka Krzysztofa Bosaka konferencji oświatowej pt. „Polska szkoła – dekonstrukcja i fundamenty odbudowy”, na którą zapraszam dyrektorów, nauczycieli, rodziców i wszystkich zainteresowanych tematem.



Czy wszyscy nosimy bomby?

Po akcji z wybuchającymi pagerami Hezbollahu ludzkość uświadamia sobie nowe zagrożenie. Każde urządzenie w każdym zakątku świata może być bomba



DARIUSZ MATUSZAK

17 września 2024 r. przeszedł do historii wojskowości, działalności służb i wywiadów, międzynarodowego handlu, rozwoju nowoczesnych technologii. Izrael, małe państwo, mniejsze niż województwo warmińsko-mazurskie, znów zadziwił świat. Tego dnia ok. godz. 15:30 czasu bliskowschodniego w całym Libanie, a także w niektórych miejscach Syrii niemal jednocześnie albo w kilkusekundowych odstępach zaczęły wybuchać małe, osobiste urządzenia telekomunikacyjne – pagery. Eksplozje zakończyły się po 30 min, pozostawiając kilkunastu zabitych i 2,7 tys. rannych członków Hezbollahu.

Wśród ofiar był ambasador Iranu Mojtaba Amani, który miał stracić oko. Teheran zaprzecza, bo przecież nie będzie oficjalnie potwierdzał związków

z Hezbollahem, a Jerozolima okrutnie szydzi, że odbyła się największa w historii „operacja obrezania”. Libańskie media z lubością pokazywały drastyczne skutki eksplozji. My je pominiemy i pozostawimy domniemaniom, jakie rany mogły zadać wybuchy schowanych w kieszeniach spodni urządzeń. Wedle wielu doniesień niektóre eksplozje były poprzedzone sygnałem dźwiękowym o wiadomości, by wyjęte urządzenie rozerwało się w twarz.

Krwawa akcja powtórzyła się następnego dnia. Tym razem tysiącami wybuchaly krótkofalówki, w tym te, które zabrano na pogrzeby dzień wcześniej zabitych członków Hezbollahu. 30 osób zginęło, a ponad 750 zostało rannych. Pojawiły się też doniesienia o eksplozjach paneli słonecznych, sprzętów domowych, samochodów, skuterów itp. Cokolwiek teraz wybuchnie w Libanie, będzie sprawką Mossadu. Izrael nie potwierdził, że ma cokolwiek wspólnego z atakiem, ale ostrzegł ludność cywilną, by opuściła swe domy, jeśli mieszkają w nich też członkowie Hezbollahu. „Wszystkich, którzy znajdują się wewnątrz lub obok budynków wykorzy-

stywanych przez Hezbollah, wzywamy do natychmiastowej ewakuacji” – takie esemesy przyszły na dziesiątki tysięcy telefonów mieszkańców południowego Libanu.

A potem doszło do „tradycyjnych” ataków lotniczych, w których śmierć ponieśli wszyscy zastępcy Nasrallha Hassana, przywódcy Hezbollahu, w tym słynny Ibrahim Aqil. Odpowiadał on za atak na ambasadę amerykańską w Bejrucie w kwietniu 1983 r., w którym zginęły 63 osoby, i za kolejny z października tamtego roku na kozary korpusu piechoty morskiej USA, w którym śmierć poniosło 241 marynistów. Izrael miał unicestwić szefostwo Hezbollahu, w tym dowódców jednostek specjalnych al-Hajj Radwan Force, bo wiedział, kiedy i gdzie się spotkają, by osobiście omówić, co robić po tym, jak wybuchające urządzenia całkowicie sparaliżowały komunikację.

SPEKTAKULARNA AKCJA

Bombardowania, ataki raketowe, „żywe bomby”, ale też te w radiach, telefonach, samochodach to na Bliskim Wschodzie „rutyna”. Jednak tak zmyślny, skoordynowany i masowy atak poprzez urządzenia elektroniczne to zupełnie nowa „jakość” w trwającej blisko 80 lat wojnie, a także nowy etap wszystkich następnych konfliktów i zamachów. Akcja izraelskich służb, w tym prawdopodobnie jednostki 8200, która w Mossadzie odpowiada za wywiad cybernetyczny i to, co związane z technologiami cyfrowymi, była bezprecedensowa. Dokonano rzeczy niewyobrażalnej. Kiedyś gdzieś założono ładunki wybuchowe – po 3 g pentrytu – w co najmniej 5 tys. urządzeń komunikacyjnych, rozproszono je i odpalono w skoordynowanym ataku. Nawet Hezbollah przyznał, że jest pełen podziwu dla izraelskich służb. Jak to w ogóle było możliwe, że eksplodowały pagery, rutynowo sprawdzane nawet na lotniskach, tam, gdzie alarm wszczynają najczulsze wykrywacze materiałów wybuchowych?

Nie ma wątpliwości, że cała historia zostanie kiedyś sfilmowana, a fabuła będzie prowadzić przez Izrael, Liban, Iran, Wielką Brytanię, Rosję, Chiny,

Tajwan, Japonię, Belgię, Rumunię, Norwegię, Bułgarię, Węgry i Bóg wie jeszcze jakie państwa, bo ta historia na pewno będzie się rozwijać.

To w Budapeszcie w jednym z mieszkań w blokowisku była zarejestrowana firma BAC Consulting KFT, która miała być producentem i sprzedawcą wybuchowych pagerów AR924. W tym samym budynku adresy ma 13 innych firm. W historiach z Bliskiego Wschodu zawsze musi być coś baśniowego, więc wybuchające pagery krążyły pod marką tajwańskiej firmy o nazwie Golden Apollo. Ta wszystkiego się wypiera. Podobnie szefowa BAC, a Zoltán Kovács, rzecznik węgierskiego rządu, oznajmił, że firma „jest pośrednikiem handlowym, bez zakładu produkcyjnego i operacyjnego na Węgrzech”.

Póki co wiadomo, że w lutym, po tym, jak namierzono telefony komórkowe Hezbollahu, szef tej organizacji Nasrallah kazał kupić pagery. Tę dość anachroniczną, ale praktyczną usługę wykorzystują częstotliwości radiowe, które są w stanie przenikać przez grube ściany i metalowe bariery, dlatego są chętnie wykorzystywane przez służby ratownicze. A ponieważ nie można ich namierzyć, bo są tylko odbiornikami najczęściej wiadomości tekstowych, używają ich też grupy przestępcze. Małe pudełeczko wydawało się więc idealne dla zakonspirowanych członków Hezbollahu. Podobnie stare krótkofalówki IC-V82, które wybuchły dzień po pagerach. Szef produkującej je niegdyś japońskiej firmy Icom oznajmił, że kiedyś eksportowano je na Bliski Wschód, ale od ponad dziesięciu lat są wycofane ze sprzedaży i to niemożliwe, by ktoś kiedyś na jakimś etapie produkcji nafaszerował je ładunkami wybuchowymi. W obiegu są jednak tysiące aparatów i pewnie jeszcze więcej podróbek. Na razie nie wiadomo, od kogo kupiono te starocie.

ŚMIERCIONOŚNE URZĄDZENIA

I tu zaczyna się otchłań. Oto odkrywa się kompletnie niezbadane, nieznane śmiertelnikom uniwersum tysięcznych magazynów elektroniki, całych

„kopalń” starych, zdemobilizowanych urządzeń, z których jacyś zapaleńcy albo ludzie służb wydłubują części i składają nowe, czasami śmiertelnie zabawki. Służby świata uświadomiły sobie, że nieskończone łańcuchy powiązań i dostaw z jakichś warsztatów we wszystkich dziurach naszej planety, pokątny handel poprzez sieć niemożliwych do rozplątania stron w internecie i piwnicznych składów jest nie do wysledzenia. Niby wszystko było wiadomo, ale skala tego, co wydarzyło się w Libanie, sprawia, że ludzkość może spojrzeć w oczy nowemu demonowi. „Czy wszystkie małe czujniki i kamery lub komponenty przetwarzające dane są tym, za co je uważamy?” – pyta na platformie X (d. Twitter) Daniel Bar-

Tak zmyślny, skoordynowany i masowy atak poprzez urządzenia elektroniczne to zupełnie nowa „jakość” w trwającej blisko 80 lat wojnie na Bliskim Wschodzie, a także nowy etap wszystkich następnych konfliktów i zamachów

denstein, współzałożyciel i szef firmy Manifest zajmującej się bezpieczeństwem dostaw oprogramowania.

Wyobraźmy sobie dziesiątki tysięcy małych bomb już rozmieszczonych w dziesiątkach tysięcy małych urządzeń. W telefonach komórkowych tych, którzy lecą samolotem, laptopach i słuchawkach. W suszarkach, aparatach słuchowych, w sprzęcie każdego lekarza i szpitala, na posterunkach policji, w biurach władz – w każdym miejscu i w czymkolwiek.

Wyobraźmy sobie przegląd wszystkich urządzeń elektronicznych, milionów sztuk, które posiadają członkowie

Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. A to właśnie zarządził Teheran. Niemal cała elektronika trafia do Iranu przez Chiny i Rosję, więc także tam zaczyna się wielki przegląd. Wyobraźmy sobie sprawdzanie w Libanie i kolejnych krajach Bliskiego Wschodu paneli słonecznych, lodówek, lamp, hulajnóg czy papierosów elektronicznych – wszystkiego, w czym można ukryć ładunek i odpalić go. Wyobraźmy sobie panikę w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, którego Departament Rozwoju Międzynarodowego współpracował z węgierską firmą od pagerów. Podobnie w Brukseli w tajnych pokojach Komisji Europejskiej: co nam wcisnęli ci Żydzi z Budapesztu?

A może to akurat Rumuni albo Bułgarzy rozprowadzili trefne urządzenia, bo i taki trop się pojawił. Norweskie służby badają, czy dostarczyła je Norta Global, działająca w Sofii spółka ich rodaka.

Wielki niepokój zapanował w Chinach, o czym pisze „South China Morning Post”, bo w Państwie Środka są w użyciu setki milionów urządzeń z Tajwanu z firm takich jak Golden Apollo. Śmiertelny wróg jest największym dostawcą elektroniki. „Tajwan jako bliski sojusznik USA, które z kolei są bliskim sojusznikiem Izraela, jest w jakiś sposób współwinny tej operacji pod przykrywką” – snuje spekulacje Muhammad Faizal bin Abdul Rahman z School of International Studies w Singapurze. Napięcie rośnie.

To samo działa w drugą stronę. Kluczowe komponenty niemal każdego iPhone’a są produkowane w Chinach. Sprawienie, by dziesiątki milionów baterii tych urządzeń przegrzewało się na zawołanie może się wydawać mało prawdopodobne, ale jest wykonalne. Państwo Środka jest również głównym dostawcą sprzętu nadawczego, komputerów, części do maszyn biurowych itp. Ryzyko działań Chin w odniesieniu do takich urządzeń należy uznać za realną możliwość. Wszystko może być miną albo urządzeniem szpiegującym. Nie miejmy złudzeń – bomby już tu są. Pytanie tylko, gdzie jest to „tu”, czy zegar tyka i kto może odpalić ładunki. 



Uwaga! Nadchodzi synod

Najbliższa odsłona synodu o synodalności w Watykanie stanie się zapewne areną kolejnych teologicznych starć i kontrowersji



GRZEGORZ GÓRNY

2 października w Watykanie rozpocznie się kolejny etap synodu o synodalności, który potrwa do 27 października. Zanim to nastąpi, 1 października w bazylice św. Piotra odbędzie się liturgia pokutna, podczas której Kościół ma prosić o wybaczenie za swoje grzechy. Uczestnicy tego wydarzenia powinni się odnaleźć w wyznanych przewinach (przynajmniej niektórych) i wyrazić prośbę o przebaczenie w imieniu wszystkich ochrzczonych.

SPIS NOWYCH GRZECHÓW

Największe zaskoczenie wzbudziła podana przez sekretariat synodu lista

grzechów, za które należy przepraszać. W opublikowanym spisie znalazły się następujące grzechy: przeciw pokojowi; przeciw stworzeniu, ludności rdzennej i migrantom; nadużycia; przeciw kobietom, rodzinie i młodzieży; używania doktryny jak kamieni, którymi się ciska; przeciw biednym; przeciw synodalności: brakowi słuchania, wspólnoty i uczestnictwa wszystkich. Któryś z włoskich publicystów skomentował spis pytaniem: czyżby stary dobry Dekalog przestał już obowiązywać?

Warto przypomnieć, że kiedy w 2000 r. Jan Paweł II z okazji Roku Jubileuszowego postanowił publicznie prosić Boga o przebaczenie dawnych i obecnych grzechów dzieci Kościoła, poprzedził ten akt sześcioma latami przygotowań. Przez ten czas Międzynarodowa Komisja Teologiczna pracowała nad dokumentem pt. „Pamięć i tożsamość”, który uzasadniał sens i cel „oczyszczenia pamięci” przez wspólnotę katolicką. Każde wypowiedziane przez

papieża słowo przeprosin zawierało wówczas teologiczne uzasadnienie.

Niestety zabrakło tego przed obecnym synodem. Jego uczestnicy zostali zaskoczeni jednostronicowym tekstem, w którym znalazły się dziwne i niejednoznaczne sformułowania. Kard. Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, komentując ów spis, powiedział, iż jest to „lista kontrolna ideologii woke i gender”, innymi słowy: przeniesienie na grunt religii zideologizowanych pojęć socjologicznych i politycznych. Rodzi ona wiele pytań: dlaczego grzech przeciw kobietom, a nie przeciw mężczyznom? Dlaczego przeciw biednym, a nie bogatym? Dlaczego nie ma np. grzechów śmiertelnych przeciwko życiu, na które panuje dziś wśród katolików na świecie olbrzymie poprzewolenie?

Zdaniem kard. Müllera nie istnieje też coś takiego jak grzech wykorzystywania doktryny katolickiej jako kamienia, którym rzuca się w innych. Można by wówczas równie dobrze postawić taki zarzut

apostołom, którzy głosili naukę Kościoła w opozycji do wierzeń i filozofii ówczesnego świata. Jak zauważa niemiecki dostojnik: „Św. Paweł opisuje zadanie biskupów jako gwarantów tradycyjnego nauczania Apostołów. Nauczanie Kościoła nie jest – jak sądzą niektórzy antyintelektualiści w episkopacie, którzy z powodu braku wykształcenia teologicznego lubią uzurpować sobie pretensje do swych darów duszpasterskich – akademicką teorią wiary, ale racjonalną prezentacją objawionego Słowa Bożego, pragnącego, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy”.

GRZESZNOŚĆ A SYNODALNOŚĆ

Kontrowersje budzi także „grzech przeciwko synodalności”, tym bardziej że nie istnieje definicja synodalności, a sami ojcowie synodalni powtarzają, że muszą dopiero odkrywać, czym właściwie jest synodalność. Wiadomo, że Franciszek zerwał z dotychczasowym wąsko rozumianym pojęciem synodalności, ograniczonym do instytucji synodu ds. biskupów. Powiazał je z przygodą, do której zaprosił nie tylko hierarchów, lecz także świeckich, nie precyzując jednak, jakie są kryteria owej synodalności.

Dlaczego więc na wspomnianej liście grzechów nie miałyby się znaleźć, jak zauważa kard. Müller, „grzech przeciwko takiemu rodzajowi synodalności, który jest wykorzystywany jako narzędzie prania mózgu w celu dyskredytacji tak zwanych konserwatystów jako zacofanych i zakamuflowanych faryzeuszów”? W tym sensie „grzechem przeciwko synodalności” mogłaby być np. niemiecka droga synodalna. Jeden z komentatorów zauważył też, że jako „grzech przeciw stworzeniu” (grzech klimatyczny) mogą być uznane watykańskie synody, ponieważ są organizowane często i zmuszają setki ludzi z całego świata do przemieszczania się samolotami, a tym samym do emitowania gazów cieplarnianych i pozostawiania śladu węglowego.

Kończąc swój tekst na temat przygotowywanej liturgii pokutnej, kard. Müller napisał: „wielcy agitatorzy ścieżek synodalnych i eskalującego synodalizmu bardziej skupiają się na zdobywaniu wpływowych stanowisk i ugruntowywaniu swoich niekatolickich ideolo-

gii niż na odnowieniu w sercach ludzi wiary w Chrystusa. Fakt, że instytucje kościelne w krajach dawniej całkowicie chrześcijańskich ulegają rozkładowi (puste seminaria, wymierające zakony, rozbite małżeństwa i rodziny, masowe wystąpienia z Kościoła – kilka milionów katolików w Niemczech) nie szokują ich do głębi. Uparcie realizują swój plan, który sprowadza się do zniszczenia antropologii chrześcijańskiej, dopóki ostatnia osoba nie zgasi światła, a skarbiec kościelny nie zostanie pusty”.

PRZYPADEK LUKSEMBURGA

Jednym z hierarchów, do którego można skierować powyższe słowa niemieckiego purpurata, jest kard. Jean-Claude Hollerich z Luksemburga, pełniący funkcję generalnego relatora obecnego synodu. Słynie on z modernistycznych poglądów, np. uważa, że nauczanie Kościoła o grzeszności stosunków homoseksualnych jest błędne, ponieważ opiera się na przestarzałych podstawach socjologicznych i naukowych. Opowiada się też za kapłaństwem kobiet, skoro czują się one dyskryminowane w Kościele z powodu niedopuszczenia do tego sakramentu.

Kard. Hollerich stoi na czele Kościoła w kraju, w którym funkcjonują obecnie zaledwie 33 parafie. Jeszcze całkiem niedawno było ich 275, ale zostały zamknięte z powodu braku wiernych. Ogólnie obraz katolicyzmu w Luksemburgu sprawia przynębiający widok: puste świątynie, brak powołań, martwe duszpasterstwo. Nieliczni proboszczowie muszą obsługiwać po kilka kościołów, msze są skracane, by nie zabierać wiernym cennego czasu, komunie rozdają ministrantki. praktycznie nie ma spowiedzi. Nie widać też żadnych impulsów odnowicielskich, a jedynie postępujący upadek.

Kościół w Luksemburgu jest niezwykle zamożny, ale nawet on nie był w stanie uratować tamtejszego Caritasu. Dwa miesiące temu wyszło na jaw, że w tej katolickiej instytucji charytatywnej zdefraudowano ponad 60 mln euro. Doprowadziło to do masowych zwolnień i zamknięcia kilkudziesięciu projektów pomocowych w Azji i Afryce.

Kard. Hollerich zarządza więc w Luksemburgu Kościołem, który ma wielkość zaledwie trzech dekanatów. W porówna-

niu z innymi metropoliami na świecie to niewielkie terytorium. Mimo to nie jest w stanie poradzić sobie z zarządzaniem nawet tak małą wspólnotą katolicką. Ma jednak ambicje reformowania Kościoła w skali globalnej, wysuwając propozycje, które zostały już wcielone w życie u protestantów i wcale nie doprowadziły u nich do ożywienia wiary, lecz pogłębienia kryzysu.

GŁOS Z AFRYKI

Z innym nastawieniem zjawia się w Rzymie biskupi z Czarnego Łądu. Kard. Robert Sarah z Gwinei, były prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, wezwał afrykańskich biskupów udających się na synod, by bronili tradycyjnego nauczania Kościoła przed samozwańczymi reformatorami. Zaaapelował, by się sprzeciwili zwłaszcza poglądom, jakoby prawdy wiary uzależnione były od miejsca, kultury i narodu, co postuluje część wpływowych ojców synodalnych.

Kard. Sarah zwrócił się do biskupów Afryki z apelem: „My, następcy apostołów, zostaliśmy wysłani nie po to, aby promować i bronić naszych kultur, ale powszechnej jedności wiary! [...] Wydaje się, że dzięki tajemniczemu planowi Opatrzności episkopatu afrykańskie są obecnie obrońcami powszechności wiary przed zwolennikami fragmentarycznej prawdy, obrońcami jedności wiary przed zwolennikami relatywizmu kulturowego. [...] Na najbliższej sesji synodu istotne jest, aby biskupi afrykańscy wypowiadali się w imię jedności wiary, a nie w imieniu poszczególnych kultur. Podczas poprzedniej sesji Kościół afrykański stanowczo bronił godności mężczyzny i kobiety stworzonych przez Boga, ale jego głos został zignorowany i wzgardzony przez tych, których jedyną obsesją jest zadowalanie zachodniego lobby. Wkrótce Kościół afrykański będzie musiał bronić prawdy o kapłaństwie i jedności wiary. Kościół afrykański jest głosem ubogich, prostych i małych. Ma za zadanie głosić Słowo Boże chrześcijanom z Zachodu, którzy ze względu na bogactwo wierzą, że są rozwinięci, nowocześni i mądrzy w rozumieniu mądrości tego świata. Ale »to, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi«.”

Odchudzanie zamiast Lego

Dwa leki na zwalczanie chorób cywilizacyjnych wywindowały nisзовą duńską spółkę Novo Nordisk na drugie miejsce w rankingu europejskich firm o największej kapitalizacji rynkowej i uczyniły z Danii państwo „farmaceutyczne”



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Zle się dzieje w państwie duńskim” – to drugi najsłynniejszy wers „Hamleta”, napisanej na przełomie XVI i XVII w. sztuki Williama Szekspira (po „Być albo nie być”). Tyle że dziś w państwie duńskim dzieje się dobrze, nawet bardzo. I to za sprawą milionów chorobliwie otyłych pacjentów oraz jednego koncernu farmaceutycznego, który sprawił, że kraj stał się trzecim pod względem zamożności w Unii Europejskiej.

W byłej wiosce rybackiej Kalundborg położonej na największej duńskiej wyspie Zelandii pośród gąszczy żurawi i chmur wzniesionego pyłu wyrasta nowy gigant: ogromna fabryka Novo Nordisk, jednego z największych na świecie producentów insuliny, a od 2012 r. dostawcy leków Ozempic i Wegovy. Tak popularnych, że popyt na nie przekracza możliwości produkcyjne duńskiego koncernu.

PONAD MILIARD OTYŁYCH

Są to leki na jedną z najpowszechniejszych chorób cywilizacyjnych: cukrzycę typu 2. A ponieważ przy okazji pozwalają szybko schudnąć, stały się pożądane wśród celebrytów i influencerów z TikToka oraz Instagrama. Zapanowała prawdziwa ozempicowa gorączka, która trwa do dziś.

Semaglutyd to organiczny związek chemiczny zawarty w Ozempicu, ana-



log ludzkiego glukagonopodobnego peptydu-1 (GLP-1). Hormon ten, wydzielany w jelicie cienkim, przyczepia się do receptorów w trzustce, które stymulują uwalnianie insuliny, co pomaga obniżyć poziom cukru we krwi, a przy okazji hamuje apetyt. Według Amerykańskiej Agencji Żywności i Leków jeden na ośmiu dorosłych w USA, gdzie panuje epidemia otyłości, co najmniej raz w życiu zażywał lek zawierający semaglutyd lub liraglutyd, który ma krótszy czas półtrwania, a 15 mln dorosłych zażywa je regularnie. Za jego pomocą schudły m.in. piosenkarka Kelly Clarkson, żona Ozzy’ego Osbourne’a Sharon i Adele, brytyjska wokalistka, która zrzuciła aż 45 kg i stała się twarzą Ozempicu. Ale prominentnych fanów leku jest coraz więcej. Do jego przyjmowania przyznają się m.in. Elon Musk,

Robbie Williams czy Tori Spelling. Kim Kardashian ogłosiła, że stosowała Ozempic, żeby zmieścić się w sukience Marilyn Monroe.

Sukces leków przeznaczonych do regulacji gospodarki insulinowej zaskoczył koncern Novo Nordisk, który w ub.r. stał się najcenniejszą spółką giełdową Europy – jego wartość rynkowa przekroczyła 500 mld dol. W zeszłym roku całkowita sprzedaż wzrosła o 36 proc., a w tym oczekuje się wzrostu o kolejne 26 proc. Inwestorzy patrzą jednak daleko poza 2024 r. W końcu na świecie jest ponad 1 mld osób otyłych, z których „mniej niż jeden procent” był dotąd leczony semaglutylem. Kalundborg, półtorej godziny drogi pociągiem z Kopenhagi, gdzie Novo Nordisk właśnie rozbudowuje swoją fabrykę, stał się nowoczesnym hubem farmaceutycz-

nym. Podobnie jak Moguncja w Niemczech, gdzie lokalna firma BioNtech odnotowała szybki rozwój dzięki szczepionce na COVID-19.

PRZEŚCIGNĄĆ LEGO

Jak pisze portal Politico, w ub.r. rosnące zyski firmy były powszechnie podawane jako powód, dla którego Dania uniknęła recesji i dlaczego stopy procentowe pozostały stosunkowo niskie, ułatwiając wielu Duńczykom spłatę kredytów hipotecznych.

Jednak w kraju liczącym mniej niż 6 mln mieszkańców nagły rozwój Novo Nordisk wzbudził także obawy przed nadmierną zależnością gospodarki od jednej firmy, na wzór Finlandii i Nokii. Ta niegdyś wiodąca na fińskim rynku spółka na przełomie wieków generowała 4 proc. fińskiego PKB, zanim niepowodzenie w przejściu na smartfony spowodowało gwałtowny spadek zysków. Na razie Dania dzięki Novo Nordisk przeżywa prawdziwy boom, który najbardziej widać w Kalundborgu. Jedna czwarta mieszkańców miasta jest zatrudniona przy produkcji leków, a jeszcze w br. ma do nich dołączyć kolejne 1,5 tys. Pozwoliło to na obniżenie podatków dochodowych w tym mieście, a firma planuje zainwestować kolejne 8 mld euro w produkcję. Idzie za tym zagraniczna ekspansja: powstaje fabryka w USA, w Clayton w Karolinie Północnej. Bo tam, za oceanem, jest ogromny rynek na semaglutyd i liraglutyd. 42 proc. Amerykanów jest chorośliwie otyłych, a 30,7 proc. ma nadwagę. To dziesiątki milionów potencjalnych klientów. Już teraz amerykański rynek odpowiada za trzy czwarte sprzedaży spółki. Eksperci spodziewają się, że Novo Nordisk może wkrótce prześcignąć nawet Lego jako największą markę w Danii.

PAŃSTWO FARMACEUTYCZNE

Większość z nas słyszała o petropaństwach – krajach, w gospodarce których dominuje wydobywcie paliw kopalnych. W tym duchu Danię można nazwać państwem farmaceutycznym. Jak twierdzi „The Financial Times”, prawie 1 na 5 miejsc pracy utworzonych w ub.r.

w Danii znajdowało się w Novo Nordisk. Jeśli uwzględnimy także miejsca pracy utworzone pośrednio – np. u dostawców lub w handlu, sklepach i restauracjach – prawie połowa wszystkich miejsc pracy w sektorze prywatnym poza rolnictwem utworzonych w Danii ma związek z boomem farmaceutycznym.

Koncern inwestuje także w rozwój nowych leków. Amykretyna, eksperymentalna pigułka odchudzająca, ma być jeszcze skuteczniejsza od Wegovy czy Ozempicu. W niedawnym badaniu Ifazy wykazano, że po 12 tygodniach spowodowała utratę masy ciała o 13,1 proc. w porównaniu z 6 proc. uzyskanym po przyjmowaniu zastrzyków z semaglutydem. Popytu na produkty Novo Nordisk nie była w stanie stłumić ani wysoka cena kuracji na amerykańskim rynku: ponad 1 tys. dol. miesięcznie (w Polsce to 350 zł), ani doniesienia o poważnych skutkach ubocznych u niektórych pacjentów, jak zapalenie trzustki, paraliż żołądka czy rak tarczycy. Żadnych zrzucenia zbędnych kilogramów nie odstraszyły też skargi prominentów na tzw. twarz ozempicową (ozempic face), czyli utratę tkanki tłuszczowej na twarzy, co może prowadzić do wiotczenia i obwisania skóry. Sharon Osbourne przyznała, że nie tylko ma ozempicową twarz, lecz także jej waga spadła poniżej zdrowego poziomu i nie może ona już przytyć, choć zaprzestała stosowania semaglutylu.

Oba leki stały się tak modne jako łatwy i szybki sposób na odchudzanie, że od 2022 r. brakuje ich w aptekach zarówno w Europie, jak i USA. Często nie są więc dostępne dla tych, którzy ich naprawdę potrzebują: chorych na cukrzycę i chorośliwie otyłych, dla których stanowią ratunek przed przedwczesną śmiercią.

JESZCZE SZYBCIEJ SCHUDNĄĆ

Konkurencja oczywiście nie śpi. Rynek na leki odchudzające nowego typu jak Ozempic jest wyceniany na 300 mld dol. i będzie rósł. Pojawiły się nawet opinie, że w sektorze farmaceutycznym będzie to największy sukces w historii. W 2022 r. amerykański koncern Eli Lilly wprowadził na rynek Mounjaro, którego aktywnym składnikiem jest

tirzepatid, aktywujący zarówno receptory GLP-1, jak i GIP, co pozwala szybciej chudnąć niż przy użyciu semaglutylu. Firma Amgen z Kalifornii ogłosiła obiecujące wyniki badania Ifazy dotyczące nowatorskiego leku odchudzającego, a niemiecki Boehringer Ingelheim opracowuje podobny lek we współpracy z duńską firmą biotechnologiczną Zealand Pharma. Firma ta od niemal 10 lat zajmuje się prawie wyłącznie leczeniem otyłości. Ich eksperymentalny lek pod nazwą survodutide działa poprzez aktywację nie jednego, a dwóch hormonów jelitowych: GLP-1 w celu zwiększenia apetytu i glukagonu w celu zwiększenia wydatku energetycznego ciała. Nad własnym preparatem pracuje także francuski koncern Sanofi. Oznacza to rekordowe wydatki na badania i rozwój. „W firmach jest dużo determinacji, także w naszej. Można powiedzieć, że pierwsza fala jest ich, ale czyja będzie druga fala?” – pytał w rozmowie z mediami Paul Hudson, dyrektor generalny Sanofi.

Tyle że co najmniej w UE firmom może pokrzyżować szyki Komisja Europejska. Zgodnie z proponowanymi przez KE nowymi regulacjami farmaceutycznymi producenci będą zobowiązani do wprowadzenia na rynek nowych leków we wszystkich 27 krajach Unii w ciągu dwóch lat lub otrzymają jedynie 8, a nie 10 lat cennej wyłączności, zanim staną przed wyzwaniem konkurencji ze strony producentów leków generycznych. Bruksela argumentuje, że nowe przepisy obniżą ceny leków i sprawią, że będą one bardziej dostępne.

Zdaniem dyrektora generalnego Novo Nordisk, byłoby to jednoznaczne z utratą innowacji. „Europa traci udział w rynku badań i innowacji. Większość naszych badań przeprowadzamy już teraz w laboratorium w Bostonie. Zwiększamy swoją ekspansję w USA, jeśli te nowe regulacje zostaną wprowadzone” – powiedział w rozmowie z „Financial Times” Lars Fruergaard Jørgensen. Według Europejskiej Federacji Przemysłu i Stowarzyszeń Farmaceutycznych w 2010 r. Stany Zjednoczone przyciągnęły o jedną trzecią więcej inwestycji w badania i rozwój niż Europa. 10 lat później różnica ta wynosiła ponad dwie trzecie.

Putin „przygląda się” Bałtykowi



MAREK BUDZISZ

W październiku 2023 r. zarejestrowany w Hong-Kongu rosyjski frachtowiec *New Polar Bear*, który wypłynął z portu w Królewcu i zmierzał do Petersburga, wykonał dziwny manewr. Dziennikarze „Süddeutsche Zeitung” uczestniczący w międzynarodowym śledztwie napisali, że o „1:21 w nocy frachtowiec, który płynął z prędkością jedenastu węzłów, gwałtownie zwolnił, by kilka minut później ponownie przyspieszyć do 11,6 węzła”. To niecodzienne zachowanie miało miejsce, kiedy statek mijał gazociąg Baltic connector łączący Estonię z Finlandią. Następnego dnia rano obsługa techniczna firmy Gasgrid Finland odpowiadająca za funkcjonowanie instalacji zaobserwowała gwałtowny spadek ciśnienia w wyniku uszkodzenia powłoki ochronnej i rozszczelnienia rurociągu. Śledztwo w tej sprawie trwa do dziś, ale w opinii dziennikarzy uczestniczących w międzynarodowym dochodzeniu związek tego, co się wydarzyło z rejsem rosyjskiego

statku nie jest kwestią przypadku. Wyjaśnienia Chińczyków, którzy mówią o wypadku i przypadkowym uszkodzeniu gazociągu w wyniku „urwania” się kotwicy w sztormowych warunkach nie brzmia przekonująco. Stefan Krüger, profesor budowy statków na Politechnice w Hamburgu, uważa, że z czysto technicznego punktu widzenia „całkowicie niemożliwe” jest przypadkowe i niezauważone rzucenie kotwicy. Podobnie sądzi były właściciel jednostki, opisując skomplikowaną i wielostopniową procedurę jej opuszczania. Uwagę dziennikarzy opisujących to, co się stało, wzbudził również fakt, że kilka dni przed uszkodzeniem gazociągu w wyniku „zgubienia kotwicy” w rejonie krążył rosyjski statek badawczy Sybiriakow, tak jakby badając teren, przygotowywał całą operację. Hanno Pevkur, estoński minister obrony, powiedział w związku z tym, iż „trudno uwierzyć, że to był tylko wypadek”, a Christoph de Vries, poseł do Bundestagu z ramienia CDU zasiadający w komisji nadzorującej służby specjalne, jest zdania, że „mieliśmy do czynienia ze wspólną rosyjsko-chińską akcją sabotażową”.

Bruno Kahl, kierujący niemieckim wywiadem, jest z kolei przekonany, że rosyjskie akcje sabotażowe i dywersyjne na Bałtyku będą się nasilały, a Alexander Stubb, prezydent Finlandii, uważa, iż Rosja toczy obecnie dwie wojny – jedną

gorącą na Ukrainie i drugą asymetryczną z resztą świata, przede wszystkim z państwami NATO.

Teatrem tych działań jest cały glob, ale w szczególności obszary takie jak Bałtyk czy Ocean Lodowaty i Morze Północne. Zasadniczym pytaniem jest to, czy w obecnej fazie wojny na Ukrainie Rosja może intensyfikować swe działania dywersyjne na Bałtyku, a nawet rozpocząć otwartą agresję. Nie jest to wykluczone, tym bardziej że z Kremla dochodzą informacje, w świetle których Putin i jego otoczenie szukają nowych argumentów mających przekonać Zachód, że Rosja „nie żartuje”, jej „czerwone linie” są realne i należy traktować je poważnie.

GROŹBY KREMLA

Na razie Moskale nadal używają tradycyjnej argumentacji, grożąc eskalacją i użyciem posiadanej broni przeciw Zachodowi. Putin oświadczył niedawno, że zgoda Waszyngtonu na atakowanie przez Ukraińców celów w głębi Rosji przy użyciu amerykańskich rakiet „oznacza wojnę z NATO”, a jeszcze dalej poszedł Władimir Włodin. „Dla waszej informacji – powiedział stojący na czele Dumy Państwowej rosyjski polityk – czas jaki jest potrzebny, aby rakietą Sarmata doleciała do siedziby Parlamentu Europejskiego w Strasburgu wynosi 3 min



Rosyjskie akcje sabotażowe i dywersyjne na Bałtyku będą się nasilały. Prezydent Finlandii uważa, że Kreml toczy obecnie dwie wojny – jedną gorącą na Ukrainie i drugą asymetryczną z resztą świata, przede wszystkim z państwami NATO. A Bałtyk jest dla Moskali atrakcyjnym akwenem, bo Sojusz nie ma tu przewagi militarnej

i 40 sek.”. W ten sposób Wołodin, wchodzący również w skład Rady Bezpieczeństwa, próbował przekonać zachodnie społeczeństwa i polityków, że Kreml nie żartuje i jeśli Zachód nie zmieni swej polityki, musi się liczyć z odwetem rakietowym. Jednak niedawna nieudana próba z rakieta międzykontynentalną Sarmata, która wybuchła w momencie startu w podziemnym silosie na poligonie w Plesiecku nieopodal Archangielska, podważa wiarygodność rosyjskich pogroźek. Zdaniem zachodnich ekspertów, którzy analizowali zdjęcia satelitarne, eksplozja potwierdza teorię, według której rosyjski sektor raketowy w związku z sankcjami jest w gorszej niż przed wojną kondycji i skuteczność ewentualnego uderzenia raketowego może być mniejsza, niż zakładano do tej pory.

ROSYJSKIE SCENARIUSZE WOJNY

W tej sytuacji trzeba szukać innych środków zastraszania i Rosja to robi, coraz częściej niż w przeszłości naruszając przestrzeń powietrzną krajów NATO. Rosyjskie drony spadły niedawno w Rumunii i na Łotwie, a myśliwce regularnie prowadzą prowokacyjne loty nad Bałtykiem. „Doszło do przesytu groźbami nuklearnymi” – powiedział anonimowy rosyjski urzędnik dziennikarzom

„Washington Post”. „Istnieje już odporność na takie oświadczenia i nikogo one nie przerażają” – dodał. Jego słowa potwierdzają niedawne wypowiedzi Jensa Stoltenberga, byłego sekretarza generalnego NATO, który w wywiadzie dla „The Times” mówił o „ciągłych blefach” Putina grożącego swym potencjałem jądrowym, a także deklaracje Mette Frederiksen, premier Danii, która przemawiając w ONZ zaapelowała: „Przestańmy ciągle mówić o czerwonych liniach”.

Siergiej Markow, analityk polityczny związany z Kreml, powiedział dziennikarzom, że w związku z takimi reakcjami przywódców Zachodu w dowództwie rosyjskiej armii narasta świadomość, iż „zbyt często mówiliśmy o czerwonych liniach, ale nic nie zrobiliśmy. W pewnym momencie będziemy musieli eskalować”. Pytanie tylko, kiedy i w jaki sposób.

Jedna z teorii mówi, że Rosjanie zdecydowali się na posunięcia eskalacyjne jeszcze przed amerykańskimi wyborami prezydenckimi. Ryzyko wojny globalnej wówczas wzrosło, więc amerykańscy wyborcy wystraszą się takiej perspektywy i mogą w efekcie oddać głos na prezydenta zapowiadającego zakończenie wojny na Ukrainie, czyli na Trumpa. Tego rodzaju kalkulacje potwierdzają ostatnie słowa republikańskiego pretendenta, który przemawiając w Savannah w Georgii, powiedział, że Biden i Harris

„wpakowali nas w tę wojnę” i nie mają pomysłu, jak „wyciągnąć” Stany Zjednoczone z konfliktu, w którym szanse na odniesienie zwycięstwa są niewielkie, a znacznie bardziej prawdopodobna jest eskalacja. Były prezydent kandydujący w listopadowych wyborach jest przekonany, że Rosja nie może przegrać starcia na Ukrainie, a Ameryce grozi wciągnięcie do konfliktu, jeśli Waszyngton szybko nie doprowadzi do rozmów pokojowych.

Inna teoria głosi, że Rosjanie, którzy zwiększyli presję na froncie, będą chcieli poczekać z pokazem znaczących efektów swoich działań. Już niedługo może się okazać, że perspektywa osiągnięcia granicy administracyjnej obwodu donieckiego nie jest odległa. Rosyjskie siły okrążają strategiczne miasto Wuhłedar, ukraińskie oddziały, chcąc uniknąć kotła, najprawdopodobniej wycofają się w najbliższym czasie. Zdaniem wojskowych komentatorów Pokrowski, inny istotny punkt na mapie obrony, wkrótce może podzielić los Bachmutu, zdobytego przez Moskali wiosną po długotrwałych walkach. Na północ od tych miast praktycznie brakuje ukraińskich linii obrony, co oznacza, że Putin może być blisko osiągnięcia jednego ze swych celów wojennych nawet przed końcem roku.

Co dalej? Wówczas Rosjanie, przekonani o tym, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, mogą chcieć pokazać Zachodowi, iż

są zdolni do eskalacji, po to, aby wymusić pokój w własnych, a nie narzuconych im warunkach. Byłoby to zastosowanie strategii „eskalacji celem deeskalacji”, o której od lat mówi się w amerykańskich kręgach wojskowych. Rosjanie niekoniecznie muszą się odwoływać do swego potencjału nuklearnego, wystarczy sygnalizowanie gotowości do wojny z NATO, do czego za wszelką cenę nie chce dopuścić ekipa Bidena, deklarująca „no boots on the ground” i prowadząca przez ostatnie 2,5 roku politykę, której celem jest uniknięcie ryzyka wciągnięcia do konfliktu.

Drugie pytanie dotyczy tego, gdzie Rosjanie mogą eskalować, jeśli zdecydują się na taką strategię. W grę wchodzi dwie opcje. Mówi się o dalekiej Północy i Morzu Bałtyckim. Fińscy eksperci wojskowi są zdania, że możemy mieć wręcz do czynienia z intensyfikacją rosyjskich operacji na obydwu tych akwenach. Za pierwszą opcją, czyli zaostrzeniem sytuacji wokół Spitsbergenu i na dalekiej Północy przemawia kilka argumentów. O słabo zaludnione, pokryte wieczną zmarzliną obszary, w tym wyspy na Oceanie Lodowatym, nikt nie będzie wszczynał III wojny światowej – tak mogą myśleć rosyjscy strategowie.

ESKALACJA BLISKO NASZYCH GRANIC

Argumentów przemawiających za ewentualną eskalacją na Bałtyku też jest niemało. Kilkanaście dni temu podczas spotkania z przedstawicielami zarządzającymi rosyjskimi prowincjami Putin zwrócił się wprost do Aleksieja Biesprozwanyncha, nowego gubernatora obwodu królewieckiego, mówiąc, że „zrobi on wszystko”, aby mieszkańcy tej rosyjskiej enklawy nie podlegali ograniczeniom i mogli „swobodnie poruszać się po kraju”. Obecnie Królewiec jest izolowany w związku z obowiązującymi sankcjami, ale słowa Putina zdają się świadczyć o tym, że Moskwa zamierza zmienić ten stan rzeczy. W jaki sposób? W przeszłości Rosjanie domagali się eksterytorialnego korytarza transportowego z Królewca przez Litwę na Białoruś, a także wyrażali sprzeciw wobec ograniczeń w lotach samolotów pasażerskich, które w związku z sankcjami muszą nad-

rabiać drogi, lecąc do Rosji. Kilka tygodni temu rosyjskie siły zbrojne złożyły w Dumie projekt ustawy zmieniającej granice rosyjskiej wyłącznej strefy ekonomicznej, znacznie ograniczając przebieg tras żeglugowych do litewskiego portu w Kłajpedzie. Wcześniej przedstawiciele FSB usunęli boje na granicy z Estonią. Te wszystkie z pozoru niewinnie wyglądające działania w ramach rosyjskiej sygnalizacji strategicznej oznaczają, że Kreml myśli o zmianie przebiegu granic albo naruszeniu suwerenności terytorialnej sąsiadów należących do NATO.

Z punktu widzenia Rosjan Bałtyk jest też akwenem, na którym łatwiej im działać. W przeciwieństwie do Oceanu Lodowatego i Morza Północnego, gdzie operują amerykańskie i brytyjskie okręty, w tym podwodne o napędzie atomowym, nasze morze jest dla Anglosasów zbyt płytkie i małe. W praktyce oznacza to, że NATO nie ma strategii dominacji na Bałtyku i w razie zaostrzenia sytuacji zapewnienie bezpieczeństwa żeglугi będzie głównym zadaniem państw mających dostęp do tego akwenu. Gdyby brać pod uwagę parytet sił, to obecnie zdolności Rosji i wszystkich państw Sojuszu Północnoatlantyckiego na Bałtyku są wyrównane, co skłania wielu ekspertów strategicznych do mówienia o równowadze sił, a nie o tym, o czym media piszą od pewnego czasu, czyli przekształceniu tego akwenu w „NATO-wskie jezioro”.

Jeśli starcie wojskowe jest mniej prawdopodobne ze względu na brak jednoznacznego kandydata na zwycięzcę, to rośnie znaczenie środków asymetrycznych, poniżej progu wojny, których aplikacja pozwoliłaby Rosjanom osiągnąć ich cele polityczne. W tym obszarze Kreml ma możliwość wykorzystywania bardzo wielu środków oddziaływania. Chodzi nie tylko o dywersję wymierzoną w infrastrukturę podmorską, lecz także budowanie poczucia zagrożenia przy użyciu pozornie „niewinnych” środków.

Europejska prasa relacjonuje właśnie epopeję frachtowca Ruby, którego ładownie są wypełnione 20 tys. t saletry, nawozu mineralnego, który jest silnie wybuchowy. Przed kilkoma laty eksplozja magazynów wypełnionych saletrą w Libanie zniszczyła część Bejrutu i tego rodzaju wizja ożywia wyobraźnię dziennikarzy. Komentator niemieckiego

„Die Welt” napisał, że nie jest zapewne kwestią przypadku, iż rosyjska załoga tego statku zgłasza problemy techniczne i domaga się zgody na zawinięcie do portów, kiedy mijają ważne bazy NATO rozlokowane w pobliżu.

Inną opcją jest zagłuszanie przez Rosjan sygnałów GPS, co zresztą już ma miejsce od początku tego roku. W efekcie statki państw NATO będą działać w trudniejszych warunkach, wzrośnie ryzyko kolizji, a intensywność żeglугi zapewne ulegnie zmniejszeniu. Rosjanie powołali nawet specjalną agendę rządową, której statki w ostatnich miesiącach intensywnie mapują Bałtyk, czyli zbierają dane na temat ukształtowania dna morskiego. Zdaniem specjalistów na tej podstawie zbudują oni mapy topograficzne umożliwiające im żeglugę po tym akwenu nawet bez sygnałów GPS. Pozbawione takich danych statki i okręty państw NATO będą miały znacznie większe problemy z nawigacją w momencie „wyłączenia” sygnałów radiolokacyjnych.

Ale to nie koniec ewentualnych wyzwań. Paul Goble z The Jamestown Foundation, amerykańskiego think tanku strategicznego, zwrócił uwagę na zmieniający się w rosyjskich mediach ton dyskursu na temat Gotlandii. Panowanie nad tą wyspą ze względu na ukształtowanie dna i przebieg tras żeglugowych na Bałtyku oznacza kontrolę nad ruchem statków i okrętów. Zanim Szwecja przystąpiła do NATO, pogrożki formułowane przez przedstawicieli Moskwy miały na celu zablokowanie czy choćby odwołanie decyzji Sztokholmu o remilitaryzacji wyspy. Teraz celem Moskwy jest doprowadzenie do sytuacji, aby znajdujący się tam kontyngent był możliwie słaby. W czasie zimnej wojny Szwedzi utrzymywali na wyspie siły liczące 25 tys. żołnierzy, ale obecnie jest tam ich raptem kilkuset, na dodatek słabo uzbrojonych. Zdaniem szwedzkiej prasy Rosjanie prowadzą podejrzaną „badania naukowe” wokół tej strategicznie istotnej wyspy, a zdaniem Micaela Bydén, dowodzącego szwedzkimi siłami zbrojnymi, „Putin uważnie przygląda się” Gotlandii. Czy Moskale coś planują? Dziś trudno to przesądzić, ale z pewnością dążą do sytuacji, w której, jeśli zaczną jakąś wrogą akcję, od początku będą mieli przewagę. 

O gen. Franco i jego stosunku do okupantów Polski



Franco i jego reżim byli przeciwni inwazji Niemiec na Polskę, uznawali polski rząd na uchodźstwie, a Hiszpania przyjęła setki Polaków uciekających z okupowanej Europy. Hiszpanie dowiedzieli się o cierpieniach Polaków i Żydów z artykułów dziennikarki Sofii Casanovy, chronionej przez samego Franco

Z *Pedrem Fernándezem Barbadillem*, hiszpańskim dziennikarzem i pisarzem, autorem wielu książek z zakresu historii, w tym m.in. „Franco wiecznie żywy”, rozmawia Małgorzata Wołczyk

Dlaczego jeden z rozdziałów pańskiej biografii gen. Franco nosi tytuł „Pochowajmy Franco raz na zawsze!”?

Pedro Fernández Barbadil: Hiszpańska lewica uczyniła z II Republiki, wojny domowej i frankizmu główne źródło legitymizacji politycznej. Chcąc ukryć swój despotyzm i korupcję oraz zobowiązania wobec wrogów Hiszpanii (np. króla Maroka), socjaliści kreują się na obrońców demokracji przed rzekomo zgubnymi dla kraju rządami prawicy. W tym sensie potrzebują „utrzymać” Franco przy

Gen. Francisco Franco

życiu w kinie, nauczaniu, polityce, pisanej na nowo historii. W obawie przed karą wydawcy nie odważają się publikować książek sprzecznych z narracją lewicy. Hiszpania Franco, która zniknęła prawie 50 lat temu i ustąpiła miejsca demokracji, powinna być swobodnie badana przez historyków. Dlatego trzeba wreszcie pochwycić gen. Franco.



Pedro Fernández Barbadil

W polskim mainstreamie gen. Franco nadal reprezentuje faszyzm. Jakie argumenty pozwalają raz na zawsze obalić to kłamstwo?

Dwa oczywiste argumenty dla każdego, kto choć trochę zna historię Hiszpanii: Franco nie brał udziału w II wojnie światowej po stronie państw ośi, i to pomimo gróźb nazistów. Ponadto jako swojego następcę pozostawił nie człowieka z partii, ale księcia Hiszpanii z dynastii Burbonów.

Franco jest jednak przedstawiany jako cichy sojusznik Hitlera. Jak wiemy, Niemcy pomogły stronie narodowej i trzeba się było za to odwdziaczyć.

Jeżeli Franco był sojusznikiem Hitlera, to dlaczego nie przyłączył się do wojny w momencie, gdy wydawało się, że Niemcy ją wygrają, tak jak zrobił to Mussolini? Generał nie pozwolił Niemcom i Włochom narzucać swojej polityki nawet podczas wojny domowej w przeciwieństwie do podporządkowanego Stalinowi rządu socjalistycznego Negrína stojącego na czele II Republiki. Komunistka Dolores Ibárruri („La Pasionaria”) opublikowała artykuł w 1940 r., celebrując okupację wschodniej Polski przez Armię Czerwoną i widząc w tej napaści wyzwolenie. Nawiąsem mówiąc, ta wciąż istniejąca Partia Komunistyczna Hiszpanii (PCE) współtworzy dziś rząd Pedra Sáncheza. Wreszcie Franco uratował tysiące Żydów przed zagładą. Zachowanie hiszpańskiego generała bardzo niepokoiło nazistów, doskonale znamy zapis obelg kierowanych przez Hitlera, Himmlera i innych przywódców hitlerowskich pod jego adresem.

Jaki stosunek miał Franco do ataku hitlerowskich Niemiec na Polskę?

Franco i jego reżim byli przeciwni inwazji Niemiec na Polskę, uznawali polski rząd na uchodźstwie, a Hiszpania przyjęła setki Polaków uciekających z okupowanej Europy. Hiszpanie dowiedzieli się o cierpieniach Polaków i Żydów z artykułów dziennikarki Sofii Casanovy, chronionej przez samego Franco. Zrujnowana Hiszpania nie mogła zrobić dla was nic więcej, ale Franco nie obraził Polaków, którzy walczyli z Niemcami, tak jak zrobił to brytyjski premier, socjalista Clement Attlee, wykluczając ich z parady zwycięstwa w 1946 r.

Jak gen. Franco przyjął wiadomość o pakcie Ribbentrop–Mołotow?

Wprawilo go to w osłupienie, podobnie jak resztę rządu. Niemiecka agresja na Polskę bardzo go niepokoiła, depeche ambasadorów wskazywały na zamieszanie w odbiorze wśród głównych mocarstw europejskich. 5 września 1939 r. oficjalna hiszpańska gazeta opublikowała dekret z podpisem generała, w którym nakazał obywatelom „zachować jak najściślejszą neutralność”. Wkroczenie Armii Czerwonej do wschodniej Polski 17 września doprowadziło go do wniosku, że głównym zwycięzcą nowej wojny może zostać Stalin. Miał rację. W kolejnych miesiącach próbował utworzyć blok narodów neutralnych, który miałby osiągnąć pokój między aliantami a Niemcami.

No dobrze, wszystko pięknie, ale jak gen. Franco odwdziaczył się Niemcom za ich pomoc w wojnie domowej?

Analizując postępowanie Franco podczas II wojny światowej, powinniśmy pamiętać, że znamy już wynik i mo-

żemy grać fotelowych strategów. Klęska Francji w ciągu sześciu tygodni sprawiła, że wielu myślało, i to od Moskwy po Londyn, że wojna zostanie rozstrzygnięta przez Niemcy. Aż do lata 1943 r. [bitwa pod Kurskiem, lądowanie na Sycylii, upadek Mussoliniego] sytuacja nie odwróciła się na korzyść aliantów. Rząd hiszpański, podobnie jak szwedzki i szwajcarski, musiał manewrować między zagrożeniem z obu stron i przez

pierwszą część wojny uśmiechać się do Berlina.

Reżim Franco sprzedawał III Rzeszy wolfram (podobnie jak Portugalia) i umożliwił niezbędne dostawy paliwa oraz zaopatrzenia dla niemieckich i włoskich łodzi podwodnych na wybrzeżach. Zachęcał także Hiszpanię do udziału w „antysowieckiej krucjacie”, kiedy Niemcy rozpoczęły operację „Barbarossa”. Zwerbowano dywizję ochotników, która walczyła wokół Leningradu, będąc częścią Heer, a nie Waffen-SS. Przez Błękitną Dywizję przeszło ok. 45 tys. Hiszpanów walczących przeciw Sowietom. Bez wątpienia była to największa pomoc Franco dla Niemiec.

W polskiej prasie mainstreamowej wciąż powraca narracja, że Front Ludowy walczył z faszystami (falangistami) oczarowanymi faszyzmem w wydaniu włoskim lub niemieckim. Jak odeprzeć taką propagandę?

Zryw narodowy w 1936 r. nie miał na celu ustanowienia reżimu faszystowskiego, ale obalenie lewicowego rządu dążącego do całkowitego wyeliminowania opozycji za pomocą nowego prawa (areszty dla więźniów politycznych i zamknięcie prawicowych gazet) lub za pomocą mordów politycznych (tak było w przypadku monarchisty José Calva Sotela). Partie Frontu Ludowego chciały narzucić dyktaturę, choć każda z nich miała inną wizję Hiszpanii. Hiszpańska partia faszystowska, czyli Falanga, nie miała ani jednego przedstawiciela w wyborach w roku wybuchu wojny domowej, a jej wyborcy liczyli ok. 50 tys. osób. Faszysty z Christus Rex w Belgii i Żelazna Gwardia w Rumunii mieli więcej zwolenników niż Falanga.

W czasie wojny Falanga utraciła przywódców, bo albo polegli w walce, albo zostali zabici. Rosła liczebnie dzięki wsparciu utrzymanemu od rządu Franco. Jej ideologia i mistyka stały się bardzo atrakcyjne dla żołnierzy i młodych ludzi: propozycja nacjonalizacji banków aż po śpiewanie hymnu była kusząca. Ale zanim skończył się pierwszy rok wojny, Franco zjednoczył ją z innymi partiami, takimi jak chrześcijańscy demokraci i karliści (legitymiści). Na czele tej jedynej partii – FET de las JONS postawiono jego: monarchistę, katolika i żołnierza. Owszem, Franco cenił Mussoliniego i szanował Hitlera (nie zapominajmy, że był 1936 r.), bo żaden z nich nie prowadził polityki sprzecznej z interesami Hiszpanii. Franco ogłosił neutralność już podczas kryzysu sudeckiego (1938 r.) na wypadek wybuchu wojny europejskiej, co wywołało ogromny gniew w Rzymie i Berlinie.

W polskiej prasie głównego nurtu wciąż powraca motyw o „skradzionych dziesiątkach tysięcy dzieci republikańców”. Jak było naprawdę?

Najważniejsze jest to, że ich nie było. Po prostu. Gdyby to była prawda, to po pierwszych wyborach demokratycznych (1977 r.) lub po dojściu do władzy partii socjalistycznej (1982 r.) pojawiliby się ludzie podający się za „ukradzione dzieci”. Tymczasem jest to kłamstwo wprowadzone w życie na początku tego stulecia mające na celu tropienie przestępstwa (choćby nieistniejącego), a nieobjętego amnestią z 1977 r. W ten sposób nadal można się znęcać moralnie i sądownie nad reżimem Franco i nielicznymi z ocalałych. Lewicowy sędzia Baltasar Garzón, później wydany ze stanu sędziowskiego za kłamstwa zgodnie z orzeczeniem Sądu Najwyższego, skopiował ten pomysł z prawdziwych zająz w Argentynie, gdzie terrorystom lub podejrzanym kradziono dzieci. W 2012 r. rząd Partii Ludowej nakazał prokuratorom wojewódzkim zbadać skargi, w wyniku czego nie wykryto żadnej siatki składającej się z urzędników, lekarzy

i zakonnic rzekomo zajmujących się kradzieżami dzieci.

Nasza lewicowa prasa z „Gazetą Wyborczą” na czele wciąż opisuje dramat tych kobiet.

Tym fałszerstwem wywołano histerię wśród wielu kobiet, których dzieci zmarły przy porodzie. Jedyne wyroki skazujące zostały wydane przeciwko lekarzowi, doktorowi Eduardowi Veli, pozwanemu przez Inés Madrigal, która twierdziła, że została skradziona matka. W następnym roku Madrigal odnalazła swoją biologiczną rodzinę, a rodzeństwo powiedziało jej, że matka dobrowolnie oddała ją do adopcji. Owszem, zdarzały się adopcje nieregularne, bo

Hiszpańska lewica uczyniła z II Republiki, wojny domowej i frankizmu główne źródło legitymizacji politycznej. W tym sensie potrzebują „utrzymać” Franco przy życiu w kinie, nauczaniu, polityce, w pisanej na nowo historii

czasem kobiety porzucały swoje dzieci lub nie mogły ich wykarmić, były samotne lub nieletnie. Wtedy dzieci były oddawane małżeństwom, odbywało się to bez koniecznych dokumentów i przebywania w sierocińcu. Obecnie jest to niemożliwe ze względu na ustalone procedury. Podobnie jak w innych sprawach nowej, lewicowej „pamięci historycznej” chodzi tu o kryminalizację frankizmu oraz o pozyskiwanie pieniędzy na seriale telewizyjne, książki czy stowarzyszenia, które wciąż pielegnują te urazy do poprzedniej epoki.

Mówią, że generał był człowiekiem autentycznej modlitwy i wiary. Dla czego nie mógł liczyć na lepsze relacje z Watykanem?

Franco był wiernym wyznawcą, który starał się, aby katolicyzm przeniknął całe państwo i ustawodawstwo. Reżim wyznaniowy i zakaz masonerii to główne powody, dla których stworzono jego czarną legendę. Jan XXIII, który wsparł budowę Doliny Poległych i podarował opactwu fragment *lignum crucis*, tak o nim mówił: „Ustanawia katolickie prawa, pomaga Kościołowi, jest dobrym katolikiem... Cóż więcej chcieć?”. Jako głowa państwa Franco miał do czynienia z czterema papieżami (Piusem XI, Piusem XII, Janem XXIII i Pawłem VI), w przeciwieństwie do Izabeli i Ferdynanda, królów katolickich i monarchów dynastii Habsburgów, był im posłuszny i szanował każdego z nich. W tym sensie Franco był klerykałem: to, co powiedział papież, trzeba było wykonać. Generał był bardzo zawiedziony, że hierarchia Kościoła po soborze watykańskim II zdecydowała się wspierać demontaż systemu narodowo-katolickiego w Hiszpanii. A trzeba jeszcze wspomnieć o niewdzięczności, bo Franco uratował katolików przed zagładą, czego dowodem jest ponad 2 tys. beatyfikowanych męczenników z czasu wojny domowej.

Jakie zasługi Francisca Franco dla Europy zostały zapomniane lub przeoczone?

Franco ocalił Hiszpanię przed zniszczeniem w czasie II wojny światowej. Zachowując neutralność, pomógł aliantom zwyciężyć państwa osi, ponieważ, jak przyznał Winston Churchill, utrzymywał Cieśninę Gibraltarską otwartą. Nakazał swoim dyplomatom chronić dziesiątki tysięcy Żydów pochodzenia sefardyjskiego (ponad 40 tys.) na terenach okupowanych, zapobiegając w ten sposób ich wywózkom. Rozwinął kraj i stworzył ogromną klasę średnią, która obecnie kurczy się z powodu podatków, strefy euro i deindustrializacji, której domagała się Bruksela. Współpracował z USA w walce przeciw ZSRR w czasie zimnej wojny. Przyjął tysiące wygnańców uciekających z Europy Środkowej i Wschodniej oddanej pod władzę Moskwy.

Kilka uwag o nowej prawicy



JAN ROKITA

Partie nowej prawicy nie są ani rewolucyjne, ani antysystemowe. Przeciwnie, w dzisiejszych warunkach z determinacją bronią one najbardziej klasycznych wartości liberalnego porządku: wolności słowa, politycznej różnorodności, swobód akademickich i tolerancji religijnej

Wielkie przeobrażenie, jakie na naszych oczach przechodzi europejska i amerykańska prawica, dziś jest już oczywistością. Stare partie polityczne, które od czasu II wojny światowej grały pierwsze skrzypce po obu stronach Atlantyku, są zmęczone i wyczerpane. Jakiś czas temu porzuciły swoje dawniejsze ideały, zlewając się ideowo z najrozmaitszymi odmianami liberałów i lewicy, niczym potoki spływające do szeroko rozlewającej się rzeki, nie przez przypadek zwanej dziś głównym nurtem zachodniej polityki. Starzy konserwatyści nie chcą już konserwować niczego z przeszłości, starzy chrześcijańscy demokraci wzięli światopoglądowy rozbrat z chrześcijaństwem, a starzy ludowcy przywykli ignorować autentyczne obawy ludu.

PROCES ZASTĘPOWANIA

Kolejnych świadectw tego ideowego marazmu starej prawicy dostarcza niemal każdy tydzień. Właśnie czytam, że oto uważana do niedawna za twardo pravicową Austriacka Partia Ludowa przeprowadziła w parlamencie wiedeńskim prawo o likwidacji pojęć „mężczyzna” i „kobieta” w całym austriackim porządku prawnym.

Głównym nurtem płynie dziś większość wyczerpanych ideowo partii starej zachodniej prawicy, nie dając nadziei tym, którzy są przekonani, iż to właśnie prawica winna dysponować nowymi

i wyrazistymi odpowiedziami na kryzys, w jakim pogrążają się zachodnia polityka i społeczeństwo.

Właśnie stąd bierze się proces, który należałoby nazwać „zastępowaniem prawicy”. Polega on po prostu na tym, że wyczerpaną starą prawicę zastępuje nowa – ideotwórcza, dynamiczna i dążąca do wywrócenia *status quo* zachodniej polityki. Jeśli spojrzeć na historię, to widać, że ten proces ma swoje precedensy. Po koniec XIX w. w całej Europie gasły właśnie niegdyś potężne, ale już zmęczone partie konserwatywnej prawicy, przez całe stulecie broniącej ancien régime'u, ustanowionego jeszcze na kongresie wiedeńskim. Ale „dawny reżim” sypał się coraz wyraźniej, a wraz z nim traciła rację bytu konserwatywna prawica, stanowiąca jego polityczną ostoję. W to miejsce gwałtownie wyrosła nowa prawica nacjonalistyczna, która w Europie miała dominować w epoce dwóch wojen światowych. W Polsce owocem tamtego procesu „zastępowania prawicy” stała się długo trwająca polityczna potęga endecji pod przywództwem Romana Dmowskiego.

Współczesna nowa prawica sama siebie nazwała „alt-prawicą”, czyli prawicą alternatywną, a z Ameryki ta nazwa przywędrowała także do Europy. Jakiś czas temu, kiedy proces „zastępowania” był jeszcze w powijakach, to określenie mogło się wydawać zasadne. Sygnalizowało ono, iż chodzi o alternatywę dla starej prawicy, która ciągle dominowała

Szczyt europejskich partii konserwatywnych i pravicowych w Madrycie w 2022 r.



FOT. VOX

na demokratycznym rynku. Dziś jednak określenie „alt-prawica” jest anachronizmem, gdyż na dobrą sprawę innej prawicy już nie ma.

Nie tak dawno wyliczono (zrobił to Kacper Kita, autor ciekawych książek na temat prawicy), że w ciągu ostatniej dekady liczebność reprezentacji parlamentarnych partii nowej prawicy w czterech dużych krajach demokratycznych – Hiszpanii, Francji, Niemczech i Włoszech – urosła 14-krotnie. W USA nowa prawica przejęła Partię Republikańską. W takich krajach jak Francja, Polska czy Włochy stare formacje chadeckie, konserwatywne i ludowe zostały zepchnięte przez nową prawicę z centrum sceny albo się rozpadły. W Anglii trwa bitwa o ideowy

kształt partii torysów, pogrążonej w przewlekłym wewnętrznym zamęcie.

Szczególnym przypadkiem są Niemcy, gdzie historyczna chadecja – partia o tradycji sięgającej katolickiego Centrum z XIX w. – próbuje nie poddać się procesowi „zastępowania”. I z jednej strony stara się dostosować do oczekiwań współczesnych prawicowych wyborców, przejmując program oraz hasła nowej AfD (sprzeciw wobec imigracji, opór wobec polityki klimatycznej itp.), z drugiej zaś jest motorem ogólnoniemieckiej kampanii wymuszającej polityczną izolację i państwowe represje wobec osiagającej coraz lepsze wyniki wyborcze nowej prawicy. Ta dwutorowa strategia sprawia, że CDU/CSU jest bodaj ostatnią wielką partią europejskiej starej prawicy,

która dominuje na niemieckiej scenie i ma wszelkie szanse na rychłe zdobycie władzy. Jej siłą jest to, że idee odrodzenia słabnącej więzi narodowej i narodowej dumy, tak typowe dla wszystkich partii nowej prawicy, w warunkach niemieckich nadal brzmią ryzykownie wobec nie tak odległego historycznie dziedzictwa nazizmu. A za hasło: „Wszystko dla Niemiec”, najzupełniej normalne w wariancie polskim czy francuskim, w Berlinie można zostać skazanym pod zarzutem propagandy nazistowskiej.

POWSTRZYMAĆ REWOLTE

Wbrew temu, co milion razy powtarza „głównonurtowa” propaganda, partie nowej prawicy nie są ani rewolucyjne,



ani antysystemowe. Przeciwnie, w dzisiejszych warunkach z determinacją bronią one najbardziej klasycznych wartości liberalnego porządku: wolności słowa, politycznej różnorodności, swobód akademickich i tolerancji religijnej. A czynią to z tym większym przekonaniem, że ich działacze i zwolennicy coraz częściej padają ofiarami cenzury i nietolerancji, zaś one same są otaczane „kordonem sanitarnym”, jak Zjednoczenie Narodowe w ostatnich wyborach we Francji albo AfD w Saksonii, Turynii i Brandenburgii.

Przy całej różnorodności partii nowej prawicy ich najważniejsza wspólna diagnoza dotyczy nazbyt szybkiego postępu globalizacji oraz drastycznej rewolty kulturowej, wywracającej świat i obyczaje do góry nogami. Nowa prawica dobrze wie, że nie obali tych dwóch potężnych trendów, ale jej celem jest ich opóźnienie i powstrzymywanie. Nie jest to zatem żaden skrajny obóz na rzecz jakiegoś przewrotu, który miałby wyrzucić dotychczasowy porządek. Całkiem przeciwnie – nowa prawica to wielki polityczny ruch pragnący opóźnić zawrotne tempo dziejącej się rewolty i powstrzymać najbardziej radykalne zapędy „głównonurtowych” światoborców i wywrotowców. Chyba największe kłamstwo, które upowszechniono na temat nowej prawicy, to teza, iż chce ona zniszczyć świat jaki znamy, podczas gdy cały jej wysiłek zmierza do ocalenia choćby jakichś jego fragmentów.

W Europie wszystkie formacje nowej prawicy mają zasadniczy kłopot z Unią Europejską. Powód tego jest dwojaki. Pierwszy – ostatnimi laty na przekór traktatom europejskim Unia stała się czymś na kształt uniwersalistycznego *perpetuum mobile*, kumulującego władzę nadzorczą nad państwami europejskimi, a co ważniejsze – również nad codziennym życiem i wolnością ludzi. Z roku na rok w Brukseli powstają coraz to nowe instytucje nadzorcze. Właśnie teraz tworzony jest centralny urząd nadzoru nad wolnością słowa, który zacznie działać w lutym 2025 r. Powód drugi należy zaś do porządku czystej polityki. Otóż instytucje unijne z premedytacją uprawiają politykę coraz bardziej agresywnej stronnictwa wobec partii nowej prawicy. I im większe

społeczne poparcie dla tych partii w krajach Unii, tym radykalniejsze brukselskie metody walki z tymi partiami. To nie tylko, jak się nam czasem wydaje, kwestia sankcji wobec rządu PiS w Polsce czy Fideszu na Węgrzech. To także codzienny i coraz bardziej natarczywy udział instytucji unijnych w wewnętrznych kampaniach przeciw Zjednoczeniu Narodowemu we Francji, AfD w Niemczech, Voxowi w Hiszpanii czy nawet rządzącym Braciom Włoch i Partii Wolności w Niderlandach.

W takich okolicznościach trudno się dziwić, że Bruksela jest traktowana przez całą nową prawicę jako ośrodek nieprzyjazny, po którym można i należy się spodziewać wyłącznie wrogich posunięć. Jednak kłopot tych formacji bierze się z faktu, iż samo istnienie Unii, a zwłaszcza wspólnego europejskiego rynku, traktują

Pośród krajów europejskich to Polska jest dziś poletkiem doświadczalnym, na którym sprawdzane są różne możliwości zwalczania nowej prawicy

one (podobnie jak duża większość Europejczyków) jako geopolityczną i gospodarczą konieczność. Starają się zatem unikać budzenia nazbyt antyunijnych nastrojów społecznych, co z kolei pozostaje w sprzeczności z ich interesami wyborczymi. Nawiasem mówiąc, cała ta kwadratura koła, z którą boryka się nowa prawica w odniesieniu do Unii, wyraża się unaocznia, jak daleko tym partiom do konsekwentnego populizmu. Partie nowej prawicy duszą w sobie najzupełniej zrozumiałą niechęć do Unii, co oczywiście rodzi wrażenie ich chwiejności i niekonsekwencji w sprawie tak kluczowej, jak polityczna organizacja Europy.

PRESJA I REPRESJE

Dziś największym wyzwaniem stojącym przed nową prawicą zarówno w Ameryce, jak i w Europie, jest rosnące ryzyko

represji, jakie zaczynają na nią spadać. Myliłby się głęboko ktoś, kto by sądził, że koncept „demokracji walczącej” Tuska (czyli tłumacząc to na normalny język – rządów mających na celu zniszczenie nowej prawicy) jest polskim wymysłem. To fakt, że pośród krajów europejskich Polska jest dziś poletkiem doświadczalnym, na którym sprawdzane są różne możliwości zwalczania nowej prawicy: inżynieria społeczna na wielką skalę, świadome ignorowanie ustaw, sankcje finansowe czy aresztowania polityków. Liczni europejscy liderzy z uwagą na Polskę patrzą dziś, bo chcą się dowiedzieć, czy także u nich wobec partii nowej prawicy nie dałoby się zastosować podobnych środków, jak te stosowane wobec PiS. Ale aresztowania aktywistów prawicowych i religijnych w Anglii czy niezbyt skrywany „plan Faeser”, niemieckiej minister spraw wewnętrznych, mający uniemożliwić w praktyce działalność nowej prawicy, to objawy angielskiej czy niemieckiej wersji „demokracji walczącej”, co prawda ciągle trochę mniej zaawansowanej od polskiej.

Coraz więcej faktów zdaje się wskazywać na to, że presja Brukseli i „głównonurtowych” rządów na nową prawicę będzie w najbliższym czasie rosła. Kordon sanitarny, jaki roztaczano wokół PiS, Zjednoczenia Narodowego, Braci Włoch, AfD czy holenderskiej Partii Wolności okazał się bowiem nie dość skuteczny. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że nowa prawica w wielu krajach – od USA po Włochy, Francję i Polskę – dysponuje potencjałem społecznym umożliwiającym rządzenie już dziś albo za jakiś czas. Jednak partie, które *de facto* zlały się w rzekę „głównego nurtu”, nie są gotowe na przyjęcie tego faktu do akceptującej wiadomości. Będą testować, ba, już przecież testują możliwość do zniesienia skałę przemocy, jaką można by zastosować dla niedopuszczenia do władzy i zniszczenia nowej prawicy. Dlatego to, co w najbliższych dwóch latach zdarzy się w Polsce, będzie mieć spore znaczenie dla całej Europy.

Ten tekst jest pokłosiem dyskusji, która 19 września 2024 r. miała miejsce na Forum Krynickim z udziałem Krzysztofa Bosaka, Mateusza Morawieckiego, Konstantego Pilawy oraz autora



O zbawiennej dzikości bobra

Podczas posiedzenia sztabu kryzysowego w Głogowie w zeszłym tygodniu premier Donald Tusk obwinił bobry za to, że mogły przyczynić się do uszkodzenia wałów przeciwpowodziowych. Wykorzystajmy tę krótką popularność tych zwierząt, żeby zastanowić się, czy rzeczywiście są zagrożeniem. A może wręcz przeciwnie – potrzebujemy ich m.in. dlatego, że paradoksalnie to te zwierzęta pomagają odpowiednio gospodarować wodami

**PRZEMYSŁAW BARSZCZ**

Na kwestię bobrów patrzę wyłącznie z przyrodniczego punktu widzenia. To dobry punkt widzenia. Jesteśmy częścią przyrody, z czego wynika, że musimy korzystać z zasobów przyrodniczych,

tak jak czyni to każdy gatunek. Czasem w ramach korzystania lepszego dla nas i mniej inwazyjnego dla przyrody musimy trochę dostosowywać tę przyrodę do swoich potrzeb. Robią tak nie tylko ludzie, a jednym z najlepszych przykładów na to są właśnie bobry, ponieważ jest niewiele gatunków potrafiących tak jak one zmieniać środowisko wedle swoich wymagań.

Oprócz korzystania z przyrody musimy też ją chronić. W tym zakresie bobry również są świetnym przykładem, bo mało który inny gatunek, korzystając z przyrody, jednocześnie tak przyczynia się do jej ochrony.

Na szczęście w ekologii, czyli nauce zgłębiającej prawa funkcjonowania przyrody, polityka jest nieważna. Zgodnie z tą zasadą i według wyłącznie wiedzy przyrodniczej zwracałem kiedyś uwagę, że plany masowego odstrzału dzików mające zmniejszyć zagrożenie ASF nie są oparte na podstawach przyrodniczych, w związku z czym nie zmniejszą zagrożenia. W przypadku ich realizacji w zamierzonym zakresie wpłyną natomiast na ekosystem i gospodarkę – i to wbrew oczekiwaniom negatywnie.

Podobnie należy przestrzec przed majstrowaniem przy kwestii bobrów, bo to nie może przynieść nic dobrego, może natomiast przynieść dużo złego.

KRÓTKA HISTORIA

W Polsce od dłuższego już czasu bobry są tak powszechne, że nie dziwi ich stała obecność nawet w rzekach przepływających przez centra dużych miast. Są albo pojawiają się w zasadzie wszędzie, gdzie jest obecna woda, nawet jeżeli to nie rzeka, ale chociażby wąski rów czy niewielkie oczko. Po wiekach egzystowania na skraj wyginiecia niezwykle sukces praktycznej ochrony przyrody sprawił, że bobry nie tylko stały się gatunkiem liczny, lecz także ponownie zaczęły odgrywać istotną rolę w środowisku. Istotną i sobie przypisaną.

W krytycznych dla bobrów latach 20. XX w. liczebność gatunku na ziemiach polskich była szacowana na 235 osobników. Czasem jako moment

krytyczny podaje się lata tuż pod II wojnie światowej i liczbę zaledwie 130 bobrów. Wiele wskazywało na to, że bobrów nie uda się uratować, a sama nazwa tego zwierzęcia stała się nie tylko symbolem ginącej przyrody, lecz także obrazem mitycznego stworzenia.

Konsekwentnie prowadzone zabiegi ochronne sprawiły, że na początku lat 90. XX w. na terenie Polski występowało już ok. 3 tys. bobrów, a w Polskiej Czerwonej Księdze Zwierząt określono je jako „gatunek wydobyty z niebezpieczeństwa”. Kluczowym elementem działań stało się regularne i liczne wypuszczanie przez lata bobrów do rzek

Obecność bobrów
to ochrona przed powodzią,
bo w naturalnych rzekach
wezbrania spływają wolniej,
gubiąc się w meandrach,
tracąc impet na rozlewiskach.
I ochrona przed suszą,
bo w rzekach oddanych
bobrom deficyt wód nie
występuje

stanowiących dopływ Wisły, dzięki czemu szybko rozprzestrzeniły się w całym kraju. Bobry są odporne na zanieczyszczenia wód, nie boją się ludzi, a nawet wykazują tendencje do osiedlania się w ich sąsiedztwie. Dzięki temu, a przede wszystkim dzięki wieloletniej pracy i czynnej ochronie połączonej z wsiedlaniem bobrów na powrót do rzek i jezior udało się rzecz niezmiernie rzadka. Nie tylko uratowano gatunek, który już niemal wyginął, lecz także zwiększono jego liczebność do tego stopnia, że po setkach lat znowu stał się ważnym elementem ekosystemu.

Według szacunków obecnie w Polsce żyje sto kilkadziesiąt tysięcy bobrów. Oznacza to, że ponownie zaczynają

odgrywać istotną rolę w ochronie i gospodarowaniu zasobami wodnymi.

TAMY, ŻEREMIA I ŚLIZGI

O „szkodach” wyrządzanych przez bobry mówi się od tego samego momentu, w którym udało się je uratować. Np. o zalanych polach, łąkach i fragmentach lasów, podając corocznie wartość odszkodowań wypłacanych przez państwo z powodu działania tych zwierząt. Mowa o dziesiątkach milionów złotych rocznie. Czyli o kwotach niewyobrażalnie małych w porównaniu z niemożliwym do wycenienia wkładem bobrów

w ochronę przyrody i środowiska: każda tama to dziesiątki innych gatunków korzystających z obecności bobrów i podnoszących bioróżnorodność, każde rozlewisko to masy wody nawadniającej okolicę i jednocześnie powstrzymanej przed zbyt szybkim spływem.

Wartość zniszczeń jest znikoma w porównaniu z olbrzymimi korzyściami dla środowiska i ludzi. Czy w ogóle mówić o zniszczeniach? Jeżeli mielibyśmy przykładać taką miarę do działań bobrów, w podobny sposób – jako szkody i zniszczenia – powinniśmy oceniać wzrost lasów, w których drzewa zajmują teren i zużywają żyzną próchnicę, która mogłaby zostać przez nas wykorzystana na wiele innych sposobów.

JAK DZIAŁA BÓBR

Budowanie tam spiętrzających wodę to tylko jeden z wielu aspektów złożonych i przemyślanych działań bobrów w zakresie gospodarowania zasobami wód. W rzeczywistości obejmują one wiele prac inżynierskich opartych na najlepszych podstawach przyrodniczych i w pełni zgodnych z naturą, które korzystnie oddziałują od najdrobniejszych elementów aż po skalę całych dolin rzecznych, które dzięki bobrom odzyskują naturalny charakter.

Obecność bobrów to ochrona przed powodzią, bo w naturalnych rzekach wezbrania spływają wolniej, gubiąc się w meandrach, tracąc impet na rozlewiskach i w ogóle wylewając nie tam,

gdzie szkodzą, tylko tam, gdzie są potrzebne. I ochrona przed suszą, bo w rzekach oddanych bobrom deficyt wód nie występuje. Bobry potrzebują wody i dołożą wszelkich starań, żeby wody nie zabrakło.

Sukces przywrócenia przyrodzie tych pracowitych stworzeń jest czasem niedoceniany i przyćmiony wyolbrzymioną dyskusją na temat wyrządzanych przez nie szkód. Tymczasem uratowanie bobrów od wyginięcia to jedno z największych i najbardziej znaczących osiągnięć w dziedzinie ochrony naszej przyrody. Po wielu wiekach przywrócono naturze gatunek posiadający unikalną zdolność czynnego i pozytywnego kształtowania środowiska, a zwłaszcza zdolność ochrony zasobów wodnych, niezwykle istotną w świecie, w którym woda staje się najcenniejszym surowcem. Woda i umiejętność zarządzania nią.

Obecnie w Polsce według szacunków żyje sto kilkadziesiąt tysięcy bobrów. Oznacza to, że ponownie zaczynają odgrywać istotną rolę w ochronie i gospodarowaniu zasobami wodnymi

CO DALEJ Z BOBRAMI?

Czy redukcja bobrów pomoże w ochronie przed powodzią? Nie. Za to zaszkodzi. I to bardzo. Zarówno jeżeli chodzi o powódź, jak i o suszę oraz bioróżnorodność.

Co innego można zrobić? Ideałem ochrony przeciwpowodziowej byłoby zlokalizowanie wszystkiego, co nie po-

winno być zalane, poza zasięgiem wody. Jak np. nad Biebrzą, corocznie wylewającą niezmiernie szeroko, gdzie mimo to nie ma mowy o powodziach.

Tam, gdzie zachowanie naturalnego odstępu nie jest już możliwe, lepiej skierować energię na rzeczywiste działania chroniące przed powodzią. Jeżeli potrzebujemy do tego wałów, istnieje wiele wskazań, jak je lokalizować, w jakiej odległości od rzeki, w jaki sposób zabezpieczać itp. – również przed działalnością zwierząt.

A jeżeli koniecznie chcemy z czymś walczyć, przyjrzyjmy się temu, co rzeczywiście szkodzi wałom, na przykład ich rozjeżdżanie.

Bobry natomiast powinniśmy dalej chronić, wspierać, obserwować i uczyć się od nich, utrzymywać populację w możliwie dużej liczebności i dobrej kondycji, bo wykonują za nas wielką część pracy z wodą.

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Początki konspiracji

Nim kampania wrześniowa 1939 r. dobiegła końca, w Polsce powstawały pierwsze konspiracyjne organizacje mające walczyć o odzyskanie niepodległości. Nikt wtedy nie przewidywał, że wojna potrwa kilka długich lat



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jeśli przesadą jest powiedzenie, że Polacy mają we krwi działalność podziemną, to na pewno stoi za tym kilkaset lat tradycji. Pierwsze wielkie tajne sprzysiężenie doprowadziło do powstania listopadowego, a końcowym akordem była Solidarność i konspiracyjne struktury związku powstałe po 13 grudnia 1981 r. A jak rozpoczęła się podziemna działalność u zarania II wojny światowej?

WARSZAWA NADAL WALCZY

W drugiej połowie września 1939 r. sytuacja Polski stała się beznadziejna. Niemieckie wojska posuwały się do przodu,

zajmując kolejne tereny. 17 września stało się jasne, że Polacy przegrali wojnę obronną. Wieści o ataku Armii Czerwonej na Polskę i jej szybkie postępy na południu, w kierunku granicy polsko-rumuńskiej, jeszcze przyspieszyły trwającą ewakuację administracji i władz państwowych oraz naczelnego dowództwa do Rumunii.

W tym czasie Warszawa broniła się przed nacierającym wojskiem niemieckim. Prezydent miasta Stefan Starzyński odmówił ewakuacji wraz z rządem i stanął na czele cywilnej obrony stolicy. Na mocy rozkazu naczelnego wodza została utworzona Armia „Warszawa” pod dowództwem gen. Juliusza Rómmla. Starzyński powołał Komitet Obywatelski przy Dowództwie Obrony Warszawy, skupiający przedstawicieli wszystkich ugrupowań politycznych, od socjalistów przez pilsudczyków i ludowców po narodowców.

Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, jeden z dowódców Armii „Poznań” i uczestnik bitwy nad Bzurą, w nocy z 20

na 21 września przedostał się do Warszawy i został zastępcą gen. Rómmla. Później miał on zostać kluczową postacią inicjującą stworzenie centralnej organizacji konspiracyjnej.

Przez kolejne dni Niemcy prowadzili zmasowany ostrzał artyleryjski i naloty bombowe, paraliżując Warszawę. Wkrótce potem nastąpił szturm na miasto. Mimo przytłaczającej przewagi przeciwnika obrońcom udało się odeprzeć ataki. Klęska była już jednak przesądzona. Warszawa nie miała żywności, wody i elektryczności. Za sprawą bezlitosnych bombardowań i ognia artyleryjskiego stopniowo zamieniała się w gruz. Ponadto nie było żadnych szans na odsiecz i poprawę sytuacji. Wieczorem 26 września Komitet Obywatelski podjął decyzję o zaakceptowaniu propozycji kapitulacji.

Jeszcze tego samego dnia gen. Tokarzewski-Karaszewicz zgłosił się do gen. Rómmla z planem zorganizowania w kraju zbrojnego oporu przeciwko okupantom. Zaproponował, by udający

się do niewoli dowódca przekazał mu pełnomocnictwo dowodzenia w całym kraju otrzymane od naczelnego wodza. W tym samym czasie do Warszawy przyleciał samolotem z Rumunii mjr Edmund Galinat, specjalny wysłannik Edwarda Śmigłego-Rydza, wobec czego gen. Rómmel postanowił wstrzymać się z decyzją przed spotkaniem z emisariuszem.

Zadaniem Galinata było dostarczenie dowódcy Armii „Warszawa” ustnych rozkazów w sprawie utworzenia konspiracji wojskowej i oddanie się do jego dyspozycji. Podczas rozmowy, wykorzystując otrzymane pismo, sugerował, że to on powinien stanąć na czele organizowanej dywersji, ponieważ zna przedwojenne przygotowania do tego rodzaju działań. Ostatecznie gen. Rómmel przystał na propozycję gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza i to jemu podpisał nominację. Kontrasygnatę złożył także Starzyński jako najwyższy przedstawiciel władz cywilnych.

W CIENIU KAPITULACJI

Rankiem 27 września obrońcy Warszawy wysłali parlamentarzysty do negocjowania warunków honorowej kapitulacji. Misji przewodniczył gen. Tadeusz Kutrzeba, waleczny dowódca Armii „Poznań”, który odznaczył się w bitwie nad Bzurą. Równoległe powstawała ogólnokrajowa organizacja podziemna o nazwie Służba Zwycięstwu Polski (SZP) z gen. Tokarzewskim-Karaszewiczem jako komendantem. Generał miał już gotową koncepcję dalszej walki. Za wzór przyjął Polską Organizację Wojskową z czasów I wojny światowej. Jako pierwszych do nowej struktury przyjął niedawnych podkomendnych z wojska, a także kilka zaufanych osób. Szybko powstał sztab składający się z szefów następujących oddziałów: sabotażu i dywersji, organizacyjnego i personalnego, finansowego, propagandy i informacji, wywiadu, legalizacji oraz łączności. Szefem sztabu SZP został płk Stefan Rowecki.

Czas pertraktacji z Niemcami nowy dowódca przeznaczył na organizo-

wanie statutu organizacji oraz podstawowych zasad funkcjonowania, a także rozmów z przedstawicielami czołowych ugrupowań politycznych. W ten sposób jako część składowa SZP powstała Główna Rada Polityczna z reprezentacją PPS, SN, SL i SD oraz komisarzem cywilnym reprezentującym instancje cywilne przy dowódcy organizacji. Propozycję dołączenia do konspiracji otrzymał także Stefan Starzyński. Ten po namyśle postanowił odmówić i pozostać na swoim sta-

Już na początku okupacji w całym kraju spontanicznie zaczęły powstawać tajne organizacje. Jako pierwsi przystępowali do nich ludzie już wcześniej związani z wojskiem, posiadający doświadczenie bojowe, organizacyjne oraz odpowiednie kontakty. Do wracających do domu żołnierzy, którym udało uniknąć się niewoli, szybko dołączały miejscowe elity – nauczyciele, działacze społeczni, księża

nowisku aż do wkroczenia Niemców. Mimo to oddał na potrzeby konspiracji wszystkie środki posiadane przez Zarząd Miejski. Dzięki temu konspiratorzy otrzymali znaczną sumę pieniędzy oraz pierwszą partię „lewych” dokumentów: legitymacji pracowników tramwajów miejskich i innych służb wypisanych na fikcyjne nazwiska. Pozwoliło to konspiratorom zgubić za sobą ślad, a przy okazji dawało możliwość swobodnego poruszania

się w przypadku niemieckich kontroli później.

CAŁA POLSKA SIĘ ORGANIZUJE

Warszawska inicjatywa to nie wyjątek. Cechą charakterystyczną pierwszych miesięcy okupacji była wiara w szybką zmianę losów wojny z pomocą zachodnich sprzymierzeńców. Za prawdziwe przyjmowano nawet najbardziej fantastyczne plotki. Szukano kontaktów, przekazywano sobie kolejne informacje, niwelując w pewnym stopniu zarządzanie okupanta o zdaniu wszystkich odbiorników radiowych. Wydobywano, gromadzono oraz ukrywano broń i wyposażenie z pobojozisk. I próbowano się organizować. W całym kraju zaczęły spontanicznie powstawać tajne organizacje podziemne.

Jako pierwsi przystępowali do nich ludzie już wcześniej związani z wojskiem, posiadający doświadczenie bojowe oraz organizacyjne, odpowiednie kontakty i osobowość. Do wracających do domu żołnierzy, którym udało uniknąć się niewoli, szybko dołączały miejscowe elity – nauczyciele, działacze społeczni, księża. Często były to osoby mające za sobą działalność podziemną z początku XX w., m.in. weterani Strzelca, Związku Walki Czynnej, Legionów czy Polskiej Organizacji Wojskowej. Najpierw porozumiewało się kilka lub kilkanaście osób mających do siebie pełne zaufanie, ustalano nazwę, uchwalano tekst przysięgi i regulamin, a potem rozpoczynano werbunek. W wielu przypadkach nowo powstałe organizacje podziemne wykorzystywały zręby przedwojennych organizacji, takich jak związki weteranów, kluby sportowe i drużyny harcerskie. Zaczęli się także komunikować między sobą członkowie stronnictw politycznych, czego rezultatem było powołanie lokalnych podziemnych komórek partyjnych miejskich i wiejskich.

W ciągu paru miesięcy na terenie obu okupacji powstało kilkaset podziemnych organizacji działających

niezależnie od siebie, ale instynktownie poszukujących kontaktów z organizacjami w sąsiednich miejscowościach i jednocześnie z centralnym kierownictwem powstałym w stolicy, a nawet bezpośrednio z rządem na emigracji, który odtworzył się w zmienionej formie we Francji. Grupy konspiracyjne mające oparcie w społecznościach lokalnych stopniowo rozszerzały swój zasięg także na sąsiednie tereny kraju. Mimo że ich aktywność, zwłaszcza na początku, ograniczała się często do zbierania informacji, sporządzania komunikatów radiowych czy gromadzenia broni i amunicji, to właśnie na nich opierały się później budowane ogólnie struktury ogólnokrajowe.

Partie polityczne również zeszły do podziemia. PPS posługiwała się nazwą Wolność, Równość, Niepodległość i zaczęła tworzyć organizację zbrojną – Gwardię Ludową WRN (której nie należy mylić z komunistyczną GL). Pracę w konspiracji kontynuowało SL we współpracy ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej „Siew” i Wiciami. Podległe mu oddziały zbrojne przyjęły nazwę Batalionów Chłopskich. Wkrótce po klęsce wrześniowej Stronnictwo Narodowe zaczęło tworzyć konspiracyjne oddziały, nazwane wiosną 1940 r. Narodową Organizacją Wojskową. Podziemną działalność podjęło także Stronnictwo Pracy.

OBJAZD KRAJU

Niedługo po utworzeniu Służby Zwycięstwu Polski jej emisariusze wyruszyli w teren, aby w ramach tworzonej organizacji scalić wszystkie inicjatywy zmierzające do kontynuowania walki o niepodległość. Twórcy SZP musieli szybko oceniać, co można traktować jako skuteczną i poważną organizację, a co może stanowić kłopot czy nawet zagrożenie.

Pod koniec października 1939 r. Tokarzewski zaopatrzony w dokumenty lekarza wybrał się samochodem osobowym w objazd ważniejszych miejscowości w celu nawiązania kontaktów i podporządkowania sobie istniejących już organizacji podziemnych, a także tworzenia dowództw na poziomie wojewódzkim i powiatowym. Podróż trwała

ok. trzy tygodnie i objęła takie miasta jak Radom, Lublin, Kielce, Kraków, Tarnów i Częstochowę. W Krakowie Tokarzewski-Karaszewicz poinformował o swej działalności kard. Adama Sapiechę, zdołał też nawiązać kontakt z małopolską konspiracją dowodzoną przez Tadeusza Komorowskiego i Klemensa Rudnickiego.

Udało się organizować sieć łączności konspiracyjnej, rozbudowanej o łączność alarmową. Wytypować bezpieczne lokale, zmieniane rotacyjnie, na miejsca spotkań organizacyjnych oraz pracę bieżącą. Rozpocząć budowę ogniw wywiadu i kontrwywiadu. Stworzyć kalendarz odpraw poszczególnych pionów i dowództw. Powołać komórki zajmujące się werbowaniem nowych konspiratorów, osobno dla sztabu, osobno dla służb i drużyn specjalnych, osobno dla struktur terenowych.

Struktura oraz zasady pracy konspiracyjnej wdrożone w SZP okazały się na tyle przydatne, że zostały później przejęte w Związku Walki Zbrojnej, a w końcu w Armii Krajowej. Organizacja Komendy Głównej była wzorowana na strukturze przedwojennego Sztabu Głównego. Podział na siedem oddziałów sztabu przenoszono odpowiednio, o ile pozwalała na to kadra pozyskana w terenie, na dowództwa szczebla wojewódzkiego i powiatowego.

NIEZADOWOLENIE WE FRANCJI

Nowy polski rząd na uchodźstwie nie wiedział o działaniach podjętych w kraju. W celu wyjaśnienia sytuacji do naczelnego wodza wysłano meldunek o utworzeniu SZP. Wiadomość nie miała nazwiska adresata, dlatego najpierw trafiła do Edwarda Śmigłego-Rydza, który przesłał ją do Francji, do nowego naczelnego wodza, którym został gen. Władysław Sikorski. Ta niezręczność wpisała się w negatywny stosunek władz polskich na emigracji do SZP, które uważały, że organizacja w zbyt dużym stopniu skupia środowisko pilsudczyków. Wobec tego w grudniu 1939 r. gen. Kazimierz Sosnkowski, przewodniczący Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju we Francji, został mianowany dowódcą nowej struktury wojskowej, która przybrała nazwę Związku

Walki Zbrojnej. Miała to być organizacja jednolita i działająca na terenie całego okupowanego kraju, ogólnonarodowa i ponadpartyjna. Oprócz tego oddzielono ją od politycznych komitetów i przeznaczono do długofalowego, gruntownego przygotowania niepodległościowej akcji zbrojnej.

Dowódcą na ziemiach okupowanych przez Niemców został mianowany płk Rowecki, a na terenach okupacji sowieckiej gen. Karaszewicz-Tokarzewski. W styczniu 1940 r. instrukcja z informacjami dotyczącymi ZWZ dotarła do dowództwa SZP, które mimo mieszanego uczuć zaakceptowało decyzję władz emigracyjnych i włączyło swoją organizację do nowej struktury. W szeregach ZWZ znalazły się 24 tys. zaprzysiężonych członków SZP oraz wiele innych mniejszych organizacji. Wiosną 1940 r. Związek Walki Zbrojnej, na którego czele stanął Rowecki mianowany w czerwcu generałem, liczył ok. 81 tys. osób.

BEZ AKCJI ZBROJNYCH

SZP, a później ZWZ miały skupić w jednej organizacji cały wysiłek społeczeństwa w walce o odzyskanie niepodległości, w tym wyzwolenie Polski w jej przedwojennych granicach, odtworzenie struktur armii i powołanie tymczasowych ośrodków władzy. Organizacja działała na terenie okupacji niemieckiej i sowieckiej, mobilizując opór społeczeństwa. Jednocześnie jednolite dowództwo miało ograniczyć niepotrzebny rozlew krwi. Instrukcja dla ZWZ zawierała stwierdzenie: „Rząd polski nie dopuszcza na razie żadnej akcji zbrojnej na terenie kraju, ponieważ cel polityczny takiej akcji w okresie obecnym przedstawia się niejasno [...] zasięg jej byłby nikły [...] a efekt najprawdopodobniej nie stałby w żadnym stosunku do represji, jakie akcja podobna musiałaby ściągnąć na kraj”.

Te założenia szybko musiały zostać zrewidowane. Stale zaostrzający się terror niemiecko-sowiecki, który zapanował na terenach okupowanej II RP, doprowadził do masowego oporu przeciwko najeźdźcom. Polskie Państwo Podziemne stałe rozbudowywało swoją strukturę, a Armia Krajowa pod koniec wojny liczyła ok. 400 tys. żołnierzy.

Kadr z filmu
„Kulej. Dwie strony
medalu”

Mocne uderzenia

Kiedy ten tekst się ukaże, będzie już wiadomo, który z filmów zdobył Złote Lwy na tegorocznym 49. FPFF w Gdyni. I do kogo trafiły Lwy Szafirowe. A pod koniec tygodnia spotkają się w kinach: „Joker: Folie a deux” i „Smok Diplodok”



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Co widać w połowie najważniejszej polskiej filmowej imprezy (bo to właśnie w tym momencie powstaje tekst)? Z obrazów pokazujących premierowo – czyli operujących też efektem zaskoczenia – zwycięską rundę mogą zapisać na swoim koncie m.in. twórcy filmu „Kulej. Dwie strony medalu” w reżyserii Xawerego Żuławskiego.

To obraz kompletny. Zarówno pod względem ogólnego konceptu i świetnie zniuansowanego scenariusza, jak i dzięki realizacji (w tym zbudowaniu wypełnionego detalami szerokiego tła lat 60. ub.w.), a przede wszystkim za sprawą wielowymiarowych relacji. Zbudowanych między bohaterami w wątkach pobocznych (tu zaskakująco celny okazuje się m.in. duet z warszawskiego półświatka, czyli Aluś i Wituś w wykonaniu Bartosza Gelnera i Konrada Eleryka), równoległych (rewelacyjny Andrzej Chyra jako „Papa” Stamm czy Tomasz Kot w roli płk. Sikorskiego, dyrektora KS Gwardia) i tych kluczowych – w wątku głównym.

Aktorską figurę stworzoną na potrzeby filmu niezwykle trafnie nazwała Michalina Olszańska (ekranowa Helena, żona tytułowego bohatera). Duet z Tomaszem Włoskiem porównała do pary łyżwiarzy, którzy wykonują skomplikowany układ wymagający niezwyklej precyzji i uwagi. Są współzależni od siebie i jedynie w tandemie pełnowymiarowi. Tak jest też w małżeństwie Kulejów. Rewelacyjnie przygotowany do roli (i fizycznie, i mentalnie) Włosk w relacji z filmową żoną wznosi się na aktorskie wyżyny, jednocześnie dając Olszańskiej przestrzeń do stworzenia kobiecej kreacji. Można powiedzieć, że w tym duecie oboje wyprowadzają w stronę widza mocne i celne aktorskie uderzenie.

SIŁA EKRANU

Film Żuławskiego, spełniając wszelkie warunki kina komercyjnego, w pełno-



Kadr z filmu „Idź pod prąd”

wymiarowy sposób pokazuje obraz Polski Ludowej lat 60. Podobnie prawdziwą podróż, tym razem w realia lat 80., oferuje „Idź pod prąd” Wiesława Palucha. I choć dzieli je produkcyjny rozmach i komfort pracy („Kulej. Dwie strony medalu” to kolejny tytuł Watchout Studio, które ma na koncie takie kinowe przeboje, jak „Bogowie” czy „Sztuka kochania”, a o powstanie „Idź pod prąd” reżyser walczył przez dekadę, wkładając do puli także prywatne środki), oba filmy niosą przemysłany i wypracowany przekaz.

Kompletnym, a także bardzo wyrazistym obrazem – choć skrajnie różnym w formie i emocjach od wcześniej wymienionych – jest „Dziewczyna z igłą”. To czarno-biały film, którego akcja rozgrywa się 100 lat temu, ale sens kolejnych scen niezwykle boleśnie i dojmująco, wręcz fizycznie potrafi się wbijać w serce i umysł współczesnego odbiorcy.

„Dziewczyna...” to koprodukcja polsko-duńsko-szwedzka (zprzeważającym polskim składem ekipy i głównie duńską obsadą). Film został zgłoszony do oscarowej rywalizacji przez Danię. Reżyserem jest Magnus von Horn, urodzony w Szwecji, ale wykształcony filmowo i od dwóch dekad żyjący oraz tworzący w Polsce. To daje mu bardzo ciekawą perspektywę.

DOJMUJĄCY KONTEKST

Przywołane filmy, pokazane w Gdyni premierowo, wydają się wyjątkowo skutecznie i w pełnym wymiarze oddziaływać na widza. „Znokautować” go – przede wszystkim na poziomie emocjo-

nalnym – starają się także obrazy z innej grupy, mocno zaznaczającej się w gdyńskim konkursie. Na 16 tytułów walczących o Złote Lwy trzy dotyczą wojny na Ukrainie. Jeden wręcz rozgrywa się na terenach objętych działaniami wojennymi. W ekipach znaleźli się ukraińscy filmowcy i aktorzy. W jednym bohaterowie mówią wyłącznie po ukraińsku.

NIEPEWNOŚĆ JUTRA

Można dyskutować o artystycznej i realizacyjnej formie „Pod wulkanem”, „Ludzi” i „Dwóch siostr”. Te filmy momentami mogą się wydawać koncepcyjnie niedomknięte, z wątkami czy scenami, które wyglądają, jakby pojawiły się już w trakcie realizacji, zaburzając wcześniejszy plan. Powodują wrażenie uczest-





Film „Pod wulkanem” Damiana Kocura został polskim kandydatem do oscarowych nominacji

Fot. TVP

niczenia w czymś, nad czym i ekipy, i bohaterowie, i widzowie nie są w stanie do końca zapanować.

Film „Pod wulkanem” Damiana Kocura, reżysera z ducha offowego, autora głośnego fabularnego debiutu „Chleb i sól” (2022), został polskim kandydatem do oscarowych nominacji. Tym razem reżyser postawił przed kamerą ukraińską rodzinę, którą wybuch wojny zastaje podczas wakacji na Teneryfie. Wszystko, co dotychczas wydawało się im stabilne i pewne, przestaje takie być. Stan zawieszenia, rosnący niepokój, dezorientacja, lęk o to, co dalej... Wszystkie te nawastwiający się emocje zaczynają destabilizować również rodzinne relacje.

Tym, co najmocniej porusza w filmie Kocura – niezależnie od formalnych uwag – jest odczucie pogłębiającej się

destabilizacji i niepewności jutra, współuczestniczące doświadczenie kruchości tego, co jest nam dane, bez gwarancji trwania takiego stanu. Reżyserowi udało się stworzyć bardzo intensywną relację z bohaterami (i aktorami), czy raczej umiał wydobyć z kobiety, mężczyzny, nastolatki i małego chłopca to, co poruszy widza oswojonego z medialnymi przekazami. Pokaże mu, że i on, teoretycznie z dala od wojny, nie jest bezpieczny.

WOJENNE WARSZTATY

O tym, jak bezwzględna i okrutna potrafi być wojna, zwłaszcza dla bezbronnych, pozostawionych samym sobie – kobiet i dzieci, a także osób starszych i niepełnosprawnych – przypominają „Ludzie” Macieja Slesickiego i Filipa Hilleslanda. Film miejscami niezwykle poruszający, a nawet wstrząsający i bardzo prawdziwy, zwłaszcza za sprawą grających w nim kobiet oraz niewidomej dziewczynki.

Niewątpliwie „Ludzie” wzbudzają w widzach emocje. Jednocześnie w obrazie firmowanym przez reżysera, który od dwóch dekad prowadzi współtworzoną przez siebie Warszawską Szkołę Filmową, nie sposób nie zauważyć warsztatowych tropów. Owszem, dzięki nim sceny i kadry są przemyślane, a także dopracowane, obraz ma wiele wymiarów, a warstwa dźwiękowa jest wysrubowana i na dodatek pełni ponadstandardową rolę. Czuje się, że pracował nad tym projektem cały sztab pełnych zaangażowania studentów i adeptów filmowej sztuki.

To za ich sprawą dźwięk w tym filmie zyskał przestrzeń niemal słuchowiska

współtworzącego napięcie, angażującego wyobraźnię, dopowiadającego to, czego nie pokazuje kamera, a co się dzieje na planie. I tu pojawia się element wspólny w kreacji bardzo różnych od siebie filmów. Bo i „Pod wulkanem”, i „Ludzie” pokazują grozę wojny, nie filmując jej. U Kocura znamienna jest choćby reakcja nastoletniej bohaterki na kanonadę fajerwerków. U Slesickiego i Hilleslanda widz nie może odwrócić oczu od brutalnej sceny gwałtu, bo... ta odbija się jedynie na twarzy matki, która nie potrafi pomóc swojemu dziecku.

Zupełnie inną perspektywą operuje film Łukasza Karwowskiego „Dwie siostry”. Ekipa dotarła do miejsc ogołoconych przez wojnę, spora część kadrów jest dokumentacją porażającej skali zniszczeń. Za serce chwytają sceny, w których np. młoda kobieta (grana przez ukraińską aktorkę) wraca do mieszkania na zbombardowanym blokowisku. Już same obrazy budują w „Dwóch siostrach” grozę. Otwarte pozostaje pytanie, jak taką poruszającą, autentyczną scenografię wykorzystał reżyser. I dlaczego na chwilami absurdalne scenariuszowe miny wsadził dwie, skądinąd zdolne, młode aktorki.

PO FESTIWALU

W nadchodzącym tygodniu gdyńskie emocje przeniesie do kin „Smok Diplo-dok”. Oprócz niego wśród premier pojawi się hollywoodzka megaprodukcja. Festiwalowe projekcje w Wenecji pokazały, że „Joker: Folie a deux”, raczej nie powtórzy sukcesu zrealizowanego pięć lat wcześniej kasowego przeboju. Nie pomógł talent Joaquina Phoenixa ani zaangażowanie Lady Gagi. Ale oczywiście fani – czy to ekranowych postaci, czy wspomnianych odtwórców głównych ról – i tak pójdą do kina.

Zachowując proporcje, o wiele cenniejszym projektem tego tygodnia wydaje się animowana opowieść o małym dinozaurze. Napędzana sentymentem do komiksów sprzed lat i podkreślona energią oraz możliwościami współczesnej animacji ma szansę podbić serca nie tylko polskich widzów. Na festiwalu w Gdyni przyjęto ją gorąco. Do dziś została sprzedana do ponad 110 krajów.



Już same obrazy budują w „Dwóch siostrach” grozę

Fot. Kino Świat

Historia o odważnym człowieku z wizją

Film biograficzny o Ronaldzie Reaganie, jednym z ważniejszych prezydentów w historii USA, został dobrze przyjęty przez widzów i zaatakowany przez liberalnych krytyków. Dlaczego?



GORAN ANDRIANIĆ

Film „Reagan” w reżyserii Seana McNamary odniósł sukces w amerykańskich kinach. Jedną z bardziej emocjonujących scen przedstawia legendarne już wystąpienie byłego prezydenta USA w Berlinie Zachodnim z 1987 r. Przemawiając przed Bramą Brandenburską, Reagan wezwał ówczesnego szefa sowieckich komunistów: „Zburz pan ten mur, panie Gorbaczow!”.

Przesłanie, które „przywódca wolnego świata” skierował wówczas do komunistów, miało wielkie konsekwencje historyczne, z czego twórcy filmu doskonale zdawali sobie sprawę, nadając tej scenie ogromne znaczenie. Dla każdego widza z Europy Środkowej, który widział ten film, właśnie ta scena może być emocjonalną kulminacją tego obrazu. Tego dnia Europa za żelazną kurtyną poczuła, że przywódca najpotężniejszego państwa świata nie chce jej opuszczać. Że będzie walczył o jej wolność.

Widzowie bardzo dobrze zareagowali na filmową biografię aktora, a potem 40. amerykańskiego prezydenta, który zasiadał w Białym Domu od 1981 do 1989 r. i do dziś ma status jednego z najbardziej szanowanych przywódców. W ciągu czterech dni od premiery „Reagan” zarobił 10 mln dol. i szybko spłacił swój 25-mln budżet (w tym momencie zarobił 27 mln dol.).



HISTERIA LIBERAŁÓW

Ale krytycy filmowi, przede wszystkim liberalni, „zniszczyli” go w swoich recenzjach. „Najgorszy film roku”, „Katastrofa”, „Brzydki film” – to tylko niektóre z tytułów recenzji, które w ciągu ostatnich kilku tygodni ukazały się w amerykańskich mediach. Kampania przeciwko filmowi była tak silna, że jego producenci w pewnym momencie zdecydowali się wykorzystać ją do promocji. Na portalach społecznościowych opublikowali grafiki z tymi tytułami i komentarzem: „Skoro tak go nienawidzą, to musi być dobry!”.

Cała sytuacja przypomina trochę historię z filmem „Dźwięk wolności” sprzed roku. Inspirowany prawdziwymi wydarzeniami obraz o międzynarodowej sieci pedofilskiej i walce przeciwko niej był hitem, ale liberalna krytyka opisała go jako

film związany z „prawicowymi teoriami spiskowymi”, wystawiając mu bardzo złe recenzje.

W obu przypadkach negatywne nastroje krytyków nie wynikały z wartości artystycznej produkcji, ale ze względów politycznych i ideologicznych. W przypadku „Dźwięku wolności” problematyczny był fakt, że obraz powstał w chrześcijańskim środowisku filmowym. W przypadku „Reagana” chodzi o to, że film ukazuje w dobrym świetle człowieka, który przyczynił się do obalenia komunizmu, czego niektórzy po prostu nie mogą mu wybaczyć.

WRÓG KOMUNIZMU

Pomysł na film zrodził się dziesięć lat temu w głowie producenta Marka Josepha, który był zbulwersowany spo-



sobem, w jaki Ronald Reagan został przedstawiony w miniseriale telewizji CBS z 2003 r. Oczywiście w całkowicie negatywnym świetle. Joseph przez kilka lat zbierał fundusze na realizację filmu, a zdjęcia rozpoczęły się w 2020 r. Tytułową rolę grał amerykański aktor Dennis Quaid. Scenariusz powstał na podstawie dwóch książek Paula Kengora, biografą Reagana.

Ciekawa jest dramaturgiczna konstrukcja filmu: historia Reagana jest opowiedziana z perspektywy emerytowanego oficera KGB (w tej roli Jon Voight), który odpowiadał za śledzenie kariery prezydenta i tworzenie jego profilu psychologicznego.

Radziecki oficer Wiktor Pietrowicz dostał zadanie wyjaśnienia młodemu rosyjskiemu politykowi, jak to się stało, że ich imperium upadło za sprawą amerykańskiego aktora, który został politykiem.

Śledzimy więc Reagana od jego dzieciństwa, a potem jego pierwszych ról w Hollywood. Wchodząc w świat przemysłu filmowego, Reagan jednocześnie stał się aktywny politycznie. Został prezydentem Screen Actors Guild, związku zawodowego zrzeszającego aktorów.

Wychowany w duchu chrześcijańskim i patriotycznym „Ronnie” rozumie ideologiczne kłamstwo komunizmu, a walka z nim staje się jego życiowym powołaniem. Jako przywódca związku aktorów staje się kluczową osobą przeciwstawiającą się komunistycznej indoktrynacji Hollywood, wymyslanej i zorganizowanej w Moskwie.

W kolejnych częściach filmu śledzimy jego dalszą karierę polityczną. Zostaje gubernatorem Kalifornii, jednak po zakończeniu kadencji zdaje sobie sprawę, że na tym nie skończyły się jego ambicje polityczne.

Twórcy filmu konsekwentnie zwracają uwagę na to, że aktora zaprowadziło do Białego Domu poczucie misji. A było nią zniszczenie komunizmu jako reżimu pozbawiającego ludzi godności i wolności. W kolejnej części produkcji śledzimy dwie kadencje spędzone w Białym Domu. W polityce zagranicznej przejmowanie odpowiedzialności za narody zagrożone dyktaturami. W Ameryce nacisk na ograniczenie interwencjonizmu państwa i obniżenie podatków.

„Reagan” nie stara się dawać dokumentalnego obrazu wydarzeń. Celem filmu jest opowiedzenie historii odważnego człowieka, który siłą swoich przekonań i wizji pragnie zmieniać świat. Być może właśnie dlatego nie ma w nim niektórych ważnych elementów jego biografii.

Brakuje mi nieco bardziej rozbudowanych relacji Reagana ze św. Janem Pawłem II, jego najważniejszym sojusznikiem w obaleniu komunizmu. W filmie oczywiście wspomniano o papieżu, ale spodziewałem się, że zostanie pokazane przynajmniej jedno z ich spotkań. Zabrakło mi też mocniejszego podkreślenia poczucia humoru Reagana, przecież wykorzystywał je jako potężne narzędzie walki politycznej. Żartując z politycznych przeciwników, elegancko ich pokonywał.

INNE CZASY

W sensie ściśle artystycznym film nie zachwyca, ale z pewnością nie zasłużył na taką krytykę, jaka go spotkała. Quaid naprawdę sprawdza się w roli Reagana, reszta obsady też jest na jego poziomie (w rolę pierwszej damy Nancy wcieliła się Penelope Ann Miller). Krytycy twierdzą, że głównym problemem filmu jest to, że robi z Reagana „świętego”. Kengor, biograf Reagana, którego książki posłu-

żyły do stworzenia scenariusza filmu, odpowiedział na tę krytykę na portalu The American Spectator. „Film oferuje rzadki dar Amerykanom – liberalom i konserwatom, demokratom i republikanom, politycznym i apolitycznym. To pozytywna opowieść o czasach prawdziwej jedności, historyczne sprawozdanie z jednego z największych triumfów w historii Ameryki: pokojowego zakończenia zimnej wojny. To była dobra rzecz. Cieszyć się z tego. Polubcie to, co dobre. Ale to, co niektórzy krytycy wydają się lubić (lub chcieć), to podział” – napisał Kengor.

Niektórzy twierdzą, że premiera filmu odbyła się celowo w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej, aby pomóc kandydatowi Partii Republikańskiej Donaldowi Trumpowi. Jednak ci bardziej spostrzegawczy zauważyli, że może być dokładnie odwrotnie.

Twierdzą, że w przeciwieństwie do Trumpa Reagan zjednoczył Amerykanów, a głosowało na niego wielu demokratów. Ponadto jego determinacja w działaniach podkreślających to, że Ameryka musi walczyć z komunizmem, kontrastuje w pewnym stopniu z izolacjonizmem Trumpa.

Film jest w pewnym sensie nostalgiczny. Pokazuje czasy, gdy świat i globalna polityka przywiązywały jeszcze wagę do podstawowych wartości, na których opiera się zachodnia demokracja, takich jak wolność, prawo do samostanowienia i solidarność. Reagan, niezależnie od tego, co niektórzy o nim teraz mówią, był doskonałym symbolem tych pozytywnych wartości. Dla nas, narodów Europy Środkowej, jego życie i filozofia polityczna odegrały kluczową rolę w pokonaniu „imperium zła” (jak niegdyś opisał ZSRR). W tym sensie uważam, że bardzo ważne jest, aby nasza młodzież poznała tę niesamowitą osobowość. Będzie miała ku temu okazję, bo w zeszłym tygodniu film pojawił się w polskich kinach.

* * *

Wściekłość, z jaką ta produkcja została przyjęta, mówi jednak więcej o jej krytykach niż o niej samej. Być może problem polega na tym, że komunizm, który po II wojnie światowej chciał wkroczyć do amerykańskiego przemysłu i kultury rozrywkowej (co Reagan zablokował), później do niego wkroczył i teraz w nim króluje. ▀

Wszystko na sprzedaż

Bilety na koncerty osiągają zawrotne ceny. Publiczność masowo je wykupuje, gotowa przepłacać. Także u „koników” wykupujących bilety za pomocą botów. Reakcją na drapieżny rynek wtórny jest „dynamiczna wartość biletu” u oficjalnego dystrybutora. Sprawa nabrała wręcz wymiaru politycznego



MACIEJ WALASZCZYK

Kilka tygodni temu sąsiad pokazał mi kilka filmików nagranych podczas koncertu Metalliki na Stadionie Narodowym. To, co zobaczyłem, przypominało jakiś piknik z tysiącami ludzi stojących z telefonami komórkowymi w ręku, pozbawiony aury koncertów, na jakich bywałem w latach 90. Do tego fatalna akustyka. Ale to znak czasu, świadczący o masowej konsumpcji koncertu i muzyki jako towaru. Wykładnikiem tego zjawiska są ceny biletów i czysto rynkowe, a nawet giełdowe zasady kształtowania ich wysokości. Publiczność jest gotowa, jak np. w Polsce, płacić za wejściówki 600 zł, 800 zł, a nawet kilka tysięcy złotych. O ile zbieracze, audiofile i osoby raczej snobujące się od kilku lat kupując płyty gramofonowe, o tyle sprzedaż płyt kompaktowych już dawno się załamała, kompensowana odsłuchiwaniami muzyki przez serwisy streamingowe. Kwestia rozliczeń i zysków płynących z takiego sposobu dystrybucji muzyki to już zupełnie inny temat. W przyrodzie jednak nic nie gnie i dziś to koncerty są głównym źródłem dochodów, rekompensując wydawcom i wielkim gwiazdom spadek zysków z tytułu sprzedanych płyt.

W ub. tygodniu amerykański tygodnik muzyczny „Billboard” poinformował, że w lipcu to właśnie warszawskie koncerty Metalliki, które łącznie obejrzało 154 tys. osób, przyniosły zespołowi 25 mln dol. brutto, sytuując je na szczycie notowań. Bogów metalu przebili ich jedynie Bruce Springsteen (25,2 mln) oraz Coldplay, który w Rzymie zagrał aż cztery koncerty (29,4 mln).

Skąd takie krociowe zyski? Im większe zainteresowanie koncertem, tym wyższe ceny biletów. W ciągu ostatnich lat rynek ich sprzedaży bardzo się zmienił. Pojawiły się wejściówki ekskluzywne, dla członków fanklubów, posiadaczy kodów i warte wielokrotność normalnego biletu, ale dające w zamian możliwość osobistego spotkania z muzykami, w tym zrobienia sobie prywatnych zdjęć, korzystania z bufetu, wizyty w kulisach, nabycia „limitowanych” edycji koszulek i plakatów, uzyskania dostępu do nagrań „bootlegowych”, choć faktycznie dokonywanych przez ekipę realizacyjną. Wszystko stało się towarem, za który wystarczy zapłacić, a klient, jeśli tylko wyraża chęć, jest wyciskany jak cytryna. A tych, jak widać, nie brakuje.

Jednak kilka lat temu ujawniono nieuczciwe praktyki, w których brał udział menager związany z Metalliką. Okazało się, że równolegle sprzedawał bilety na rynku wtórnym, a cała sprawa wyszła na jaw dzięki upublicznieniu rozmowy telefonicznej. Wynikało z niej, że Live Nation, największa na świecie firma zajmująca się organizowaniem koncertów, zgodziła się



wystawiać bilety na koncerty Metalliki w Ameryce Południowej bezpośrednio na stronach internetowych z odsprzedażą. Po prostu osoby związane z zespołem postanowiły skorzystać z możliwości rynku wtórnego, gdy zdały sobie sprawę, ile pieniędzy zarabiają na ich koncertach tzw. brokerzy branży biletowej. A więc „koniki”, tylko tacy działający w sieci.

DYNAMICZNE CENY

Na rynkowy żywioł natychmiast zareagował także Ticketmaster. To mająca siedzibę w Kalifornii spółka zależna od Live Nation Entertainment Inc., która zdominowała rynek dystrybucji biletów online w dużej części świata. Doszła bowiem do wniosku, że zamiast tracić potencjalne zyski na rynku wtórnym, część oferowanych przez siebie biletów sama wycenia według wartości rynkowej. I tak cena za najlepsze miejsca (bilety kategorii „platinum”) staje się ruchoma i w trakcie sprzedaży zmienia się jej wartość – wzrasta lub spada wraz z zainteresowaniem ofertą. Zakupami steruje zaś specjalny system kolejkowy Verified Fan, którego zadaniem jest pomoc w zarządzaniu sprzedażą, a więc identyfikowaniu prawdziwych ludzi i eliminowaniu botów skalpujących, a więc zdobywających bilety w celu ich odsprzedaży po wyższej cenie. To one są plagą rynku e-commerce i za pomocą specjalnego oprogramowania potrafią opanować nawet połowę sprzedaży. Firma od pewnego czasu oskarżana jest jednak o działalność monopolistyczną i świadomą spekulację biletami. Szczególnie dotyczy to imprez, na które chce dostać wejściówki



więcej chętnych niż pula biletów. I wtedy zaczynają się kłopoty.

Ostatnio doświadczyli ich fani słynnej brytyjskiej grupy Oasis. Bracia Gallagherowie po 15 latach przerwy postanowili dać serię koncertów. Do końca nie wiadomo, jakie są ich motywy, ale pewne jest, że zarobią na tym gigantyczne pieniądze. Wielu fanów, którzy godzinami próbowali zdobyć bilety na jeden z kilkunastu koncertów zaplanowanych przez nich w przyszłym roku, skarżyło się, że w wyniku dynamicznego ustalania cen zapłacili dwukrotnie więcej, niż wynosiła ich wartość nominalna. Po prostu w pewnym momencie cena biletów gwałtownie wzrosła z 135 do 355 funtów. Oczywiście bracia Noel i Liam oświadczyli, że nic o tym nie wiedzą, a kwestie związane z biletami pozostawiają swoim menagerom. Rozczarowanie i złość były jednak ogromne. Setki fanów złożyły potem zawiadomienia do brytyjskiego Urzędu ds. Standardów Reklamowych (ASA) oraz Urzędu ds. Konkurencji i Rynków (CMA), twierdząc, że Ticketmaster nie poinformował ich wcześniej o stosowaniu tego rodzaju praktyk. Firma broniła się, że „dynamiczne ustalanie cen” ma również miejsce w liniach lotniczych i hotelach, które często zmieniają je w zależności od popytu. Brytyjskie urzędy antymonopolowe zapowiedziały, że „pilnie rozpatrzą” sprawę pod kątem naruszenia przepisów o ochronie konsumentów i stosowania nieuczciwych praktyk handlowych. Muszą ustalić, czy konsument był wprowadzany w błąd co do sposobu prezentowania cen i czy miał informacje na ten temat. Raport w tej sprawie zapowiedziała też Komisja

Europejska. Również ona podejrzewa, że w sytuacji nieuprzedzenia klientów o możliwej zmianie ceny oferowanych biletów przed ich zakupem lub wzrostu ceny po umieszczeniu biletu w koszyku systemu online mogły zostać naruszone dyrektywy unijne.

WOLNY RYNEK CZY MONOPOL?

Największą bitwę Ticketmaster stoczy jednak za oceanem. Afer ze sprzedażą biletów jest tam sporo i zawsze dotyczą gwiazd cieszących się wielkim zainteresowaniem publiczności. Już wiele lat temu fani mieli problemy z kupnem wejściówek na koncerty Bruce’a Springsteena, a rok temu dynamiczne ceny windowały wartość części wejściówek na jego występy do kilku tysięcy dolarów. W 2021 r. Live Nation przejęło udziały u największego organizatora koncertów w Meksyku, sprzedającego ok. 20 mln biletów rocznie. W 2022 r. występ popularnego tam rapera Bada Bunny’ego zapowiadano jako jedno z największych tego rodzaju wydarzeń w historii kraju. Jednak już na miejscu system się zawiesił i tysiące ludzi z ważnymi biletami w rękę nie zostało wpuszczonych na stadion. Okazało się, że powodem kłopotów, oprócz trudności technicznych, było wprowadzenie do obiegu sporej liczby fałszywych wejściówek.

Problemem jest również zawodzący czasem komputerowy systemem ich sprzedaży. Jesienią 2022 r. zakłócono sprzedaż biletów na trasę koncertową Taylor Swift. To ciekawe o tyle, że w tym przypadku zrezygnowano ze sprzedaży biletów „platinum” z ceną dynamiczną, a gdy ludzie ruszyli do kas online, zainteresowanie

milionów fanów zupełnie przerosło możliwości systemu. Dodatkowo większość wejściówek wykupiły boty, a więc „koniki”, którzy odsprzedawali je z wielokrotnym przebicciem, a ceny osiągały pułap nawet kilkunastu tysięcy dolarów.

Wtedy sprawa wywołała zainteresowanie amerykańskich senatorów obu partii, a w kilku stanach natychmiast zakazano używania botów. W maju br. Departament Sprawiedliwości związany z administracją Joe Bidena wraz z prokuratorami generalnymi 30 stanów i okręgów złożył pozew cywilny przeciw Live Nation-Ticketmaster o nadużywanie swojej monopolistycznej pozycji i faktycznej eliminacji konkurencji. Firma kontroluje bowiem ponad 265 obiektów koncertowych w USA oraz dystrybucję ok. 80 proc. rynku biletów. Zgodnie z treścią pozwu zawieranie długoterminowych umów uniemożliwia dużym obiektom korzystanie z usług konkurencji, w wyniku czego amerykańska publiczność jest zmuszona do korzystania wyłącznie z jednego systemu sprzedaży i płacenia wyższych cen niż klienci w innych krajach. „Czas rozdzielić Live Nation-Ticketmaster” – zapowiada rząd.

Tymczasem firma broni się, odrzucając zarzut o stosowanie praktyk monopolistycznych i zarzucając politykom nieznajomość rynkowych realiów. Zwróciła również uwagę na to, że jeszcze w 2010 r. również związana z demokratami administracja Obamy zajęła liberalne stanowisko, zezwalając na połączenie Live Nation i Ticketmaster. Przyznano wtedy, że nie ma podstaw prawnych do kwestionowania fuzji dużego organizatora koncertów z potentatem na rynku dystrybucji biletów. ▀

Nihil obstat

Na to czekano od lat. Watykan wydał opinię w sprawie Medjugorje! – doniosły światowe media. Za zgodą papieża opublikowano notę Dykasterii Nauki Wiary w sprawie Medjugorje, pierwszą oficjalną wypowiedź Kościoła na temat fenomenu, który od 43 lat przykuwa uwagę całego świata. Rzym zezwala na kult publiczny w Medjugorje, uznając, że „pośród tego duchowego zjawiska Duch Święty działa owocnie dla dobra wiernych. Dlatego zachęca się do docenienia i dzielenia się duszpasterską wartością tej duchowej propozycji”.

Byłem w Medjugorje dwukrotnie. Poznałem tam narkomanów, których modlitwy zostały wysłuchane na górze objawień. Anię, która doszła do dna, w jej przypadku było to sprzedawanie swojego ciała przy autostradzie pod niemiecką granicą, i która zawieziona przez kuzyna do Medjugorje właściwie siłą znalazła tu uzdrowienie i miejsce, w którym do dziś pomaga zagubionym. Poznałem też Krzysztofa, który był człowiekiem tak zniewolonym, że nawet zamknięty na swoją prośbę na pięć dni w piwnicy, w której nie był w stanie zrobić sobie krzywdy, dzięki czemu przetrwał ból związany z odstawieniem heroiny, po roku wrócił do brania, mimo iż miał pewność, że w ciągu kilku miesięcy umrze. Gdy z nim rozmawiałem, był czysty od siedmiu lat i pomagał narkomanom w ośrodku ruchu Cenacolo w Medjugorje. Poznałem też Hannę, siostrę zakonną, której pewność o jej powołaniu była darem łaski wymodlonym 35 lat temu podczas wejścia boso na Križevac.

W nocy Dykasterii Nauki Wiary czytamy: „Z Medjugorje związane jest wiele nawróceń, częste powroty do praktyki sakramentalnej (Eucharystia i pojednanie), liczne powołania do życia kapłańskiego, zakonnego i małżeńskiego, pogłębienie życia wiary, intensywniejsza praktyka modlitwy, rozliczne przy-

padki pojednania między małżonkami oraz odnowa życia małżeńskiego i rodzinnego. Należy wspomnieć, że takie doświadczenia pojawiają się głównie w kontekście pielgrzymek do miejsc pierwotnych wydarzeń, a nie podczas spotkań z »widzącymi« w celu uczestniczenia w domniemanych objawieniach”.

Kościół oznajmia nam, że nic nie stoi na przeszkodzie, by przyjeżdżać i modlić się w Medjugorje, nie oznacza to jednak uznania domniemanych nadprzyrodzonych wydarzeń za autentyczne. Czy jest to wyrzeczenie się kryterium prawdy przez Kościół na rzecz użyteczności? Niekoniecznie.

Dziś niektóre orędzia zawierają sprzeczności i elementy, których nie da się zaakceptować. Chodzi o „powracające ostrzeżenia o rzekomo zbliżającym się końcu świata, o napomniennia dla parafii, o nieustanny nacisk na słuchanie orędzi czy o samo wywyższanie się Matki Bożej”. Dykasteria zauważa, że „w niektórych momentach Maryja wyraża zdenerwowanie, bo jej wskazówki nie zostały wykonane. Snuje katastroficzne wizje. Grozi, że objawia się po raz ostatni. W innych miejscach mówi o »swoim planie«, »swoim projekcie«, co jest absurdalne.

Medjugorje przynosi dobre owoce, u początków jego fenomenu leżą więc zdarzenia nadprzyrodzone. Tym bardziej że w związku z kultem w sanktuarium Królowej Pokoju „nie wystąpiły żadne negatywne lub ryzykowne skutki wśród Ludu Bożego”. Jednak z czasem się to zmieniło. I stwierdzenie tego faktu nie oznacza oskarżenia „widzących”. Domieszka błędów pochodzenia naturalnego w dzisiejszych orędziach nie musi wynikać ze złych intencji, ale z subiektywnego postrzegania zjawiska. Jak stwierdzają gdzie indziej dokumenty Dykasterii Nauki Wiary, błędy mogą być „związane z niejasnymi ludzkimi doświadczeniami, teologicznie nieprecyzyjnymi wyrażeniami lub nie-



ROBERT TEKIELI

do końca uzasadnionymi interesami”. Mogą zatem wpływać na nie nieuświadomione pragnienia lub interesy widzących. Mówiąc najkrócej, watykańskie *nihil obstat* oznacza, że do Medjugorje warto pielgrzymować, niekonieczne jest jednak skupianie się na tym, co dziś mają do powiedzenia widzący.

Podczas swojego pierwszego pobytu w stolicy Królowej Pokoju poznałem małżeństwo kanadyjskich milionerów, które po nawróceniu wybudowało w Medjugorje przypominający średniowieczny zamek dom rekolekcyjny dla kapłanów z całego świata. Nancy i Patryk porzucili ekskluzywne życie, luksusy i lukratywne biznesy. Pod wpływem słów Maryi z pierwotnych objawień Patryk, dwukrotny rozwodnik, który na pytanie syna o Boga pokazał mu banknot studencki, po nocy w łzach, przez różaniec i post doszedł do spowiedzi. Dziś z żoną świadczą o miłości Jezusa. Patrząc na ich promieniejące twarze nie miałem cienia wątpliwości, że jej doświadcza. A mówią o niej takimi słowami: „Do wszystkich małżeństw tu obecnych: chcecie naprawdę kochać i być głęboko, bez reszty, kochani przez swojego męża lub żonę? Módlcie się wspólnie różańcem. Przyniesie wam miłość, jakiej nigdy wcześniej nie znaliście i zmieni życie wasze i wszystkich dookoła was w sposób, jakiego nie potraficie sobie nawet wyobrazić”.



WOJNA

CYWILIZACJI

POP KULTURA

Warte Trudno mi sprecyzować uczucie, z którym pozostawił mnie film „Nie!” („Nope”). Zaczyna się jak thriller, potem ewoluuje w zaskakujące połączenie horroru i science fiction. Wchodzimy w historię poprzez malownicze krajobrazy pustynnej części Kalifornii, zderzamy się ze zdjęciami z planu telewizyjnego serialu, którego kolejny odcinek został przerwany masakrą dokonaną przez szympansa, by wreszcie powolną narracją wejść w historię z UFO.

Wszystko jest tym bardziej dziwne, że twórca filmu, reżyser i scenarzysta Jordan Peele, zajmował się dotąd w swej twórczości krytyką społeczną. Pewne jest jednak, że „Nie!” zaskakuje oryginalnością, wychodzi poza sztamę znanych i lubianych hollywoodzkich struktur, gatunków oraz typów scenariuszy.

Masakra, zjawiska paranormalne, upadająca firma wynajmująca tresowane konie na użytek przemysłu filmowego, autystyczny główny bohater, który musi ratować rodzinny biznes po śmierci ojca i ekstrawertyczna siostra głównego bohatera, a do tego sąsiad – koreański kowboj i spadające z nieba monety oraz kluczyki od samochodu wbijające się w drewno werandy i końskie zady.

Po pierwsze więc, napięcie. Bardzo długo nie wiemy, o co tak naprawdę chodzi w tej historii, ale to, co podsuwa nam scenarzysta i reżyser wystarczy, by nie dało się oderwać od ekranu. Film angażuje widza od samego początku, ale właśnie klimatem tajemnicy, bo tak naprawdę nie poznajemy głębszych motywacji jego bohaterów, nie jesteśmy się więc w stanie z nimi utożsamić. Co zresztą dziwne, bo główną rolę gra zdobywca Oscara Daniel Kaluuya, aktor uważany za największą gwiazdę swojego pokolenia.

„Nie!” nie można spojlerować. Powiem więc tyle, że pokazano mi całkowicie oryginalne spojrzenie na tematykę UFO. Ten punkt widzenia jest zupełnie nowy, coś takiego nigdy nie przyszło mi do głowy. Zostałem naprawdę zaskoczony, a nie pamiętam, ile dekad temu była w stanie tego dokonać jakakolwiek hollywoodzka fabuła. Film jest pełen symbolicznych odniesień i wizualnych metafor, być może nawet obejrzę go jeszcze raz, by go w pełni zrozumieć. A to już chyba największy komplement.

Może być Na drugim biegunie można zaś umieścić inny film science fiction, który miałem okazję ostatnio obejrzeć, czyli komedię pt. „Paul”. Jej twórcy nie szczędzili widzom klisz i stereotypów, ale jak na satyrę na teorie spiskowe na temat kosmitów nie jest źle. Film jest tak nonsensowny, że da się go oglądać, a czasami nawet uśmiesznąć. Zderzenie religijnych fundamentalistów ze zwolennikami teorii spiskowych śmieszy, gdy jednak jako pewnik na temat struktury wszechświata prezentuje się materialistyczne i ateistyczne wierzenia, przestaje być śmieszne. Wyluzowany freak – kosmita kpi z samej idei religii, tak samo jak dla naszych celebrytów zafascynowanych energiami i amuletami jest ona dlań zaściankowa i zwyczajnie głupia. Ale to nie jest najważniejszy z wątków, jeśli ktoś lubi typ humoru reprezentowany przez duet Simona Pegga i Nicka Frosta, będzie więcej niż usatysfakcjonowany filmem.

Spointuję dialogiem z serialu telewizyjnego „Młody Sheldon”:

- Więc nie wierzysz w Boga? – pyta Sheldon.
- To nie jest coś, czym musisz się martwić – odpowiada jego mama.
- Czy wiesz, że gdyby grawitacja byłaby odrobinę silniejsza, wszechświat zwinąłby się w kulę?
- Nie wiedziałam.
- A gdyby grawitacja była trochę słabsza, wszechświat by się rozpadł, nie byłoby gwiazd ani planet.
- Do czego zmierzasz, Sheldon?
- Chodzi o to, że grawitacja jest dokładnie taka, jaka powinna być. A gdyby stosunek oddziaływania elektromagnetycznego do oddziaływania subatomowego mocnego był inny o zaledwie 1 proc. życie by nie istniało. To wszystko dzieje się samo z siebie.
- Dlaczego próbujesz mnie przekonać, żebym uwierzyła w Boga?
- Precyzja wszechświata sugeruje, że logicznie można założyć istnienie Stwórcy. Na planecie żyje 5 mld ludzi, a ty jesteś dla mnie idealną mamą. Jakie są na to szanse?

Kurtyna, ateści. Kurtyna.

Robert Tekieli, Polskie Radio

POP KULTURA

Obudź się, Europo!

Europica już swą nazwą przywodzi na myśl dwa skojarzenia: Metallicę i Europę, będąc muzycznym ukłonem w stronę europejskiej tradycji wyrażonym w postaci chemicznie czystego heavy metalu. Gatunku tak europejskiego, w formie klasycyzującego i „reakcyjnego”, jak i po prawdzie epigońskiego, choć, przynajmniej, wciąż mającego spore rzesze zaprzysięgłych zwolenników. Tym bardziej że ułatwienia technologiczne kuszą wielu muzyków do sięgania po formy bliskie symfonicznym.

Płyta jest ponownym spotkaniem międzynarodowego towarzystwa, które słynnym folk rockowym utworom węgierskiej Kárpáti nadało metalowego połysku. Utworów tych, poddanych dynamicznej obróbce aranżacyjnej i choć stylistycznie całkowicie jednorodnych, bo zmontowanych z jednolitych stalowych riffów, połyskujących niklem efektownych solówek i wtórem łomotliwego metrum perkusji, słucha się znakomicie. János Petrás z zespołem odgrywa tutaj głównie swe linie basowe, ale jak słysząc, czuwa nad wszystkim, tym bardziej że całość spina realizacyjny pietyzm wydobywający selektywne brzmienia, silnie eksponujące melodykę, ale niegubiące siły płynącej z utworów sztafardowej kapeli madziarskiego rocka narodowego. I nieważne, że jak w przypadku „Fire Follows in His Steps” z wokalem Björna Lodina ze szwedzkiego Baltimoor mamy tutaj nieustanne podobieństwa – Iron Maiden albo Metallica przebijającą się przez Judas Priest czy echami gitar Saxon. Bo w nagraniach wzięli udział świetni metalowi wokaliści, tacy jak choćby znakomity Fabio Lione znany z Rhapsody Of Fire czy Ralf Scheepers, występujący z Gamma Ray. Ale jest też polski akcent – w dwóch kawałkach słyszymy Tomasza Bielińskiego z Hortynicy, choć nie jestem pewien, czy śpiewa samodzielnie, czy

wspomaga się tajemniczymi modulatorami głosu. To ważne, bo szczególnie dwaj pierwsi to klasa w swoim gatunku, dysponujący jakże charakterystycznym stylem. Scheepers, popisujący się partiami opartymi na wysokich rejestrach, czasem wpadającymi w falset, ludzko wręcz przypomina Roba Halforda, a Lione udanie próbuje swych możliwości w heavy-operze („Heroes”), dowodząc, że może śpiewać nawet tenorem. Już pierwsza płyta z sprzed siedmiu lat, nagrana według tego samego pomysłu, była sygnowana wizerunkiem mitycznej Europy dosiadającej byka. Okładka najnowszej wyraża raczej obawę o to, jaka przyszłość spotka w niej nasze dzieci. Bo jak mówią słowa jednego z utworów: „Los znajdzie nas na polu bitwy”.

Europica, „Part Two”, Exkluziv Music Kiadó 2024



Maciej Walaszczyk

W tym roku mija 150. rocznica urodzin Hugona von Hofmannsthal – wiedeńcyka, poety, prozaika i librecisty oper Richarda Straussa. Od swego debiutu w wieku 16 lat szukał remedium na alienację i przeświadczenie o schyłku kultury mieszczańskiej w kulcie piękna, charakterystycznych dla tego czasu interpretacjach podświadomości, sięgania do Nietzschego i najnowszej literatury. W tym tomie znajdujemy tytułową „Księgę przyjaciół”, będącą zbiorem znakomitych aforyzmów, oraz kilka charakterystycznych szkiców i esejów. Wszystkie, mieniąc się wieloma ukrytymi znaczeniami i nosząc piętno irytującego czasem estetyzmu oraz snobizmu, zostały przetłumaczone i opatrzone nieodzownymi komentarzami przez Pawła Hertza. To m.in. poetyckie wspomnienie o Raoulu Richterze, wykładowcy filozofii i pierwszym edytorze „Ecce Homo”, czy stylizowany poetycką prozą „List” lorda Chandosa, fikcyjnej postaci, w której precyzyjniej niż ktokolwiek inny opisał przejawy kryzysu kultury przełomu wieków – kryzysu zwanego nowoczesnością. Momentu, w którym pędzący życie bezduszne i bezmyślne człowiek utracił zdolność „spójnego myślenia i mówienia o czymkolwiek”. Jest też ciekawe polonicum ku czci hr. Karola

Esteta tradycji



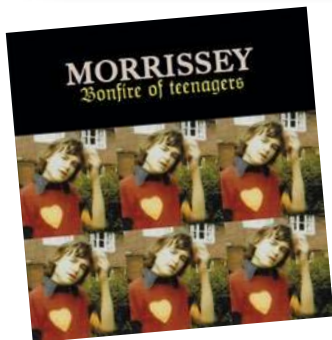
Lanckorońskiego. Poeta wielokrotnie odwołuje się do dzieła Honoriusza Balzaka. Wykreowany przez niego panoramiczny obraz porewolucyjnego świata, ludzi i ich losów sportretowanych w „Komedii ludzkiej” okazał się idealnym opisem nieładu wielkomięskiej cywilizacji. To największa epicka koncepcja nowoczesnego świata, wizja nie mniej mroczna niż u Szekspira – zauważał Hofmannsthal, podkreślając, że Balzak opisał w niej wszystkie choroby duszy toczzonej przez „prerażającą potęgę, filozofię i mit pieniądza”.

Pod koniec życia, w 1927 r., wygłosił na Uniwersytecie Monachijskim słynną mowę, w której użył oksymoronu – rewolucja konserwatywna. W polityczno-kulturowym wymiarze rozumiał ją jako skierowanie życia narodu między przeciwnymi tendencjami: arystokratyczną i konserwatywną oraz niwelującą – rewolucyjną. Przekonanie o takim przebiegu nowocześnieści pobrzmiewa również w tych tekstach powstających zanim wybuchła Wielka Wojna, w wyniku której rozpadła się jego ukochana monarchia Habsburgów. Dzień

jego pogrzebu był bowiem ostatecznym pogrzebem starej Austrii.

Hugo von Hofmannsthal, „Księga przyjaciół i szkice wybrane”, Próby 2024

Morrissey na cenzurowanym



Przemysł muzyczny od ponad trzech lat blokuje wydanie płyty Morrisseya. Zawiera ona piosenkę o zamachu terrorystycznym w Manchesterze. „Znaleźliśmy się w uścisku kultury idiotów” – tłumaczy piosenkarz

W zeszłym roku Morrissey nagrał swój 15. solowy album pod wymownym tytułem „Without Music the World Dies” („Bez muzyki świat umiera”). To na niej znajduje się piosenka „Notre-Dame”, w której oskarża muzułmanów o podpalenie paryskiej katedry i ukrywanie tego faktu przez francuskie władze. „Już przed śledztwem/Mówili »To nie terrorizm!«” – śpiewa Morrissey. Choć by była jasność, nigdy nie miał on nic wspólnego z żadną prawicą. To wieczny buntownik i uroczy narcyz, a do tego wegetarianin nie lubiący rodziny królewskiej, krytykujący Kościół czy Donalda Trumpa. Był jednak zwolennikiem brexitu, komplementował Nigela Farage’a i w ciągu ostatnich kilkunastu lat wiele razy otwarcie krytykował masową imigrację.

Absurd polega na tym, że w świecie zadekretowanej wolności słowa zabrakło jej także dla niego. Zanim ukazała się wspomniana wcześniej płyta, jako 14. solowy album byłego wokalisty The Smiths została nagrana „Bonfire of Teenagers”. Jednak od ponad trzech lat nie ujrzała światła dziennego. Nie wydało jej ani BMG, ani będący częścią Universal Music Group Capitol Records. Dodatkowo jedna z śpiewających na niej wokalistek poprosiła o usunięcie jej głosu z jednego z utworów. Właśnie z powodów politycznych. W kwietniu po „długiej, ciężkiej i krwawej wojnie” Morrissey ogłosił, że odkupił prawa do płyty i być może w najbliższym czasie ukaze się ona na rynku. Choć okoliczności, w jakich się to wydarzy, są bardzo interesujące. Artysta od lat nie rozmawia z mediami, a to, co chce powiedzieć, komunikuje niemal wyłącznie przez portale społecznościowe. Jednemu z reporterów „The Telegraph” udało się jednak nawiązać z nim kontakt. W długim e-mailu wysłanym ze swojego domu w Los Angeles oświadczył, że powodem opóźnienia jest istnienie nieoficjalnej, ale realnie istniejącej cenzury, a on czuje się przez nią „knebowany”, ponieważ jego dotychczasowe poczynania na scenie opierały się na wolności słowa.

Tytułowy utwór opowiada bowiem o ataku terrorystycznym na Manchester Arena w 2017 r., kiedy po koncercie Ariany Grande zamachowiec samobójca arabskiego pochodzenia zabił 22 osoby i zranił ponad 1 tys. W piosence Morrissey skrytykował m.in. postawę mieszkańców miasta, którzy na czas żałoby za swego rodzaju hymn solidarności obrali „Don’t Look Back in Anger” („Nie oglądaj się za siebie w gniewie”) grupy Oasis. Jak twierdzi, to dowód powszechnego zidiocenia brytyjskiego społeczeństwa, które, wyrażając żal w takich właśnie słowach, umniejszyło powagę zamachu, który był brytyjskim 11 września. „Zapewniam cię, że będę wspominał to ze złością aż do dnia mojej śmierci” – śpiewa w piosence Morrissey. Zadeklarował też, że nie usunie jej z płyty choćby ze względu na pamięć zamordowanych w zamachu dzieci, ale również dlatego, że byłby to akt autocenzury oznaczający zwycięstwo panującej wokół „kultury idiotów”. Jego zdaniem we współczesnej Anglii nie ma już wolnych mediów, kogokolwiek, z kim mógłby usiąść i o tym porozmawiać, jak podkreśla, wszyscy stali się zakładnikami ludzi, którzy sprzeciwiają się wszelkim odmiennym opiniom. Tymczasem płyta wyprodukowana przez laureata Grammy Andrew Watt’a, „geniusza produkcji muzycznej” odpowiedzialnego m.in. za ubiegłoroczną płytę Rolling Stonesów, staje się nieistniejącą legendą. Niestety jej wydania przestraszyli się wszyscy najważniejsi wydawcy w Londynie, choć podobno zgodnie przyznawali, że jest arcydziełem. Obawiali się po prostu, że „Guardian”, a więc brytyjski odpowiednik „Wyborczej”, zamieni ich życie w piekło. Sam Morrissey padł już kiedyś ofiarą „niewyczerpanej kampanii nienawiści” ze strony tej lewicowej gazety, gdyż miał czelność

poprzeć antyimigrancką partię For Britain. Jeden z operatorów linii kolejowych usunął nawet wówczas z wagonów reklamy płyty „California Son” z 2019 r. Gdy Morrissey był zagorzałym antyroyalistą, antythatcherystą i obrońcą praw zwierząt, szybko stał się ulubieńcem lewicowej prasy. Gdy wyraził inne zdanie, zderzył się z systemem, który, jak przestrzegał Orwell, jest teokracją, a rządząca nią kasta musi posiadać aureolę nieomyślności. ▀





KATE WINSLET

AKTORKA

Hollywoodzkie fettuccine

W najnowszej kinowej odsłonie pokazała się w roli inspiratorki, producentki i głównej aktorki filmu „Lee. Na własne oczy”. To historia korespondentki brytyjskiego „Vogue’a”, a wcześniej wziętej modelki i muzy artystów, która postanowiła pokazać grozę i cierpienie II wojny światowej, stając po drugiej stronie obiektywu.

W trwającej wiele lat drodze do realizacji filmowego projektu ciekawą rolę odegrał... kuchenny mebel. Aktorka tak o tym opowiada: „Mój dobry przyjaciel, który mieszka w Kornwalii i pracuje w domu aukcyjnym, zadzwonił do mnie i powiedział: »Kate, wystawiamy na nadchodzącą aukcję wyjątkowy stół. Historia, która się za nim kryje, jest niesamowita!«. Znając moje zamiłowanie do gotowania i urządzania ogromnych kolacji, a także do starych stołów, mój przyjaciel wiedział, że ta oferta mnie zaintryguje. Kupiłam go. Jest piękny. Stary i sękaty, z szorstką, nierówną powierzchnią. Mieści się przy nim około ośmiu osób!».

Okazało się, że mebel należał do Annie Penrose, szwagierki Rolanda Penrose’a,

który później został mężem Lee Miller. Stół był centralnym elementem kuchni domu, w którym Lee spędziła wiele letnich dni w Kornwalii w towarzystwie takich osobistości, jak Max Ernst, Noël Coward czy Paul Éluard. W powojennych latach Lee zasnęła w artystycznym środowisku jako organizatorka niezapomnianych przyjęć, niezwyklej zarówno pod względem kulinarnym, jak i aranżacyjnym.

W różnorodnej filmografii Winslet znalazła się też rola kulinarna (za którą w 2012 r. aktorka dostała zresztą statuetkę Złotego Globu). Akcja serialu „Mildred Pierce” rozgrywa się w latach 30. ub.w. By utrzymać siebie i córki, tytułowa bohaterka zatrudnia się w miejscowej restauracji i rozwija tam kulinarne skrzydła.

A jednak to nie dania związane z tamtą produkcją najsmakowiciej kojarzą się z bohaterkami Kate. Dla wielu fanów najcieplejszą z jej ról jest ta zagrana w przypominanym niemal co roku przeboju „Holiday” (2006). Filmowa Iris przygotowuje tam „święteczne fettuccine”.

Jak zauważa autorka bloga „Kino i kuchnia”, fettuccine to

nazwa samego makaronu, a na ekranie przedstawiono fettuccine alfredo. Potrawę znaną w pierwotnej wersji (makaron z masłem i parmezanem) już w XV w. (nazywaną maccaroni romaneschi), pod koniec XIX w., udoskonalił Alfredo di Lelio. Dodał potrójną porcję masła („fettuccine al triplo burro”) i właśnie tą wersją oczarował ponoć Mary Pickford oraz Douglasa Fairbanksa, gdy podczas podróży poślubnej trafili do jego restauracji. Danie zaprezentowane w filmie „Holiday” (którego akcja rozgrywa się w Los Angeles) jest wersją amerykańską, dlatego w przepisie pojawiła się śmietana.

Jolanta Gajda-Zadzworna

Fettuccine z filmu „Holiday” (przepis z bloga „Kino i kuchnia”)

Składniki (na sześć porcji): 0,5 kg makaronu fettuccine, 2 półki szklanki gęstej śmietany, 1/2 szklanki soku z cytryny, 12 łyżek masła, 2 szklanki tartego parmezanu, 2 łyżeczki startej skórki z cytryny, szczypta gałki muszkatołowej, sól, pieprz.

Wykonanie: ugotuj makaron w dużym garnku w lekko osolonej wodzie al dente. Odcedź. Wymieszaj w dużym garnku dwie szklanki śmietany i sok z cytryny, dodaj masło i podgrzewaj na małym ogniu, aż masło się roztopi. Mieszaj od czasu do czasu. Dodaj makaron i resztę śmietany oraz parmezan, skórkę z cytryny, gałkę, sól i pieprz. Wymieszaj, podgrzewając makaron w garnku. Trzymaj na małym ogniu około minuty, aż sos oblepi makaron.



Fot. Monolith Films, Shutterstock



SŁODKO-SŁONY

Najlepsi w Polsce

ANNA MONICKA

Kiedy po raz pierwszy zrobiłam u nich zakupy? Kilkanaście lat temu – latem szukałam porządnych ogórków do kiszenia. Ciotka poradziła mi odwiedzić u młodych gospodarzy, którzy uprawiają ziemię na skraju wsi Żeliszewo, do której wyprowadziła się ze Szczecina. „Harują oboje jak woły, wiecznie umorusani błotem, w sezonie nie dosypiają, tylko wciąż pracują i pracują, a syn – dzieciak jeszcze – razem z nimi – opowiadała. – Na wakacje nawet nie jeżdżą wtedy, gdy u nas ciepło, bo nie mogą zostawić gospodarstwa. A jak się wreszcie gdzieś wyprawia – to wybierają takie trasy, żeby w różnych zakątkach świata poznawać innych ekologicznych rolników. Żeby wymieniać się doświadczeniami i szukać nowych pomysłów”.

Ogórki kupowałyśmy u Dobrodziejów (bo takie mają „marketingowe” nazwisko) zawsze na skrzynki, a potem robiłyśmy przetwory w ogrodzie przy studni. Miałam dla siebie na zimę i dla przyjaciół na prezenty. Nigdy się nie zdarzyło, żeby nie wyszły. Zawsze twarde i chrupiące. Do domu wiozłam zwykle pełen bagażnik zapasów: ziemniaków, buraków, włoszczyzny, cebuli, ziół. Później pani Małgosia i jej mąż Sławek zaczęli robić przetwory – zupy w słoikach, kapustę, dynię, wegańskie dania. Otworzyła sklepik – pojawiła się mąka i wspaniałe domowe chleby. Kupowałam je na zapas i mroziłam, żeby wystarczyły na jak najdłużej. Bardzo im kibicowałam i zawsze, gdy tylko było to możliwe, zapelniałam samochód po dach warzywami z ich pola, zadowolona, że mam dostęp do wyhodowanego ekologicznie jedzenia. Owszem, ich przetwory można było znaleźć gdzieś w „alternatywnych” zieleniakach, ale zupełnie czymś innym jest kupowanie u gospodarza, rozmowa z nim, obejrzenie miejsca, w którym wyrasta twoje pożywienie.

Piszę o tym dlatego, że kilka dni temu na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie odbyła się impreza, w czasie której nagradzano najlepszych ekologicznych gospodarzy w Polsce. Małgosia i Sławek Dobrodziejowie reprezentowali województwo zachodniopomorskie. I zajęli pierwsze miejsce. Ja od dawna wiem, że nie mają sobie równych. Gratuluję dobrej roboty, na szczęście popłaca. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Czy warto zbierać?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pytanie w tytule tego artykułu dotyczy grzybów. I żeby nie trzymać państwa w niepewności, od razu powiem, że nie – nie warto zbierać grzybów. Ta kontrowersyjna opinia wynika z prostej biologicznej analizy zysków i strat. Jakie są zyski ze zbierania grzybów? Pierwszą i najważniejszą jest ruch na świeżym powietrzu. Wyjście na grzyby to często jedyna outdoorowa rozrywka dla całej rodziny. W dzisiejszych czasach spacer po lesie jest nie do przecenienia. To odstawienie na chwilę smartfona, zrezygnowanie z auta, podjęcie wysiłku fizycznego, obcowanie z przepięknym i zdrowym środowiskiem leśnym.

Drugim zyskiem, jednak już znacznie mniej jednoznacznym, jest zysk finansowy. Kuszące jest to, że wyjście na grzyby to nie zwykły spacer, lecz wypad, z którego można przynieść do domu coś, co w sklepie jest warte 600 zł za kilogram (po wysuszeniu). Nie w kij dmuchał! Jeżeli jednak poznamy argumenty przeciw grzybobraniom, to ten plus mocno przesłonią nam minusy.

Wreszcie – może grzyby mają dużą zawartość witamin czy składników mineralnych, ale podczas obróbki cieplnej tracą te właściwości. Poza tym coś, co najpierw trzeba cienko pokroić, następnie suszyć, potem sparzyć, a w końcu długo gotować, powinno wzbudzać naszą podejrzliwość.

Największym minusem grzybobrania jest pewien mały szczegół decydujący o ludzkim życiu. Tym detałem jest charakterystyczny pierścień przy trzonie grzyba. U śmiertelnie trującego muchomora jest nieruchomy i przyrośnięty, u kani można go przesuwac. Co roku myli się tysiące osób. Jeżeli w grzybobraniach bierze udział 1 mln obywateli RP, oznacza to, że co tysięczny z nich zatruje się grzybami. Nie warto ryzykować.

Co więcej, grzyby są zbudowane z niestrawnej dla człowieka chityny. To, co obrzydza nas w owadach, powinno odstraszać od grzybów. Smakowicie wyglądające owocniki, z których robimy sosy, zupy, pizzę itp. zawierają ponadto wielkie ilości metali ciężkich: ołowiu i kadmu. Żaden z produktów ze sklepowej półki nie mógłby w Polsce zawierać takich ilości tych pierwiastków.

W tym roku powiedzmy grzybom: „Nie”. Nie rezygnujmy jednak z jesiennych spacerów po lesie. Pod hasłem wyjście na grzyby niech będzie wspólna wycieczka ze znajomymi lub rodziną za miasto w celu zażycia superzdrowej kąpieli leśnej. Jeżeli jednak ktoś musi zbierać grzyby, niech zrezygnuje z blaszkowych i zbiera wyłącznie te z gąbką pod kapeluszem. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Polska pod Gauleiterem

Przypomnę ważny podział ideowo-polityczny sprzed lat: podział na Polskę solidarną i liberalną. Ta dychotomia nie miała tylko propagandowego, wyborczego charakteru. Jej podłoże jest historyczne, związane z rzeczywistością PRL, państwa pozbawionego suwerenności, zdominowanego przez komunistów. I taką Polskę chciało zmieniać Prawo i Sprawiedliwość. Dziś nadal ścierają się te dwa obozy. Jeśli jeden, symbolizowany przez PiS, obniża nadmiernie wysokie emerytury byłym esbekom do średniej krajowej, drugi, czyli obecna Koalicja Obywatelska, przywraca poprzednią wysokość świadczeń. Sumy idą w miliardy. Gdy rząd Mateusza Morawieckiego podjął się obrony kopalni Turów, jej zasobów energetycznych dających 9 proc. energii krajowej oraz tysięcy miejsc pracy, gabinet Donalda Tuska po skargach niemieckich ekologów przy pomocy przychylniej liberalom nadzwyczajnej kasty decyduje o zamknięciu kopalni w 2026 r. Pada też zapowiedź zamknięcia w przyszłym roku kopalni Bobrek. Pamiętna walka rządu PiS, szczególnie śp. prof. Jana Szyszko, o dobrostan naszych lasów kończy się oddaniem pod zarząd ekologom 20 proc. lasów. Będą o nie dbali tak, jak zadbało o zabezpieczenie przeciwpowodziowe nowe kierownictwo państwowej spółki Wody Polskie, wy-czyszczzone z fachowców podejrzanych o „pisowskie odchylenie”. Tak się dzieje, gdy do władzy dochodzą kompletni dyletanci ślepo posłuszni władzy Gauleitera.

Odra nie zostanie uregulowana, gdyż umożliwiłaby Polsce rozwój transportu. A poza tym wysoka woda gdzieś się musi wylewać, najlepiej po polskiej stronie. Jeśli powstanie port kontenerowy w Świnoujściu, a według planów poprzedniego rządu miał być największym hubem przeładunkowym na Bałtyku, to na podstawie ustaleń nowego gabinetu będzie to mały port, bo pozbawiony infrastruktury kolejowej. Nie ma zielonego światła także dla rozbudowy terminalu LNG w Świnoujściu, bo na niemieckiej wyspie Rugia w porcie Mukran buduje się pływający terminal LNG połączony gazociągiem z portem w Lubminie. Budowę i eksploatację zajmują się firmy obsługujące niemiecko-rosyjski gazociąg Nord Stream 1. Nie będzie elektrowni atomowych, gdyż w niemieckich planach energetycznych atom został skasowany, a Polska będzie zależna od prądu z Niemiec. Nie powstanie też CPK. Co najwyżej lokalne lotnisko, bo bez kolei szybkich prędkości, która miała zapewnić łączność lotniczego portu z wszystkimi największymi miastami Polski.

Polska pod Gauleiterem w interesie Niemiec wstrzymuje rozwój gospodarczy kraju i zadłuża go. Zaplanowany deficyt budżetowy w 2024 r.

ma wynieść prawie 165 mld zł. Prognoza dochodów budżetu państwa to ponad 683 mld zł, spadają przychody spółek skarbu państwa, w tym gwałtownie zyski ORLEN. Zmniejszają się wpływy z podatku VAT. Nie podaję danych, gdyż Ministerstwo Finansów powróciło do kreatywnej księgowości. Dane mają się podobać rządzącym, a obywatelom w państwie Gauleitera nic do tego.

A czy obywatelom podobają się wpłaty na fundację Jerzego Owsiaka? Czy Owsiak, zwany pieścizotliwie Jurkiem, i jego WOŚP to rzeczywiście „najwybitniejszy specjalista od szybkiej pomocy dla ludzi”, jak powiedział premier Tusk? A może jest tak, że spółki skarbu państwa, jak LOT, PKP, PZU, dostały zalecenie od rządu wpłacania milionów na WOŚP na „najpilniejsze zakupy sprzętu i artykułów medycznych”. A więc chodzi o zakupy. W tym Owsiak był i jest najlepszy. I na pewno nikt go nie będzie kontrolował, za ile i u kogo kupuje. Nikt go nie oskarży o udział w „zorganizowanej grupie przestępczej” jak twórców Funduszu Solidarności. Nie będą zatem potrzebne publiczne przetargi.

Uważam, że uruchomienie Owsiaka to jeszcze jeden dowód na kapitulację państwa Tuska. Czy pieniądze na pomoc samorządom nie powinny wpływać bezpośrednio na konta samorządów dotkniętych klęską? Pytanie retoryczne.

Wracając do wspomnianej politycznej dychotomii. Gdy obóz Polski solidarnej domaga się zatrzymania fali nielegalnych emigrantów, obóz Polski liberalnej przymyka oczy na nielegalne wrzucanie z Niemiec do naszego kraju tysięcy emigrantów z Afryki, Azji i Bliskiego Wschodu.

Ilu ich jest już w Polsce? Nie wiadomo. Niemcy odmawiają wszelkich informacji, to samo robią wierni urzędnicy Tuska. A premier zapewniał, że nie przyjmie emigrantów w ramach żadnego mechanizmu. Kłamał jak zawsze.

Gdy Polska solidarna doceniała znaczenie Kościoła w państwie i uczestniczyła w jego życiu, liberalna Polska Tuska przystępuje do walki z Kościołem pod hasłem likwidacji przywilejów. W rzeczywistości łamie kolejne prawo, tym razem międzynarodowe, gdyż konkordat między Stolicą Apostolską a Polską przewiduje m.in. prawo Kościoła do aktywności w zakresie działalności humanitarnej, w tym do zakładania fundacji. Uwieczony i torturowany ks. Michał Olszewski, prezes katolickiej Fundacji Profeto, i dwie niewinne urzędniczki obsługujące Fundusz Solidarności są tragicznymi ofiarami rządów „liberalnego” Gauleitera. I trzeba o tym pamiętać.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Dzień Uzbrojeniowca

Historia może wydawać się co najmniej dziwna. Otóż największy propagandysta Kremla Władimir Sołowiow, prowadzący „na żywo” swoją audycję w kanale telewizyjnym Rossija 1, dopuścił do głosu wojskowego eksperta, który niespodziewanie przyznał, że rosyjska armia ustępuje natowskiej we wszystkich dziedzinach działań konwencjonalnych i bez użycia broni jądrowej nie ma żadnych szans w bezpośrednim starciu. Do tak daleko idącej oceny posunął się Michaił Chodardjonok. Na pytanie Sołojowa o możliwość wygrania z blokiem NATO ocenił on, że szanse na to są zerowe. Sojusz Północnoatlantycki kilkakrotnie przewyższa bowiem Rosję „we wszystkich dziedzinach”. Ta przewaga dotyczy przede wszystkim potencjału militarno-gospodarczego, który w przypadku Rosji jest kilkakrotnie mniejszy w porównaniu do państw natowskich. Według Chodardjonoka z tego powodu jakakolwiek konwencjonalna wojna przeciwko NATO, a więc bez użycia broni jądrowej, byłaby przegrana. Mylili by się jednak ten, kto twierdziłby, że jest to pozytywna metamorfoza Sołowiowa. Ten wyszczekany kacap winę za nawet największe klęski Moskwy próbuje zrzucić na zbyt delikatne podejście do wojny oraz na zdrajców lub „idiotów”, którzy nadal mają prawo wypowiadać się w mediach. Ale pojawiła się też szansa, że Kreml powoli zaczyna przygotowywać swoich poddanych na nadchodzącą porażkę, bowiem straszak z atomem działa już tylko na wyjątkowo pożytecznych durniów zamieszkujących szeroko pojęty Zachód. Użycie przez bandyterkę, która rządzi Kacapią, „atomicy” spowoduje w odwecie rozwałkę imperium, za jakie uważają swoje państwo włodarze na Kremlu.

Napoleon sądził, że każda wojna powinna trwać jak najkrócej przy minimalnych stratach własnych. Często jest to niemożliwe, czego przykładem jest inwazja Kremla na Ukrainę. Ostatnio Tryzuby zaatakowały platformę wiertniczą Krym-2 na Morzu Czarnym. Uderzenie ukraińskich komandosów z Głównego Zarządu Wywiadu (HUR) zostało przeprowadzone w nocy 11 września stosunkowo dużymi siłami. Najpierw ukraińskie F-16 zaczęły się na ruską „sukę” (samolot Su-30 SM). Zasadzka się udała i lot Moskale jak Pan Bóg przykazał dość szybko zakończył się w wodzie. I tyle było ukraińskich sukcesów. Tymczasem po morzu w kierunku platformy mknęło na 14 łodziach motorowych Willard Sea Force uzbrojone w wielkokalibrowe karabiny maszynowe M2 Browning 12,7 mm, ok. 160 świetnie wyszkolonych specjalsów. Nie wiadomo, co dokładnie wydarzyło się w okolicach platformy Krym-2. Moskale, ale również Tryzuby nie są zbyt wylewni w tej kwestii. Wiadomo jednak, że dla Ukraińców operacja nawodna zakończyła się fiaskiem. Kacapy zatopiły siedem łodzi, a ok. 80 atakujących komandosów poległo śmiercią żołnierza. Poważna strata, gdyż byli to świetnie wyszkoleni wojownicy. Grecka bogini losu Fortuna sprzyja śmiałym. Ale nie tym razem. Widać wyjątek potwierdzający regułę.

Kacap obchodził niedawno Dzień Uzbrojeniowca. To wspaniałe święto. Może nawet



Andrzej Rafał Potocki

przejdzie do historii. U nas zapewne obchodzono by je w domach bez kłamek, ale ponieważ Federacja Moskiewska to jeden wielki szpital wariatów, Dzień Uzbrojeniowca jest tam świętem państwowym. W br. zorganizowano wyjątkowo huczne obchody. Czego tam nie było! Nowe armaty, pociski hipersoniczne, drony wszelkiej maści i zestawy przeciwlotnicze Pancyr. Jednak clou (gwóźdź) programu miał mieć miejsce na poligonie w Plesiecku. Przygotowano mianowicie test potężnej międzykontynentalnej rakiety balistycznej RS-28 Sarmat. Wprowadzenie tych pocisków zapowiedział osobiście Władimir Putin jeszcze w marcu 2018 r. Już w 2021 r. miały one wymienić wszystkie (!) kacapskie rakiety balistyczne startujące z silosów naziemnych. Ale jak to u Ruskich. Choć oficjalnie wprowadzono je do uzbrojenia, testów nie udało się przeprowadzić aż do Dnia Uzbrojeniowca. Jankesi skierowali na wyrzutnie swoje satelity i z zapartym tchem obserwowali próbę. Ledwo rzucili okiem na monitory i ryknęli takim śmiechem, że zatrzęsły się ściany Pentagonu. Po kilku sekundach, zanim Sarmat opuścił silos, ujrzeli potężną eksplozję. Moskiewska Wunderwaffe wywaliła w powietrze sama siebie razem z wyrzutnią. Kiedy rozwił się dym, po teście pozostał tylko lej o średnicy kilkudziesięciu metrów. Nie wiadomo, który z kremlowskich naukowców konstruktorów doprowadzi w końcu do udanej próby systemu RS-28, bo do tej pory żadnego nie udało się zidentyfikować.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Mój Wańkowicz

Moje spotkanie z Melchiorom Wańkowiczem zaczęło się dość specyficzne. Bodaj w piątej klasie podstawówki przyniosłem ze szkoły dwujęzyczne wypracowania. Moja mama mogła znieść sporo, ale lufy z polskiego za żadne skarby. Przy okazji stwierdziła, a podsłuchałem jej rozmowę z ojcem, że mój język jest nieporadny i trzeba się za to zabrać, bo daleko z takimi braćmi nie zajdę. Dobrze radziłem sobie z matematyki, dobrze z przedmiotów przyrodniczych i bardzo dobrze z historii, którą uwielbiałem. A „polaka” ignorowałem.

Mama postanowiła zmienić ten stan rzeczy tyleż radykalnie, co dość specyficznie. Wyjęła z biblioteczki książkę i dała mi dwa tygodnie na jej przeczytanie, a potem dokładnie mnie z niej odpytała. Było to „Tworzywo” Wańkowicza, najwspanialsza lektura dzieciństwa. Literackie arcydzieło. Oczytany w Karolu Mayu czy „Tomkach” Szklarskiego nie miałem pojęcia, że można tak pisać. Pochłoniąłem „Tworzywo” niemal jednym tchem, znacznie szybciej niż w dwa tygodnie. Język Wielkiego Melchiora zrobił na mnie przeogromne wrażenie. Tam każde zdanie ważyło, każde słowo miało swój ciężar. Nie dało się ślizgać po tekście. Jakaż to była przyjemność czytania!

Zaraz potem przeczytałem „Szczenięce lata”, a później ruszyła lawina. Przeczytałem wszystko, co napisał Wańkowicz. W latach dziewięćdziesiątych udało mi się zdobyć mediańskie wydanie „Bitwy o Monte Casino”. Jakże różniły się te tomy od tego, co wydano w PRL. Cenzura niszczyła dzieła Mistrza najsukuteczniej, jak mogła.

Czytanie Wańkowicza, a potem o Wańkowiczu zajęło mi ponad dwie dekady. Jego reportaże meksykańskie i amerykańskie czytałem z mapą, a czasami z encyklopedią. W Meksyku wędrowałem jego śladami. Można powiedzieć, że przez 20 lat oprócz książek związanych z pracą naukową czytałem tylko Wańkowicza. W zasadzie jeszcze nie skończyłem, bo wracam do nich i wciąż uczę się polszczyzny. W dorobku Mistrza nie ma bowiem książek nieważnych, możliwych do pominięcia.

Po kilku latach mama zabrała mnie na spotkanie z Melchiorom Wańkowiczem. Ależ to było przeżycie! To było pierwsze moje spotkanie z prawdziwym pisarzem i od razu z postacią dla mnie już wtedy legendarną. Spora salka wy-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Ten wielki mistrz słowa
winien stać się
wychowawcą, mentorem
polityków, dziennikarzy,
gwiazd*

pełniona była po brzegi. Mistrz najpierw zrobił długi wykład o sztuce reportażu, o własnym warsztacie pisarskim, a potem odpowiadał na pytania. Odpowiadał obszernie, z anegdotami, dowcipkował i był serdeczny. Długie siwe włosy spływały mu na kołnierz i czyniły w moich oczach jakimś półbogiem, postacią z innej planety. Niestety nie pomyślałem wówczas, że można było zabrać z domu „Tworzywo” i poprosić o autograf.

Jest jeszcze jedna strona pisarstwa Wańkowicza – to kwestia opisu zdarzeń społecznych i na tym tle śledzenie losów ludzkich. Nic więc dziwnego, że na swoich seminariach uczyniłem „Tworzywo” lekturą obo-

wiązkową, podobnie jak „Kundlizm” czy „Na tropach Smętka”. Z książek Wielkiego Melchiora można się uczyć pewnej sprawności w relacjonowaniu spostrzeżeń, budowaniu skojarzeń, myślenia implikacyjnego. Wańkowicz bowiem był także bardzo skrupulatnym socjologiem i nie mniej kompetentnym psychologiem. Z pewnym więc zdumieniem, a także ze smutkiem przyjmowałem fakt, że nie zachwylił części moich seminarzystów. Cóż inne pokolenie, inna kindersztuba umyslowa...

Pomału dobiega końca ogłoszony przez nasz parlament Rok Wańkowicza. Od jego śmierci minęło 50 lat. Nie widziałem jakiegoś związanego z tym wzmoczenia. Można więc bez specjalnego ryzyka ocenić, że rok ów minął raczej niepostrzeżenie, bez szczególnej promocji i admiracji jego dzieł oraz wkładu w polską sztukę reportażu. Wańkowicz gdzieś nam umknął, został przysypany doraźnymi kłótniami politycznymi, a potem powodzią. Jeśli jest w spisie lektur obowiązkowych, to najczęściej szczątkowo.

W czasie, gdy język debaty publicznej ulega ciągłej degeneracji, a momentami jest wręcz hańbiony i poniewierany, gdy runiczna błyskawica staje się powszechnym znakiem rozpoznawczym, gdy media przedstawiają zafalszowany obraz rzeczywistości, Melchior Wańkowicz jest bezapelacyjnie godzien przypominania. Ten wielki mistrz słowa winien stać się wychowawcą, mentorem polityków, dziennikarzy, gwiazd. Tak się oczywiście nie stanie, bo po co się wysilać na piękny język, po co hołubić jego urodę i dbać o jego poprawność, gdy do pełnego wyrażenia emocji, stosunku do świata wystarczy dziś osiem gwiazdek? 

Michał Korsun prezentuje:
Tusk znalazł winnego powodzi



Wycinki z przeszłości

Katastrofa powodzi w południowej Polsce – informowały media w lipcu 1933 r. Jak czytamy, „skutkiem dłuższych deszczów na znacznych obszarach zachodniego Podkarpacia nastąpiły nagle wylewy rzek górskich i powódź w woj. krakowskim, lwowskim i kieleckim”. I dalej: „Deszcze trwały ok. 6 dni, wody spustoszyły płony w polach na obszarze 200 tys. hektarów, zniosły liczne domostwa, wytopiły inwentarz żywy, porozsadzały w wielu miejscach wały regulacyjne rzek, poniszczyły drogi i tory kolejowe”. Ludzie chronili się „na drzewach, dachach, wzgórzach”. Szacowano, że zginęło przeszło 100 osób, ucierpiało w sumie 50 tys. rodzin, zaszła potrzeba doraźnego wyżywienia i dożywiania ok. 150 tys. ludzi i ok. 74 tys. sztuk bydła.

Podkreślano sprawność wojska i administracji państwowej w niesieniu pomocy oraz ofiarność ludności, która natychmiast zaczęła zbiórki pieniędzy, żywności, paszy dla bydła. Co ciekawe, dużą rolę w niesieniu doraźnej pomocy i wyszukiwaniu odciętych od świata odegrało lotnictwo.

(mk)



Z WOLEJA

Kibice i polityka



Ryszard
Czarnecki

Donald matole! Twój rząd obalą kibole” – tak skandowali i pisali na transparentach kibice piłkarscy podczas drugiej kadencji rządów PO-PSL, czyli po 2011 r. Zanim Platforma Obywatelska i jej koalicjant przegrali wybory A.D. 2015, Piotr Staruchowicz „Staruch”, inicjator kibicowskiego protestu, „gniazdowy”, czyli odpowiedzialny za doping na meczach Legii Warszawa, pod spreparowanymi zarzutami (skąd my to znamy?) trafił na osiem miesięcy do więzienia.

Takich przejawów politycznych antypatii do konkretnego polityka (bardziej niż sympatii do kogokolwiek) zawsze było dużo. Bywa, że na boisku toczy się ostra walka, a kibice mają identyczne transparenty odnośnie do np. imigrantów. Tak było w październiku 2023 r., gdy na meczu Legii z Rakowem Częstochowa kibice obu drużyn wywiesili takie oto hasło: „Nie chcemy tu Berlina, Lampedusy, Francji – dla imigrantów zero tolerancji”.

Zresztą warszawiacy słynęli z bardzo konkretnego przekazu. W czasie jednego z meczów ligowych w 2016 r. na Żywiecu, trybunie najzgorzalszych kibiców Legii, można było zobaczyć następujący transparent: „KOD, Nowoczesna, GW, Lis, Olejnik i inne ładacznie – dla was nie będzie gwizdów, będą szubienice”. Kibice Wisły Kraków nie przepadają, delikatnie mówiąc, za legionistami, ale i u nich był transparent: „Niespełnione rządów obietnice – temat zastępczy kibice”.

Czasem transparenty mają wymiar międzynarodowy, jak ten – znów kibiców z Łazienkowskiej w stolicy – z czasów po tragedii smoleńskiej: „Oto propozycja wymiany: Tuska, Kopacz, Komorowskiego za czarne skrzynki oddamy”. Czasem kibice wyręczają polityków i dziennikarzy w obronie ponadczasowych autorytetów. I tak, broniąc polskiego papię przed nagonką medialną, kibice Rakowa Częstochowa wywiesili taki napis: „Departament IV MSW nie wygrał z nim za życia – departament IV TVN nie wygra z nim po śmierci”. Ostatnio kibice wielu klubów wyrażali solidarność z zawieszonym przez TVP dziennikarzem: „Przemek Babiarz nie daj się złamać! Precz z komuną”.

Często owe transparenty są solą w oku wyznającego polityczną poprawność polityczno-medialnego establishmentu. Czasem kluby są karane finansowo za hasła, np. przez UEFA za transparent w języku angielskim w rocznicę powstania warszawskiego: „During the Warsaw Uprising Germans killed 160 000 people, thousands of them where children”...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewziewu w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

Bez miłosierdzia nie wrócimy do rozumu

To nie jest pułapka dotycząca tylko obecnego premiera. To wygląda niczym matnia, w której ugrzęzło polskie państwo

Dla każdego, kto myśli zdroworozsądkowo, nie ulega wątpliwości, że nie byliśmy należycie przygotowani na ten powodziowy kataklizm. Że wiele instytucji państwowych i samorządowych powinno działać lepiej – zwłaszcza w epoce obecnych możliwości technologicznych, w tym komunikacyjnych.

UCZCIWEGO AUDYTU NIE BĘDZIE

Dla każdego, kto myśli odpowiedzialnie, nie ulega też wątpliwości, że niebawem, po ustaniu zagrożeń, trzeba zrobić profesjonalny audyt funkcjonowania całego obszaru zarządzania kryzysowego. Ale czuję, zapewne nie będąc w tym odosobniony, że na poważny, uczciwy audyt nie można jednak liczyć. Tysiące mniejszych i większych interesów podważa szczerą ocenę faktów, zablokują obiektywne próby znalezienia rozwiązań. Powody są podobne do tych, które spowodowały, że nie przeprowadzono obiecanego profesjonalnego, zewnętrznego audytu projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego. Stało się tak w z woli premiera Tuska, gdyż znalazł się on w pułapce, która przypomina tę obecną, związaną z powodzią.

W PUŁAPCE INTERESÓW I WIZERUNKU

Z jednej strony premier chciałby mieć podległy sobie sprawny aparat państwowy, aby móc realizować te zadania (opinia publiczna wcale nie musi sobie zdawać sprawy z nich wszystkich), które

sobie postawił. Z drugiej strony naprawa np. tylko systemu zarządzania kryzysowego musiałaby się wiązać z wieloma niepopularnymi decyzjami i upublicznieniem informacji, które by były niekorzystne dla interesów obecnie rządzących.

Uczciwy audyt pokazałby bowiem, poza prawdopodobnymi zaniedbaniami ośmiu lat rządów dobrej zmiany, liczne błędne decyzje kadrowe, w tym o wątpliwej legalności, rządu samego Tuska. Nie wierzę, by obecny premier był w stanie pozwolić sobie na coś takiego. Wie, że nie ma pełnej kontroli nad infosferą oraz że dzisiejsza opozycja wytyka i będzie mu wytykać nie tylko rzeczywiste błędy, uniki i matactwa, lecz także z każdej igły będzie robić widły. Tak samo zresztą, jak od lat czyni Donald Tusk i jego zwolennicy.

Ale to nie jest pułapka dotycząca tylko obecnego premiera. To wygląda niczym matnia, w której ugrzęzło polskie państwo.

„POWIEDZIAŁEM IM: WON!”

Kilka dni temu podszedł do mnie na ulicy pan, który wyraził życzliwość wobec mojego zaangażowania w sprawy publiczne. Potem przedstawił swe zastrzeżenia nie tylko wobec osób dziś rządzących Polską, lecz także zwolenników obecnego rządu. Wspomniał, że zachowanie niektórych z nich, nawet wśród osób z jego rodziny, jest tak niedopuszczalne, że musiał im nawet powiedzieć: „Won z mojego domu!” (czyż podobny mechanizm nie omotał „wspólnoty” ośmiu gwiazdek?).

Stojąc na ulicy, rozmawialiśmy dłuższy czas – był piękny, słoneczny,

wrześniowy dzień. Wyraziłem sprzeciw wobec takiego podejścia do innych, zwłaszcza z rodziny. Powiedziałem, że to nie po chrześcijańsku. Że jeśli wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi, to wszystkim nam należy się dar wybaczenia. Że nie możemy rezygnować z miłosierdzia. To nie była łatwa rozmowa, ale... może odrobinę nadważyłem wrogość mego rozmówcy wobec osób, w obliczu zachowania których czuł się zmuszony powiedzieć „won”.

I nie chodzi mi o religijny wymiar sprawy: jeśli wierzący oczekują od Boga miłosierdzia, to powinni czuć się zobowiązani okazywać je nawet tym, którzy wyrządzili im krzywdę. Czuję, że bez miłosierdzia nie naprawimy polskiej polityki.

MINIMALNE CHOĆBY MIŁOSIERDZIE

Trudne sytuacje przyjdą jeszcze nie raz. Jeśli wszyscy kolejni rządzący będą w tej pułapce, w której znalazł się (częściowo na własne życzenie) premier Tusk, to w ogóle nie będziemy w stanie uczyć się na błędach. Wszystkie większe audyty nie staną się środkami naprawy instytucji, a jedynie manewrami propagandowymi.

Rachunki bzdur i krzywd będą rosły, a my coraz bardziej będziemy się pograżali w oparach absurdu. Nie da się wejść na ścieżkę budowy rozumnych instytucji, takich, które uczą się na błędach, bez wypracowania w sobie postawy miłosierdzia.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)



Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii w formie e-booków



Nieznane strony historii Polski

10 pasjonujących opowieści o wybitnych Polakach i odkłamywanych faktach | 106 stron



Powstanie Styczniowe 1863 r.

13 historii o najważniejszych ludziach powstania | 130 stron



Gdzie diabeł nie mógł

25 opowieści o niesamowitych kobietach | 178 stron



Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach

12 lekcji historii, które pomagają zrozumieć przeszłość | 121 stron



Pupile historii

30 nietypowych lekcji historii | nie tylko dla wielbicieli psów | 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już **od 5,90 zł**

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta



Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra